



JULIUSZ ĆWIELUCH

GENERALÓWIE

NIEWYGODNA PRAWDA
O POLSKIEJ ARMII

 WIELKA LITERA

JULIUSZ ĆWIELUCH

GENERALÓWIE



*Dla Maszy i Sekundki,
żeby wojnę znali tylko z książek*

POCZĄTEK

Tę książkę pisałem czternaście lat. Pisałem ją krok po kroku. Początkowo w „Metrze”, później w „Przekroju”, a od ostatnich dziesięciu lat w „Polityce”. Dopiero mając za sobą wszystkie te artykuły, mogłem przyjść do moich bohaterów, włączyć dyktafon i zacząć zadawać trudne pytania.

Nie pomyliłem się w doborze rozmówców. Przez te czternaście lat przekonałem się, że w wojsku odwaga, zwłaszcza cywilna, wcale nie jest w cenie. Tym czterem generałom jej nie zabrakło. W zasadzie mogli postąpić jak większość ich kolegów. Pobierać emerytury i udawać, że ich to nie dotyczy. Bohater jednej z rozmów poprosił o czas do namysłu. Chciał skonsultować pomysł z rodziną. Kiedy zadzwoniłem tydzień później, poinformował, że się ze mną spotka. Ucieszyłem się i powiedziałem, że to świetnie, że rodzina się zgodziła. W słuchawce na chwilę zapanowała cisza. „Cała rodzina uznała, że to bardzo zły pomysł. Widzimy się za trzy dni”. I się rozłączył. Rozumiem rodzinę. Nikt nie chce, żeby jego bliski się narażał. Zwłaszcza w czasach, w których prawda jest towarem deficytowym. Cenilem tych generałów, kiedy jeszcze byli w służbie. Teraz mój szacunek wzrósł wielokrotnie.

Najbardziej podziwiam ich szczerść, czasami taką aż do bólu. Obraz armii, który wyłania się z tych rozmów, dla niektórych czytelników może być szokujący. Ale jest po prostu prawdziwy. Jeśli generał Tomasz Drewniak mówi, że wirtualna gra wojenna pokazała, że w razie konfliktu całe nasze lotnictwo możemy stracić w cztery godziny, to takie są fakty. Kiedy generał Mirosław Różański twierdzi, że Wojska Obrony Terytorialnej rozłożą armię na łopatki, bo zabiorą pieniądze, których brakuje na modernizację, to również są fakty. Efekty tych działań już widać. Zakupy sprzętu odsuwane są na kolejne lata, o czym szczegółowo opowiada generał Adam Duda. Taka jest prawda, której nie można usłyszeć z ust ministra Antoniego Macierewicza.

Lata temu w wojsku żartowano, że „musztrą i wufem wygramy z NRF-em”. Dziś całkiem na poważnie chcemy wysłać na Specnaz żołnierzy WOT po dwudziestosześciodniowym przeszkoleniu wojskowym. Taki stan armii to efekt wielu lat zaniedbań. Mury jednostek nie ochroniły jej przed żadnym problemem, który dotykał reszty społeczeństwa. Kiedy w latach 90. szalał kryzys, w wojsku odczuwano go tak samo, a może nawet bardziej, o czym z właściwym sobie poczuciem humoru mówi generał Adam Duda. Jego opowieści przypominały mi historie zasłyszane od kolegów, których nie ominął pobór. Doceniam jego szczerść, kiedy mówi, że w tamtym czasie nie puściłby swojego syna do armii. Jednocześnie żołnierze cały czas mieli nadzieję, że wojsko uda się zmienić na lepsze. Na duchu podtrzymywała ich wizja wejścia do NATO i pozyskania nowego sprzętu. Opowieść generała Tomasza Drewniaka o myśliwcach, które miały czekać na niego w Stanach

Zjednoczonych, a kupiliśmy je dziesięć lat później, jest tak gorzka, że aż trudna do przełknięcia.

Po wejściu do NATO oczekiwanego skoku jakościowego ciągle nie było. Armia realizowała zasadę „Żywią i Bronią”. Przez wszystkie lata transformacji najłatwiej oszczędzało się na budżecie wojska. Przecież żadnej wojny miało już nie być.

Najważniejszą datą we współczesnej historii polskiej armii był rok 2003 i zaangażowanie w Iraku. Pamiętam rozmowę, którą opublikowała wtedy „Rzeczpospolita”. Wywiad z pierwszym dowódcą polskiego kontyngentu w Iraku generałem Andrzejem Tyszkiewiczem był utrzymany w duchu entuzjazmu Ligi Morskiej i Kolonialnej. Polscy żołnierze jadą na upragnioną misję. Będą szerzyć pokój, nawiązywać przyjaźnie, a w czasie wolnym grać w badmintona. Bardzo lubię grać w badmintona. Jednak jeśli coś z tego szlachetnego sportu kojarzyło mi się z Irakiem, to tylko raketki. Sporo opowiada o nich generał Duda, który służył na VIII zmianie w Iraku.

Zanim polscy żołnierze wyjechali na misję, dramat dopełniał się w komediowym stylu oficjalnych prezentacji sprzętu. Żołnierze w charakterze manekinów dumnie prezentowali w pustynnym kamuflażu źle leżące mundury i zamszowe buty, które już w kraju zaczynały gubić podeszwy. Były też rolnicze samochody terenowe dla niepoznaki nazwane Skorpion 3, żeby przynajmniej nazwą budziły strach. Budziły wręcz grozę. Niestety, tylko wśród użytkowników. Wzmacniane na miejscu za pomocą palników i kawałków blach pancernych znajdujących na gruzach po armii Saddama Husajna były czymś więcej niż narodową wariacją na temat filmu *Mad Max*. Były symbolem upadku naszej armii. A jednocześnie wielkiego ducha jej żołnierzy.

W 2003 roku polska armia, po wielu latach kryzysu, zaczęła się odradzać. Irak wykuwał takich dowódców jak generał Mirosław Różański. Ludzi, którzy posmakowali wojny i zrozumieli, że wojsko musi być profesjonalne, czyli zawodowe, dobrze wyszkolone i nowoczesne. I ten proces zaczynał się toczyć. Ciągle nie tak sprawnie, jak by się chciało, może nie zawsze z sukcesami, ale zaczynaliśmy budować prawdziwą armię, ugruntowywać naszą pozycję w NATO.

Polska była najważniejszym krajem w regionie. W NATO pozycję buduje się na sojuszach i przyjaźniach, decyzje zapadają kolektywnie. Dlatego smutno brzmi pytanie generała Mieczysława Cieniucha, które kończy książkę: „Jaką większość może stworzyć kraj, który Francuzów chce ponownie uczyć jeść widelcem, od Niemców chce reparacji, Litwinów obraża wzorem nowego paszportu, a Włochów od roku trzyma w szachu, nie odbierając zamówionych wcześniej samolotów?”. Odpowiedź jest niestety retoryczna.

Moi rozmówcy wiele w wojsku przeszli i wiele wytrzymali. Jednak pracować

z Antonim Macierewiczem nie byli już w stanie. Na własne życzenie z armii odeszli generałowie: Różański, Duda i Drewniak. Generał Cieniuch z armii odszedł wcześniej, ale w obecnej sytuacji uznał, że nie może dalej milczeć. O kulisach tych decyzji mówią właściwie po raz pierwszy. Dzięki temu można zrozumieć, dlaczego z polską armią nie jest dobrze. A wygląda na to, że będzie jeszcze gorzej.

KÓŁKO. KRZYŻYK

Piętnastego stycznia 2008 roku z samego rana wsiałem w samochód i wpisałem w nawigację „Międzyrzecz”. Jechałem do 17 Wielkopolskiej Brygady Zmechanizowanej po materiał o szkole snajperów. Urządzenie poinformowało, że czeka mnie długa droga. Nie zdawałem sobie sprawy, że spotkam na niej dwóch ważnych dla mnie ludzi.

Pierwszym z nich był nieznany mi wcześniej generał Mirosław Różański, który uparł się, że zbuduje w polskiej armii szkołę snajperów. A raczej strzelców wyborowych, bo oficjalnie w polskiej armii nie było takiego etatu jak snajper. Nie było również strzelców wyborowych, przynajmniej nie na papierze. Tę lukę postanowił zapełnić świeżo upieczony generał. Od razu mnie zaintrygował, bo zamiast wzorem wielu dowódców zdominować spotkanie, po prostu oddał mnie pod opiekę swoich ludzi.

Przecierałem oczy ze zdumienia, bo takiej zbieraniny w polskiej armii jeszcze nie widziałem. Niemieckie mundury, amerykańskie buty, fikuśne kapelusiki. Każdy ubrany inaczej. W przypadku kontroli z Warszawy kadrowy trup słałby się gęsto, bo jak to się ma do regulaminu? U Różańskiego takimi kwestiami nie zaprzętało sobie za bardzo głowy. Już to wystarczyło, że chciałem poznać go bliżej. Żołnierze mówili na niego „Wodzu”. W wojsku to więcej niż pochwała. A o samych sobie mówili, że reprezentują styl żulowatego myśliwego, i był to objaw dużej samoświadomości. Przydziałowych sortów mundurowych nie nosili w czasie ćwiczeń, bo dobrze prezentowały się tylko na zdjęciach. Na polskie goretexowe kurtki mundurowe mówili ceraty, bo szeleściły i nie chroniły przed zimnem. Na buty – Józefy, bo były tak starego wzoru, że podobne z pewnością nosił jeszcze Święty Józef. A oni czasem na dwa, trzy dni szli w teren i przydziałowy sprzęt nie przechodził tej próby pozytywnie.

Rozmowa ze strzelcami średnio się kleiła. Jeśli długo patrzysz na świat przez siatkę snajperskiej lunety, to musi cię to zmienić. Część z nich zmieniło to w szczelnie zamknięte ostrygi. Jeden z chłopaków niedawno wrócił z Afganistanu. Opowiadał, że nigdy nie czuł się taki wolny jak tam, kiedy godzinami leżał z karabinem na skalnej półce i miał cały świat u stóp. Ten konkretny świat składał się z konwoju, który zabezpieczał, i położonej obok wioski. W czasie rozmowy używaliśmy nietypowej odmiany języka polskiego. Nietypowej, bo wykreślono z niej trudne słowa, takie jak: „trafić”, „rana postrzałowa”, „śmierć”. Nieudolnie poszukiwaliśmy wyrazów zastępczych. Nie przychodziły, bo żołnierze byli już po lekcji odrobionej przez ich kolegów aresztowanych za ostrzał wioski Nangar Khel. Kiedy dochodziło do trudnych słów, nadrabialiśmy gestami.

Lepiej poszło nam na strzelnicy. Tym bardziej że właśnie dostali nowiuteńki karabin TOR kaliber 12,7 mm. Broń pachniała jeszcze smarem i nowością.

Czyścili ją delikatnie, jakby dotykali niemowlęcia. Później ustawili na stanowisku. Karabin przyszedł ze źle ustawioną optyką, bez specjalnej amunicji, bo kupowany był w jednym przetargu, a amunicja w drugim; te dwa postępowania nie spotkały się w czasie. Strzelaliśmy amunicją seryjną, o tym samym kalibrze, ale do innej broni, której nie przeszkadzały niedoskonałości, bo radziecki konstruktor znał pojęcie odstępności od normy. Karabin snajperski takiej wyrozumiałości nie miał. Wygrzebaną gdzieś z magazynów amunicję trzeba było poddać ocenie pod kątem przydatności bojowej. Siedzieliśmy na kocu i odrzucaliśmy zardzewiałe pociski od tych w miarę przyzwoitych. Po chwili mieliśmy sporą kupkę naboju przeznaczonych do śmieci i kilka do strzelania. Wyobraziłem sobie taką scenę w realiach wojennych i dreszcze przeszły mi po plecach. W kontaktach z wojskiem doświadczyłem jeszcze wielu podobnych sytuacji.

Zaczęło się strzelanie, ale co chwilę albo zacinał się karabin, albo nie schodziła spłonka. Zabawa się kończyła i zaczynało żmudne usuwanie awarii. Ja dostałem pięć naboju. Już po trzecim strzale miałem dosyć, bo karabin kopał jak cholera. Świat w lunecie rozmywał się i ciągle znikał, gdy tylko za blisko przysunąłem oko. Wcześniej dostałem lekcję, że strzelać mam na wydechu. Ale tak długo zajmowało mi szukanie celu, że przy każdym strzale zaczynałem się dusić. W efekcie nerwowo zrywałem spust i moje kule latały wszędzie, tylko nie tam, gdzie powinny. Za czwartym razem ku własnemu zaskoczeniu położyłem cel. Konkretnie to niemal rozerwałem tarczę na pół. Widziałem, jak kawałki drewna lecą na bok. Coś, co jeszcze przed chwilą było ludzką sylwetką, teraz wyglądało jak postrzępiony kikut. Najpierw piekielnie się ucieszyłem, że tak świetnie mi poszło, że uratowałem choć ułamek swojego wizerunku w oczach rozmówców. Później jednak wyobraziłem sobie, że to nie było drewno, tylko ciepły i żywy człowiek. Zrobiło mi się niedobrze. Do zabicia człowieka wystarczy kula lecąca z energią 60 dżuli. Śrut wystrzelony z wiatrówki ma 17 dżuli. Pocisk z karabinu snajperskiego – 3417 dżuli, bo snajper strzela raz, i po to, żeby zabić. Zrozumiałem, że to nie jest szkoła dla mnie. Zrozumiałem, że nawet zabijania trzeba uczyć się długo i cierpliwie.

Zaprzyjaźniony lekarz zrobił mi później wykład o styku balistyki z medycyną. Pociski snajperskie są tak skonstruowane, że w zetknięciu z celem rozwarstwiają się, tworząc coś w rodzaju grzybka. Dziura, którą wlatuje kula, ma około 10 centymetrów średnicy. Rana wylotowa – już 30 centymetrów. Za pociskiem powstaje się ciśnienie tworzące tak zwany kanał chwilowy. Fala rozchodzi się po organizmie z prędkością około 1450 metrów na sekundę. Większość ludzi zabija wstrząs wywołany przez to ciśnienie. Żeby wyobrazić sobie, co pocisk robi w ciele człowieka, można przeprowadzić eksperyment.

Wystarczy wprowadzić słomkę do szklanki z kisielom i mocno dmuchnąć, efekt będzie bardzo zbliżony. Nigdy nie zdecydowałem się, żeby to zrobić. Wystarczyło mi to, co podpowiadała wyobraźnia. Snajperów uczy się na faktach. Najczęściej na wydrążonych główkach kapusty, które wypełnia się ketchupem. Podobno wrażenia zbliżone są do rzeczywistości.

Po tych przeżyciach generał Różański zaprosił mnie na właściwą rozmowę. Wiedział, że dopiero wówczas możemy zacząć rozmawiać o konkretach. Opowiadał mi o Iraku i o tym, jak frustrowało go, że polską armię rzucała na kolana garstka rebeliantów ostrzeliwująca bazę za pomocą rakiet odpalanych z kawałka starej rynny. Mówił, że samo przeforsowanie pomysłu szkolenia snajperów zajęło kilka miesięcy, pomimo akceptacji ówczesnego dowódcy Wojsk Lądowych. Papiery utknęły w fabryce kurzu, jak złośliwie nazywany jest Sztab Generalny.

Kiedy z misji w Iraku przylatywały do Polski pierwsze trumny, opór wobec snajperów zaczął wyparowywać. W kwietniu 2004 roku strzelcy przeszli chrzest bojowy podczas obrony ratusza w Karbali. Żołnierze szybko zrozumieli, że w tak zwanych misjach stabilizacyjnych piąte przykazanie – nie zabijaj – nie obowiązuje. W ciągu tylko jednego dnia walk Polacy zastrzelili w Karbali osiemdziesięciu rebeliantów. Jeden z żołnierzy opowiadał mi o stresie. Biegając do ratusza w Karbali, poważnie uszkodził sobie kręgosłup. Poczul to dopiero po kilku godzinach. Zanim zszedł ze stanowiska, oddał kilka potwierdzonych strzałów. „Potwierdzone strzały” to słowa z tego nowego języka, który wojskowi próbowali stworzyć, żeby nie nazywać rzeczy po imieniu.

Pod koniec 2005 roku generał Różański rozpoczął szkolenie pierwszych strzelców. Kiedy udało się nadać sprawie bieg, kłopoty się dopiero zaczęły, a nie skończyły. Szkoła Różańskiego obnażyła wojskową fikcję. Armia płaciła po 20 tysięcy za karabinek snajperski, ale nie zainwestowała nawet złotówki w przeszkolenie strzelców. Kto miał ochotę i smykałkę, uczył się sam. Inni strzelali, jak umieli. A że większość nie umiała, to już inny problem. Wojsko oszczędzało również na amunicji. Dwunastu strzelców Różańskiego w trzy miesiące wystrzeliło cały roczny zapas amunicji snajperskiej kupionej przez wojska lądowe. Trudno się dziwić, że opór przed otwarciem szkoły był tak duży. Właściwie na każdym kroku okazywało się, że czegoś nie ma, coś nie działa. Sprawa zakupu bielizny termicznej dla kilku żołnierzy urastała do rangi problemu, którym musiał się zajmować sztab pułkowników. Mało brakowało, a szkoła wywaliłaby się przez kilka par ciepłych gaci. Ostatecznie Różański stracił cierpliwość i bieliznę dla swoich strzelców kupił z funduszu reprezentacyjnego dowódcy jednostki. Dalmierz laserowy zasponsorował znajomy przedsiębiorca. Komputer balistyczny zdobyli półoficjalnie. Oficjalnie

budżet armii pochłaniał 1,95 procent PKB.

Szkoła nie miała dobrych notowań u innych wojskowych. Jedni zazdrościli pomysłu, inni postponowali efekty. Zawsze to fajnie, jak komuś się nie udaje. Oficjalnie ciężko było ją atakować, bo cały świat szedł w kierunku tworzenia zespołów snajperskich. W 1139 roku sobór laterański II uznał, że broń precyzyjna zabijająca na duże odległości jest „niemiła Bogu”, i pod groźbą klątwy zakazał jej używać. Różański najwyraźniej nie bał się ani klątwy, ani niechęci kolegów. Polubiłem go za to.

W poszukiwaniu snajperskiego wzorca z Sèvres zapędziłem się do GROM-u. Snajperzy specjalsów mieli renomę jedynych w Polsce, którzy wiedzą, z czym się to je. W ich szkoleniu pomagali najlepsi na świecie eksperci z amerykańskiej Delta Force i brytyjskiego SAS. Już samo dostanie się do GROM-u było wyczynem. Ale szkolenie dla snajperów podobno ocierało się o Nietzscheańską koncepcję nadczłowieka. Ludzie, którzy ich selekcjonowali, nie ukrywali, że celem jest złamanie charakteru i siły życia kandydatów. W myśl zasady, że prawdziwa osobowość człowieka ujawnia się dopiero w skrajnych warunkach. Nakarmiony taką legendą przygotowałem się na spotkanie, które pomógł mi zaaranżować generał Sławomir Petelicki, twórca i pierwszy dowódca GROM-u. Tak poznałem R.

Na spotkanie przyszedł z dwuletnią córką, bo nie miał jej z kim zostawić. Kilka miesięcy wcześniej zdecydował się odejść z jednostki, żeby poświęcić się jej wychowaniu. Wtedy myślałem, że to tylko słowa. Dziś wiem, że nic bardziej mylnego. R. do dziś zawstydzona mnie jako ojca, który nie potrafiłby zdobyć się na takie poświęcenie.

Ponieważ rozmowa toczyła się przy dziecku, znowu używaliśmy dziwnej odmiany polskiego, z którego wykreślono jeszcze więcej słów. Właściwie zostały tylko półsłówka. Obserwowałem jego delikatne ręce, długie włosy i drobne zmarszczki wokół oczu. Wzbudzał zaufanie. Takie zmarszczki mają ludzie, którzy dużo się uśmiechają. W jego wypadku zrobiły się od ciągłego mrużenia oczu podczas patrzenia przez przyrządy optyczne. Zastanawiałem się, co ten człowiek robił w GROM-ie. Kiedy poznałem go bliżej, zrozumiałem, dlaczego ta jednostka jest tak elitarna. Większość ludzi zabija ich słabość. R. najprawdopodobniej zabije jego siłą. Nie znam drugiego człowieka, który potrafi tak konsekwentnie realizować swoje postanowienia.

Kiedyś pojechaliśmy w góry. Wracając, już po ciemku, opowiadaliśmy sobie różne historie. R. opowiedział mi jedną z państwa X. Byli na akcji z Amerykanami. Ich zadaniem było zająć budynek, utrzymać go i kontrolować,

żeby ci z drugiej strony nie przenikali za ich linię. Dużo się działo, a później nadeszła chwila, że nie działo się nic. I wtedy jeden z Amerykanów przechodził koło balustrady. Nagle złożył się do strzału. Zabił dwóch z trzech ludzi, którzy próbowali przejść przez klatkę schodową zajmowanego przez nich domu. Trzeci zginął minutę później.

Państwo X miało zły klimat dla trupów. Ich towarzystwo szybko zaczęło być odczuwalne. Zapach zwabił koty. Najpierw po prostu kręciły się koło ciała. Kiedy poczuły się pewniej, zaczęły ucztę. Wyjadały tylko mózgi i oczy, które były miękkie i wylewały się z roztrzaskanych czaszek. Wieczorem wyrzucili zwłoki na ulicę. Wojna trwała dalej. Po opowieści R. ja też musiałem dźwigać tę historię. Dźwigam ją już pięć lat. Z roku na rok ciąży mi coraz bardziej. A przecież to nie ja patrzyłem w puste oczodoły, których zawartość wyżarły koty.

R. pisał pamiętnik z państwa X. Gdybym tam był, myślę, że napisałbym podobny. Sporo o ludzkiej naturze. Dużo obserwacji samego siebie. Wiele zdań szczerych i naiwnych. Szczególnie zapamiętałem jedno: „Piszę to wszystko, żeby pamiętać, że w Polsce mam pięknie żyć”.

Rozmowa z generałem Mirostawem Rózańskim



Mirosław Różański, generał broni rezerwy, były dowódca generalny Rodzajów Sił Zbrojnych. Rocznik 1962. 35 lat służby.

Z wyróżnieniem ukończył Wyższą Szkołę Oficerską Wojsk Zmechanizowanych we Wrocławiu. Studiował też w Akademii Obrony Narodowej w Rembertowie. Doktor nauk o obronności.

Przeszedł wszystkie szczeble dowodzenia. Pracował w Sztapie Generalnym. Dowodził na misji w Iraku. Człowiek od wdrażania, testowania i reformowania. W zawiadywanej przez niego 17 Wielkopolskiej Brygadzie Zmechanizowanej testowano i wprowadzano do sił zbrojnych transportery opancerzone Rosomak. Wymyślił i stworzył na bazie tej jednostki szkołę dla strzelców wyborowych. Formował pierwszy w pełni zawodowy batalion zmotoryzowany. Dowodził 11 Dywizją Kawalerii Pancerniej. Był pełnomocnikiem szefa MON ds. wdrażania nowego systemu zarządzania i kierowania siłami zbrojnymi. W 2014 r. współtworzył Dowództwo Generalne Rodzajów Sił Zbrojnych, które powstało z połączenia dowództw sił lądowych, morskich, powietrznych i specjalnych. Od 2015 r. dowódca generalny Rodzajów Sił Zbrojnych. W grudniu 2016 r. złożył wniosek o zwolnienie z zawodowej służby

wojskowej. We wrześniu 2017 r. powołał Fundację Bezpieczeństwa i Rozwoju Stratpoints. Niezwykle ceni sobie prywatność, dlatego nie opowiada o swoim motocyklu ani myśliwskiej pasji.

Juliusz Ćwieluch: Czy ono jest sztuczne?

Generał Mirosław Różański: Jeśli pyta pan o oko, to nie jest sztuczne.

A co z nim jest?

Jest pokaleczone. Ma inną głębię ostrości, stąd jego barwa.

Nie lubi pan o tym opowiadać.

Nie. Bo była taka narracja, że Różański awansował, ponieważ mu oko prawie odstrzelili... Bo mam ciekawsze tematy do rozmowy.

Czyja to była wina?

Jeśli spojrzymy na to wąsko, to tego konkretnego źle wyszkolonego żołnierza, który nie sprawdził, czy armata jest załadowana. Jak spojrzymy szerzej, to pewnie wina systemu, który powodował, że szkolenie szło w dół, bo ogólnie standardy w wojsku szły w dół. Jakość szkolonych i szkolących szła w dół. Dlatego tak alergicznie reaguję, kiedy słyszę, że można z kogoś zrobić żołnierza w dwadzieścia sześć dni. Tak jak obiecują w Wojskach Obrony Terytorialnej.

Rozumiem, że pan ucieka od tego tematu, ale jeszcze chwilę pana pomęcę. Spotkał pan po wypadku tego żołnierza?

Ja nie. Mój brat kiedyś, przez przypadek. Nie mam żalu. Nikt o zdrowych zmysłach nie strzeliłby specjalnie z armaty kaliber 73 mm.

A o życiu prywatnym dlaczego pan nie opowiada?

Ponieważ, jak sam pan zauważył, jest to życie prywatne.

Na Facebooku wrzuca pan zdjęcia z żoną.

I jest to przez nią ledwo tolerowane. Moja żona ma dużą potrzebę prywatności. Szanuję to.

To nie jest pana pierwsze małżeństwo.

Z pewnością jednak ostatnie. Nie ciągnijmy tego wątku. Dla mnie to są sprawy intymne. Zbyt osobiste do opowiadania. A dla czytelnika raczej nudne.

Dlaczego żołnierze mówią o panu „Gajowy”?

Muszę przyznać, że dowiedziałem się o tym niedawno. To, że jestem myśliwym, również podciągałem pod życie prywatne. Nie chwale się tym na Facebooku. Nie opowiadam w wywiadach. Lubię polować, sprawia mi to frajdę. Ale też rozumiem, że komuś może się to nie podobać, dlatego nie wrzucam zdjęć z polowań.

Motor?

Jest motocykl. Niestety, nawet na emeryturze nie mam czasu, żeby się dobrze zamortyzował. Widzę, że się pan przygotował do tego spotkania. Spodziewałem się raczej pytań o ministra Macierewicza.

Dojdziemy i do tego. Na terapii zawsze proszą, żeby opowiedzieć jakąś historyjkę o sobie. Coś, co nas charakteryzuje. Mały gest, który miał dla nas znaczenie.

Nie chodziłem na terapię i raczej mi to nie grozi. Postrzegam siebie jako osobę o prostej, mocnej konstrukcji. Lubię stawiać sobie zadania i je realizować. Ja, proszę pana, muszę powiedzieć nieskromnie, jestem dowódcą. Urodziłem się, żeby nim być. Zawsze mnie do tego ciągnęło. I dostałem od życia taką szansę, że tą drogą poszedłem, i to z sukcesem. Sukcesem, który zawdzięczam między innymi mojej żonie, która mnie zawsze wspierała. I kilku ludziom, którzy mnie ukształtowali. Czasom, które pozwalały na rozwój, choć warunki nie zawsze były sprzyjające. Nie wstydzę się tak mówić, bo wierzę w to, że jestem dobrym dowódcą.

Mówi pan jak generał nie polskiej, a amerykańskiej armii.

Miałem okazję współpracować ze śmietanką amerykańskich generałów. Szanuję i podziwiam kilku z nich. I nie mam kompleksów. Uważam, że nie zmarnowałem czasu w armii. A nawet żałuję, że tego czasu było za mało, że nie pozwolono mi pokazać wszystkiego, na co mnie stać.

Sam pan odszedł.

Przecież pan wie, że to bujda. Odszedłem, bo musiałem.

Mieli na pana jakieś haki?

Jakby były haki, to już bym siedział. Musiałem odejść, bo nie mogłem i nie chciałem firmować tego, co działo się z polską armią i w polskiej armii. Dorobek wielu lat jest, moim zdaniem, po prostu niszczone. Nie chciałem być twarzą tych zmian.

Poddał się pan?

A wyglądam na kogoś, kto się poddał? Wyglądam na przegranego faceta? Właśnie założyłem fundację. Zaufało mi wielu wspaniałych oficerów. Bez przesady mogę powiedzieć, że kwiat polskiej armii.

Raczej bukiet emerytów.

Emerytów przed pięćdziesiątką. Widocznie Polska to taki bogaty kraj, który stać, by ludzi w kwiecie wieku masowo wysyłać na emeryturę. Po niespełna dwóch latach rządów ministra Macierewicza z wojska odeszło albo musiało odejść wielu wybitnych oficerów. Takich, którym nikt nie postawił żadnych zarzutów, nie wyciągnął świństw, nawet niezaliczonego egzaminu z wuefu. Odeszli, bo mieli czelność mieć własne zdanie. Bo nie zgadzali się z pomysłami, które, ich zdaniem, urągały logice albo łamały prawo. Teraz wielu z nich zgromadziło się w Stratpoints, fundacji, której jestem pomysłodawcą i założycielem. Jestem dumny, że udało mi się ich za sobą pociągnąć.

Nie za dużo tego patosu?

Rynek chętnie wchłonałby wielu z tych ludzi...

...część nie może iść na rynek przez trzy lata, bo przepisy im nie zezwalają.

To dotyczy dosłownie kilku osób. Muszę przyznać, że nawet ich podziwiam, że do nas dołączyli. Nie jesteśmy pupilami resortu. W dniu ogłoszenia naszego debiutu na wrześniowym Międzynarodowym Salonie Przemysłu Obronnego w Kielcach minister trzy razy przesunął swoją konferencję, aż zbiegła się w czasie z naszą prezentacją. Firmy z sektora zbrojeniowego dostały zakaz kontaktów z nami.

Boją się was?

Powiedzmy, że nas zauważono. A przecież jeszcze nic nie zrobiliśmy. Do działania przejdziemy w najbliższych dniach. Pierwszy raport, jaki przygotujemy, dotyczył będzie Wojsk Obrony Terytorialnej i rzeczywiście nie zapowiada się, żeby była to laurka.

Po co pan to robi? Chce pan zostać ministrem?

Jakbym chciał zostać ministrem, to zapisałbym się do jakiejś partii. Tak się w Polsce zostaje ministrem. Ciągłe jeszcze mamy demokrację. Ale mnie do polityki nie ciągnie. Robię to, bo mam wrażenie, że nie ma chętnych, żeby zmieniać armię na lepsze. Żeby mówić, jak jest naprawdę. Zaraz mi pan powie, że za dużo patosu, a może nawet banałów, ale zaciągnąłem dług u społeczeństwa. Za moją edukację zapłaciło społeczeństwo. Za mój rozwój zapłaciło społeczeństwo. Nie zmarnowałem tych pieniędzy, ale czuję, że mam dług. I moim obowiązkiem jest walczyć o to, na czym się znam. A znam się na armii, wiem, co w niej nie gra, co trzeba zmienić. Czego nie należy robić. Moi koledzy, którzy są w linii, nie mają tego komfortu. Nie wolno im zabierać głosu. Armia zawsze była niemową. A teraz jest zakneblowaną niemową. Ktokolwiek mówi coś nie po linii

resortu, zaraz ma kłopoty. Nawet generał Jarosław Kraszewski, najbliższy doradca wojskowy prezydenta, przekonał się, co to znaczy nie zgadzać się z wizją ministra Macierewicza.

Służby odebrały mu dostęp do tajemnic.

Służby mają służyć państwu, a nie ministrowi. Już sama ta sytuacja powinna dać ludziom do myślenia. Skoro można niszczyć zasłużonych oficerów, to właściwie można zniszczyć każdego.

Skąd się bierze taka ogromna siła ministra Macierewicza?

Moim zdaniem po części ze słabości innych. Antoni Macierewicz w młodości ćwiczył skoki do wody. Ludzie, którzy uprawiali tę dyscyplinę, mają w sobie ogromną determinację i nie boją się ryzyka. Tam gdzie inni się wycofują, on prze do przodu.

A jednocześnie przed konferencją prasową w strzeżonym gmachu MON każe sprawdzać salę, czy nie podłożono bomby.

Sprawdzana jest nie tylko sala, ale wszystkie inne pomieszczenia. Nawet samoloty Casa, które pan minister, podobnie jak pani premier Beata Szydło, bardzo polubił.

Tylko że pani premier loty się należą zgodnie z procedurą HEAD, a jemu nie.

I tu wracamy do kwestii pozycji ministra Macierewicza, który poprzez latanie casą dał wszystkim mocny sygnał, jaką ma pozycję. Minister rzeczywiście nie należy do osób, którym się należy transport zgodnie z procedurą HEAD. Jest ona zarezerwowana dla prezydenta, premiera, marszałków Sejmu i Senatu. Pomimo to każdy lot ministra Macierewicza był poprzedzony sprawdzeniem pirotechnicznym samolotu i zabezpieczany tak, jakby odbywał się w ramach instrukcji HEAD. W ten sposób minister sam zrównał się z najważniejszymi przedstawicielami państwa.

Czyli potrafi sięgać po insygnia władzy, nawet tej, która mu się nie należy?

Zwłaszcza tej. Przecież źródłem konfliktu prezydenta Andrzeja Dudy z ministrem Antonim Macierewiczem nie są kwestie ideologiczne. Obydwaj politycy wywodzą się z jednego obozu politycznego. Mają silne przekonania prawicowe. Głoszą dokładnie takie same tezy na tematy związane z obronnością, historią Polski. A jednak pomiędzy małym a dużym pałacem wręcz iskrzy. Obserwowałem te relacje z bliska i nie o wszystkim chciałbym mówić ze szczegółami, ale proszę mi wierzyć, że to nie prezydent sprowokował ten konflikt. Mało tego, wykonał wiele pojednawczych gestów. Gestów, które minister odczytywał jako przejaw słabości i poszerzał swoje wpływy i władzę. Często wręcz ostentacyjnie.

W mediach dostał za to baty.

Nie zauważyłem, żeby w przychylnych mu mediach szeroko komentowano ten konflikt czy też jego częste podróże casą. Pozostałymi mediami on się w ogóle nie przejmuje i, moim zdaniem, ostentacyjnie je lekceważy. To przemyślana strategia – skoro nie można być najczęściej chwalonym ministrem, lepiej być najczęściej krytykowanym. Później wystarczy stworzyć narrację, że ta krytyka to bezpardonowe i bezpodstawne ataki. Zmowa, układ, spisek. Jest cała rzesza ludzi, którzy chętnie wierzą w teorie spiskowe. A minister Macierewicz sztukę karmienia tymi teoriami posiadał w stopniu mistrzowskim. Jakieś niedopowiedzenia, insynuacje...

...kłamstwa?

Z mojej perspektywy tak. Ale przeciętny odbiorca, który nie ma pojęcia o wojsku, systemie zakupów, poziomie wykszolenia i realiach międzynarodowych, nie ma narzędzi, żeby samodzielnie wyrobić sobie zdanie. Ludzie się gubią. Nie wiedzą, komu wierzyć. Nawet jak próbują to brać na logikę, to jest problem, bo przecież to niemożliwe, żeby ktoś zawałił

tyle spraw i dalej go trzymali w rządzie.

A dlaczego go trzymają?

Bo jest im potrzebny. Robi to, czego nie byli w stanie zrobić inni. Odzyskuje instytucje. Odzyskuje w najłatwiejszy sposób, po prostu je niszcząc. Nie ma oporów przed wyrzucaniem kompetentnych ludzi i zastępowaniem ich takimi, których główną kompetencją jest uległość. Nie ma hamulców, bo wie, że jedynym testem dla wojska będzie wojna. A ta, jeśli wybuchnie, to trudno. Niech się ludzie martwią.

Mocne zarzuty.

Nie zarzuty, tylko fakty. Program modernizacji leży, kadra jest w rozsypce. WOT powstaje kosztem wojsk operacyjnych. Jeżeli na kontakty zagraniczne na rok 2017 dostałem 16 procent środków przewidzianych na rok poprzedni, to sygnał jest jednoznaczny – nie ma pieniędzy na uczenie się od najlepszych. Inny sygnał też jest czytelny. Koniec z otwarciem, koniec z wymianą doświadczeń. Taki budżet oznacza, że o cztery piąte zmniejszamy aktywność zagraniczną. A z tych środków były finansowane wszystkie ćwiczenia zagraniczne, wyjazdy żołnierzy na sympozja, na seminaria.

Trzeba oszczędzać.

To dlaczego nie oszczędza się na pensjach swoich nominatów w przemyśle zbrojeniowym? Tam się zmienia prezesów jak rękawiczki, pompuje zarządy swoimi ludźmi. A efektów brak. Byłem we wrześniu na targach w Kielcach. Ciągłe widzę te same produkty. I ciągle tylko na targach. Kiedy będą obiecane helikoptery, kiedy będziemy w stanie obronić polskie niebo? Mógłbym długo zadawać tego typu pytania.

Zadawaniem pytań zajmę się ja i chciałbym wrócić do tej opowieści, o którą prosiłem wcześniej. Co pana ukształtowało?

Takich historii, które są dla mnie ważne, jest wiele. Ale gdybym miał wskazać tylko jedną osobę, której z zawodowego punktu widzenia zawdzięczam najwięcej, to byłyby to Tadek Buk. Generał Tadeusz Buk, dowódca Wojsk Lądowych i z pewnością przyszły szef Sztabu Generalnego, gdyby nie zginął 10 kwietnia 2010 roku w katastrofie smoleńskiej.

Naśladował go pan?

Tadek był niepowtarzalny. Plagiatowanie go byłoby po prostu śmieszne. Ja i on to dwa różne temperamenty. Myślę, że wzajemnie się od siebie uczyliśmy. Tadek był uczulony na wojskową głupotę, tępił ją, i tego nauczyłem się od niego. A także podejścia do innych. Był nerwusem, ale nie krzywdził ludzi. Potrafił opieprzyć po żołniersku i za chwilę pochwalić, jeśli ktoś naprawił błąd i zrobił coś dobrze. Nie nosił urazy, nie mścił się.

Cała Polska widziała i słyszała, jak pułkownik Buk rzuca kurwami w serialu *Kawaleria powietrzna*.

Znałem dowódców, którzy w ponizaniu podwładnych mieli czarny pas. A Tadek skracał dystans, ale nawet jak miał kogoś obsztorcować, robił to tak, żeby nikogo nie poniżać, żeby znaleźć rozwiązanie.

Pan nie przeklina.

Jak uderzę się młotkiem w palec, potrafię siarczyście zakląć. W innych sytuacjach przekleństw nie potrzebuję. Nie uważam, żeby budowały autorytet, wzmacniały osobowość. Wystrzegam się ich, bo mącą w głowie.

W jakim sensie?

Mój model dowódcy jest taki, że nie krzyczy, a mówi cicho. Kiedy mówi cicho, to bardziej cię słuchają. Staram się nie zaczynać od wybrzydzenia, tylko od zauważania rzeczy pozytywnych. Dlaczego? Nauczyło mnie tego doświadczenie zawodowe. Jako porucznik, później kapitan czy major uczestniczyłem w setkach odpraw i, co tu dużo mówić, ich scenariusz nie

był specjalnie skomplikowany. Zaczynało się od połajanki i na połajance kończyło. Dowiadywaliśmy się tylko, że znowu coś spiep... albo spierd... A jak ciągle słyszysz, że wszystko jest źle, to po co się starać? Każdy oficer obowiązkowo musiał prowadzić zeszyt pracy. Mój był zapisany kółeczkami, kwadracikami, jakimiś krzyżykami, bo ja się niczego na tych odprawach nie dowiadywałem. Obserwowałem, że inni też, i te połajanki nie robiły na nich wrażenia. Natomiast jeśli od wielkiego dzwonu ktoś nas za coś pochwalił, to zaraz podnosiły się wszystkie głowy.

Będzie jakaś historia?

Będzie. Po objęciu obowiązków w Dowództwie Generalnym zauważyłem, że do mojego sekretariatu nie da się wejść, to znaczy wejście jest więcej niż trudne. Nie wystarczy karta magnetyczna z dostępem do pomieszczeń o tym stopniu zabezpieczeń, trzeba jeszcze nacisnąć domofon i czekać jak petent. Nawet drzwi nie można było otworzyć samemu, bo nie było klamki, tylko obracająca się wokół własnej osi kulka. No po prostu forteca.

To chyba dobrze, że dowódca jest chroniony.

Żeby dojść do sekretariatu, trzeba przejść tyle bramek i zabezpieczeń, że dowódca może się poczuć strzeżony w 100 procentach. Ale jeśli ta kulka zamiast klamki miała mnie przed kimś chronić, to raczej przed moimi podwładnymi. A ja nie chcę się przed nimi chronić, tylko mieć z nimi kontakt. Więc jak tylko przyszedłem, kazałem tę kulkę wymienić na klamkę. Kiedy odchodziłem, obowiązki przekazałem generałowi Janowi Śliwce. O godzinie ósmej rano przejął obowiązki, a już w południe klamkę wymieniono na kulkę. Dlatego uważam, że ciągle jeszcze jestem potrzebny armii, bo tam jest wiele kulek do wymiany.

Ferajna

Dlaczego pan odszedł?

Myślę, że szczegółowo wyartykułowałem to w swoim przemówieniu. Nie mogłem dotrzymać zobowiązania, że zbuduję armię na miarę wyzwania, jakie mogą niebawem stanąć przed naszym krajem.

Pytam, dlaczego naprawdę pan odszedł. Dlaczego tak długo pana trzymali?

Muszę przyznać, że sam zadawałem sobie to pytanie. Tym bardziej że od początku dostawałem sygnały, że nie jestem z ich bajki.

Skąd?

Kiedy przejąłem obowiązki po generale Lechu Majewskim, żołnierze delikatnie zwrócili mi uwagę na pewną niezręczność. Dowództwo Generalne mieściło się na terenie byłego Dowództwa Sił Powietrznych. Był tam pomnik upamiętniający generała Andrzeja Błasika, który zginął w Smoleńsku. Ale wdowa po nim ani razu nie została zaproszona na uroczystości.

Dlaczego?

Dlatego że generał Majewski, który był lotnikiem, uważał, że generał Błasik ukradł mu awans. Majewski chciał zostać dowódcą Sił Powietrznych. Tak zresztą wynikało ze stopnia i z hierarchii. Jednak to dużo młodszy od niego Błasik objął to stanowisko, a Majewskiego odstawiono na boczny tor. Wzajemna niechęć obydwu panów była wręcz mityczna. W przypadku generała Majewskiego nie zakończyła się nawet po śmierci jego rywala. Lech Majewski deprecjonował wszystkie dokonania Błasika. Wręcz alergicznie reagował, kiedy gdzieś pojawiała się jego nazwisko. Relacja pani Błasik z nim była oczywiście taka sama. Miała dużo pretensji do Majewskiego, może nawet obwiniając go o nieszczęście, które się stało. Uznałem, że po nocy zawsze przychodzi dzień, i to musi się zmienić. Zacząłem zapraszać panią Ewę Błasik na święta wojskowe.

Podczas Świąta Lotnictwa złożyła kwiaty przed obeliskiem na terenie Dowództwa Generalnego. Po wielu latach pierwszy raz od katastrofy smoleńskiej była w gabinecie swojego męża.

Znał pan generała Błasika osobiście?

Tak. Kończyliśmy różne szkoły, ale jesteśmy z jednego rocznika. To nie była jakaś bliska i zażyła znajomość. W czasach, w których obydwaj funkcjonowaliśmy w wojsku, każdy rodzaj sił zbrojnych to było oddzielne księstwo. Wiedzieliśmy, kto jest kto, znaliśmy się po imieniu, i właściwie tyle. Więcej dowiedziałem się o nim od wdowy. W czasie jednej z rozmów wyszła od niej propozycja, że zaaranżuje moje spotkanie z wiceszefem MON Bartoszem Kownackim. Mieli ze sobą bardzo dobre relacje, ponieważ Kownacki, który z wykształcenia jest prawnikiem, był jej pełnomocnikiem po tragedii smoleńskiej.

Spotkanie umawiane przez wdowę, jak w książce o włoskiej mafii.

Daleko idąca sugestia. Nie znałem ministra Kownackiego, bo wcześniej raczej nie był kojarzony z obszarem obronności. Uznałem, że jeśli jest szansa się poznać, to z niej skorzystam. Może ja będę pomocny jemu, a on mnie. Będę mógł mu opowiedzieć, z czym się to wojsko je, bo jako człowiek z zewnątrz nie miał łatwego zadania, żeby wejść w tak hermetyczne środowisko.

Jak wyglądało wasze spotkanie?

W ogóle nie wyglądało, bo do niego nie doszło. Pani Ewa Błasik powiedziała mi, że Kownacki ostrzegł ją przede mną. Stwierdził, że znajomość z nią będę wykorzystywał do swoich partykularnych interesów. Rozbawiło mnie to, bo jakież ja miałbym mieć partykularne interesy w znajomości z panią Błasik.

Mógł pan chcieć na przykład awansować. W wojsku otwartym tekstem mówi się, że pani Błasik potrafi załatwić sprawy niemożliwe. Ma wejścia do wszystkich ministrów.

Nie miałem takich potrzeb. Miałem najwyższe stanowisko i najwyższy stopień, jaki można było na nim osiągnąć. Ja tę sytuację czytam inaczej, jako przejaw typowej dla tych ludzi paranoi podejrzliwości i odcięcia się od wszystkiego, co było wcześniej.

No ale od pana się nie odcięli.

Mentalnie odcięli się od początku. Po prostu trzymali mnie chwilę dłużej na stanowisku, bo było im to na rękę. Macierewicz wyznał mi podczas jednej z naszych ostatnich rozmów, że on od początku wiedział, że ja i krąg bliskich mi oficerów nie byliśmy zadowoleni z tego, że został ministrem obrony narodowej. Zapytałem: „A kto to panu powiedział?”. Byłem zdziwiony, bo muszę uczciwie przyznać, że jego pierwsze decyzje spotkały się z moją akceptacją. Uważałem, że bardzo dobrym posunięciem było zwolnienie dyrektora Departamentu Kadr generała Andrzeja Wasilewskiego. Nie płakałem również po generale Zbigniewie Głowience, którego minister Tomasz Siemoniak wyznaczył na szefa Departamentu Kontroli. Odejście generała Bogusława Packa, doradcy ministra, również uważałem za dobrą decyzję kadrową. Ta trójka ludzi była blisko ministra Siemoniaka i uważam, że zrobili mu swoimi radami dużo złego. Szczerze powiedziałem o tym Macierewiczowi: „Panie ministrze, jak dla mnie, pierwsze pana decyzje były naprawdę super”.

Zapytał pan, dlaczego, skoro panu nie ufał, nie odwołał pana od razu?

Zapytałem. Odpowiedział, że musiał nas zostawić, żebyśmy dokończyli zadania, które zaczęliśmy planować. Konkretnie chodziło o ćwiczenie Anakonda, na którym razem z naszymi żołnierzami działało dwanaście tysięcy Amerykanów. Po drodze był jeszcze szczyt NATO. Macierewicz

uznał, że nasze odejście mogłoby zaburzyć któreś z tych przedsięwzięć. To była zimna kalkulacja.

Nie było panu przykro, że potraktował pana instrumentalnie?

Ja się nie obrażam. Oceniając na chłodno, uważam, że dobrze to rozegrał, bo wcześniejsze dymisje wywołałyby pytania i emocje u sojuszników. A tak odeszliśmy właściwie po cichu. Minister Macierewicz jest sprawnym graczem. Obserwowałem go bliżej, kiedy pracowałem nad reformą systemu dowodzenia i dosyć często gościłem na obradach sejmowej Komisji Obrony Narodowej. Jako członek komisji poseł Antoni Macierewicz wypracował sobie specyficzny styl pracy. Na posiedzenie często przychodził spóźniony. Czasem sprawiał wrażenie bardzo zajętego, przeglądał jakieś dokumenty. Innym razem wyglądał na znudzonego. Wtedy bawił się telefonem komórkowym. Wydawało się, że nie słuchał, po czym wygłaszał jakąś swoją frazę i zazwyczaj wychodził, nie czekając na odpowiedź.

I jakie wyciągnął pan z tego wnioski?

Takie, że ten człowiek gra w to, w co wygrywa. Jest nastawiony na osiągnięcie swoich celów. Podobny styl pracy w Ministerstwie. Jedną z pierwszych uroczystości, w których uczestniczyłem, była konferencja, gdzie ogłoszono powstanie Podkomisji ds. Ponownego Zbadania Wypadku Lotniczego, która miała się zająć śledztwem smoleńskim. Pamiętam, że dostałem zaproszenie na Puławską, gdzie jest siedziba Departamentu Wojskowych Spraw Zagranicznych. Oprócz mnie musieli się stawić wszyscy najważniejsi dowódcy. Nie bardzo wiedzieliśmy, po co tam jedziemy. Okazało się, że potrzebna była odpowiednia oprawa artystyczna. A my w tej oprawie robiliśmy za tło. Nikt nas o nic nie pytał, nie zabieraliśmy stanowiska, tylko staliśmy. Miało ładnie wyglądać w „Wiadomościach” TVP i pewnie wyglądało, bo byliśmy na galowo.

General Buk nazywał to „jasełkami”.

Dokładnie, to były jasełka. Za pastuszków tam robiliśmy. I takie jasełka odbywały się często. Tak samo było w Teatrze Narodowym. Minister zorganizował koncert z okazji Dnia Żołnierzy Wyklętych. Wielka gala. Tam też staliśmy obok ministra i robiliśmy za tło. Antoni Macierewicz, realizując swoją politykę informacyjną, chętnie budował wizerunek ministra, który jest wspierany przez najważniejszych dowódców. Na zdjęciu wyglądało to dobrze. Ale w rzeczywistości nawet nie zamieniliśmy słowa przed czy po koncercie. A w czasie uroczystości nie siedzieliśmy w łożu z ministrem. On usiadł wyżej. Mnie posadzono z ministrem Jarosławem Gowinem.

Ważny koncert, bo po nim była pierwsza dymisja w armii. General Janusz Bronowicz powiedział mi w wywiadzie dla „Polityki”, że wtedy podjął decyzję o odejściu. Czarę goryczy przelał fakt, że minister Kownacki potraktował go jak powietrze i nawet nie podał mu ręki.

Znam kulisy tej sytuacji. General Bronowicz był kiedyś moim przełożonym. Na odejście jego i kilku innych wysokich oficerów złożyło się wiele okoliczności. Każdy z nas ma honor oficera i takie gesty ze strony ministra muszą boleć, ale przecież nie chodzi o to, czy minister poda ci rękę czy nie. Pierwsze rozmowy o dymisjach pojawiły się wcześniej. Konkretnie w momencie, kiedy nowa władza zaczęła demolować konstytucję i niszczyć Trybunał Konstytucyjny. Dla nas było jasne, w jakim kierunku zmierzają zmiany. Spotykaliśmy się na herbacie, niekiedy nawet była szklanka whisky, i dyskutowaliśmy, jak mamy się zachować. Krajowe i zagraniczne autorytety prawnicze wyrażały, delikatnie mówiąc, wątpliwości, a później wprost mówiły o łamaniu konstytucji. Pamiętajmy, że czwarty wers przysięgi wojskowej mówi o tym, że będziemy stać na straży konstytucji.

Chcieliście wyprowadzić wojsko z koszar?

Żartuje pan? Myśmy wszyscy pamiętali stan wojenny i traumę, jaką był on dla wojska. Latami się to ciągnęło za armią. Nie było takich pomysłów. Polska to nie jakaś bananowa republika. Jesteśmy w Unii, mamy stabilną gospodarkę. Każdy taki ruch cofałby nas cywilizacyjnie o sto lat. Ani ja, ani nikt w moim otoczeniu nigdy nie miał takich pomysłów.

A gdyby ktoś inny miał?

To, oceniając sprawę zupełnie na chłodno, bardzo by się rozczarował. Może jesteśmy młodą demokracją, ale Polacy cenią sobie wolność, swobodę. Samo wojsko by na to nie poszło. Moim zdaniem minister Macierewicz niepotrzebnie, ale zabezpieczał się i na taką okoliczność, dlatego jego pierwsze decyzje od początku zmierzały do wykopania przepaści pomiędzy wyższą kadrą oficerską a szeregowcami.

Wstrzymał wypłatę podwyżek zatwierdzonych jeszcze przez ministra Siemoniaka, obciął kwoty dla generałów, a zaoszczędzone pieniądze przeznaczył na szeregowców.

Co w praktyce oznaczało, że z tych moich pieniędzy szeregowy dostał jakiś ułamek grosza. Ale wizerunkowo był to strzał w dziesiątkę. Później poszły jeszcze ogromne podwyżki, a nawet wyrównania, bo Ministerstwo stwierdziło, że wcześniej czegoś tam nie wypłacano. Wojsko dostało tyle, że minister mógł spać spokojnie, bo jego poprzednicy nie byli tak szczodrzy w kwestii podwyżek. Priorytetem była jednak modernizacja. No więc, żeby uciąć ten wątek, pomysłów na pucz nie było. Od początku rozważana była tylko jedna opcja – kiedy i w jakim stylu odejść.

Grupowe odejście wysokich oficerów z Dowództwa Generalnego odbiło się szerokim echem w mediach.

Trudno się dziwić. Jednego dnia straciłem kilku kluczowych oficerów.

A dlaczego pan nie odszedł razem z nimi?

Kapitan opuszcza statek ostatni. Byłby to może spektakularny gest, ale dla sojuszników zupełnie niezrozumiały. Stawiający moich podwładnych w trudnej sytuacji, bo przecież byliśmy w połowie drogi do Anakondy. Muszę się przyznać, że liczyłem, iż po tych odejściach nastąpi może jakieś opamiętanie. Minister zrobił unik taktyczny. Złagodził na chwilę retorykę. I tyle. Wiedziałem, że będę musiał odejść. Ale uznałem, że trzeba zostać tak długo, jak się da, bo na moje miejsce nie szykowali się lepsi.

Mówi pan o wyznaczonych przez Macierewicza generałach po zaocznych studiach generalskich?

Jak mogli ukończyć studia, skoro mianowania dostali kilka tygodni po rozpoczęciu nauki? O studiach generalskich w trybie zaocznym nigdy wcześniej nie słyszałem. Pewnie na wojnie takie praktyki mogły być stosowane. Nie chodzi mi o tych konkretnych ludzi, ale mechanizm, który doprowadził do powstania tych błędów kadrowych. Regułą w czasie nominacji generalskich jest, że po uroczystości podchodzi się z gratulacjami. 29 listopada 2016 roku byłem w Pałacu Prezydenckim...

...dlaczego 29 listopada? Nominacje generalskie tradycyjnie wręczane są 11 listopada.

To był ten pierwszy moment, kiedy prezydent miał wątpliwości. Nawet nie on sam z siebie, tylko jego personel uzmysłowił mu, że tam są ludzie, którzy nie spełniają wymogów formalnych. Departament Prawa w Biurze Bezpieczeństwa Narodowego wskazał, co jest nie tak. Odbyły się jakieś negocjacje i zawarto kompromis. Nie wiem, czy prezydent nie zapłacił zbyt wysokiej ceny, bo przeforsował zaledwie jednego swojego kandydata, a minister słowa nie dotrzymał, skoro rok później prezydent w ogóle nie zdecydował się na wręczenie nominacji.

Mówimy o generale Robercie Jędrychowskim.

Dokładnie.

Z którym prezydent studiował na jednym roku.

Byli nawet w jednej grupie.

Pogratulował mu pan?

Gratulacje złożyłem garstce osób. Niestety połowa z tych ludzi nie spełniała wymogów formalnych, żeby zostać generałami. Jak już mówiłem, nie mieli ukończonego Studium Polityki Obronnej. Uważam, że to był dzień hańby dla Wojska Polskiego.

Nie za mocno?

Nie.

Komu pan gratulował?

Podszedłem uścisnąć rękę generała Sławka Owczarka, artylerzysty. Dowodził pułkiem, ma duże doświadczenie. Odpowiednie wykształcenie. Zasługiwał na awans. Pogratulowałem generałowi Grzegorzowi Gielerakowi, ponieważ uważam, że jako dyrektor Wojskowego Instytutu Medycznego stworzył jedną z najlepszych placówek medycznych w kraju. Cywile walą tam drzwiami i oknami. Każdy chce się u niego leczyć.

Leczyła się tam również Jadwiga Kaczyńska. Leczy się Jarosław, wcześniej Lech...

Wiem o tym, ale nie wiążę tych spraw z awansem. Moja żona też się tam leczyła. Gielerak w tej mizerii wojskowej służby zdrowia buduje nową jakość. Zdobywa pieniądze z programów unijnych. Ściąga dobrych lekarzy, złych eliminuje. Działa jak generał.

Komuś jeszcze pan gratulował?

Sami z siebie podeszli do mnie generałowie Cezary Wiśniewski i Piotr

Krawczyk, rektor Wyższej Szkoły Oficerskiej Sił Powietrznych w Dęblinie. Wiśniewski miał zrobione studia, więc jego sytuacja formalnie była inna, choć uważam, że dostał ten stopień za wcześnie. Złożyłem im gratulacje, ale powiedziałem, żeby mieli świadomość, że generałem jest łatwo zostać, a trudniej jest nim być. Nie byli zachwyceni podtekstem tych słów. Po jakimś miesiącu spotkałem generała Wiśniewskiego. I chyba zaczynał rozumieć, co miałem wówczas na myśli.

Wiśniewskiemu się udało, bo poszedł na attaché do Waszyngtonu. Nawet jeśli popełni jakieś błędy, to utkną w zaciszu dyplomatycznych gabinetów.

Uważam, że to jeden z mądrzejszych młodych ludzi w Siłach Powietrznych, ale niestety nie odrobił lekcji na poszczególnych stanowiskach. Nie miał kiedy. Awans gonił awans. Myślę, że go skrzywdzono, i to trzykrotnie. Pierwszy raz, kiedy wyznaczono go na stanowisko inspektora MON do spraw bezpieczeństwa lotów. Wzięli go na to stanowisko z czwartego skrzydła lotnictwa szkolnego w Dęblinie, w którym zdążył szefować zaledwie cztery miesiące. Drugi raz skrzywdzono go, kiedy poszedł na inspektora Sił Powietrznych. Bez przygotowania, bez zaplecza. Trzecią krzywdą był ten attachat, bo to funkcja dyplomatyczna, do której już w ogóle nie dano mu żadnego wsparcia.

A co pan powiedział, kiedy rozważano jego kandydaturę na inspektora Sił Powietrznych?

Nic nie powiedziałem, bo nikt nie zapytał mnie o zdanie. Generała Tomasza Drewniaka również odwołano bez mojej zgody. On zresztą o swojej dymisji dowiedział się później niż jego podwładni, co nie tylko świadczy o braku klasy przełożonych, ale po prostu rozwala wojsko. Wojsko opiera się przecież między innymi na autorytecie. Ja jestem przekonany, że kierownictwo MON stosowało świadomą politykę

niszczenia autorytetów, i to na wszystkich szczeblach. Ministrowie bez żadnych konsultacji ze mną wzywali poszczególnych oficerów, stawiali im zadania. Protestowałem, ale nikt nawet nie udawał, że interesuje go moje stanowisko. Każdy minister grał w swoją grę. Poszerzał wpływy, załatwiał jakieś swoje interesy. W pewnym momencie miałem blisko 146 wakatów na kluczowych stanowiskach: zastępców dowódców dywizji, dowódców brygad, szefów wiążących komórek. Nie mogłem się doprosić mianowań, bo w MON trwała wielka akcja szperania po teczkach. Szukanie kwitów. Minister Macierewicz osobiście lustrował każdego oficera od majora w górę.

Młodszy oficerowie mówią, że stare dziadki zębami trzymały się stanowisk, a jak ich wyrzucili, to zrzędują.

Młodszy oficerowie powinni najpierw dojrzeć do zajmowanych stanowisk. Opowiem panu historię, która to opisuje. W czasie pierwszego dnia ćwiczeń Anakonda 2016 odbył się słynny desant połączonych wojsk. Był to największy od lat desant w Europie Środkowo-Wschodniej. Zadania mieli wykonywać żołnierze z amerykańskiej 82 Dywizji i Polacy z 6 Brygady. Przewidziane było, że na zakończenie meldunek złoży dowódca dywizji amerykańskiej, który się desantował i który razem ze swoimi żołnierzami przyleciał ze Stanów.

Ile godzin lecieli?

Ponad dwanaście. Przelot, tankowanie w powietrzu, podejście do strefy.

Ze strony Amerykanów to była manifestacja; pokazujemy Rosjanom: „Słuchajcie, jak chcemy, to w dwanaście godzin do was wpadniemy”.

To był raczej sygnał dla naszego społeczeństwa, że możemy liczyć na amerykańską pomoc. W ciągu pół doby ze Stanów Zjednoczonych może przylecieć kilka tysięcy żołnierzy. W czasie desantowania doszło do

sytuacji, która dla mnie jest najlepszym wyznacznikiem tego, co się obecnie dzieje w wojsku. W pewnym momencie generał Mark Milley [szef sztabu amerykańskich wojsk lądowych] zapytał, gdzie jest dowódca partnerskiej polskiej 6 Brygady, bo już wiedział, że jego podwładny, dowódca 82 Dywizji, desantował się razem z żołnierzami. Obecny dowódca, wtedy jeszcze pułkownik, dzisiaj generał, potwierdził, że jest na tym ćwiczeniu, ale na... trybunie vipowskiej.

Był na tyle nierozsądny, że się ujawnił?

Na trybunie padły pytania, które będę pamiętał do końca swoich dni. Milley zapytał pułkownika, jaką skończył szkołę. Usłyszał, że o kierunku pancernym, co wywołało entuzjazm pana generała, że taki strongman i tak dalej, i że to jest super. Kolejne pytanie: jaką kompanią dowodził? Niestety, ten oficer nie dowodził żadną kompanią. To kiedy był w Afganistanie? Nie był w Afganistanie. Ostatnie pytanie było gwoździem do trumny: „Kiedy ostatnio skakał pan ze swoimi chłopakami?”. Okazało się, że dowódca brygady powietrzno-desantowej był nieskaczącym oficerem.

Nie zapytał pana: „Miroslaw, jak to możliwe, że wybrałeś tego gościa na dowódcę?”.

Uprzedziłem go i powiedziałem, że nie była to moja decyzja kadrowa.

Co powiedział?

I know, I know. Mówię o tym nie po to, żeby poniżyć tego oficera, tylko pokazać, że zaburzony został mechanizm budowania kadr. Na etaty dowódcze wyznaczani są ludzie nieprzygotowani do tych stanowisk.

Którzy nie będą mieli autorytetu nie tylko wśród tych amerykańskich żołnierzy, ale i wśród własnych podwładnych.

Każdy podporucznik chce zostać kapitanem. Major pułkownikiem,

a pułkownik generałem. To normalne. Kłopoty zaczynają się wtedy, kiedy ścieżki tych karier przestają być normalne. Oficer, o którym mówiłem, 29 listopada zeszłego roku został awansowany do stopnia generała. Pomijam już tę historię z desantowania. W ustawie jest konkretny zapis, że generałem może zostać absolwent Studium Polityki Obronnej, a ten pułkownik takich studiów nie ukończył.

Pan skakał ze spadochronem?

Tak. Jeszcze w szkole oficerskiej przeszedłem szkolenie spadochronowe i odbyłem praktyczne desantowanie. Kurs był dobrowolny. Ale wśród nas była taka zasada, że kto nie skakał, to na wódkę z nim nie szliśmy, bo to był nieudacznik.

Oficer, o którym mowa, generał Grzegorz Hałupka, był pana podwładnym. Czy jako dowódca nie mógł pan mu powiedzieć: „Masz pan skakać i koniec”?

Powiedziałem mu, że powinien skoczyć, nawet jak miałby nogi połamać. Obiecałem, że umieścimy go w najlepszym szpitalu, ale niech oszczędzi wstydu sobie i armii. Pięć lat od niego starszy generał Marchwica, który był szefem wojsk aeromobilnych, skoczył, a on, dowódca brygady, który przygotowywał ją do tego ćwiczenia, nie skoczył. To jest porażka.

Dlaczego generał Marchwica skakał?

Bo to jest właśnie taki charakter faceta. Wojtek Marchwica, jak tylko dostał 6 Brygadę, od razu poszedł na szkolenie spadochronowe jak zwyczajny, szeregowy żołnierz. Ja, kiedy zostałem dowódcą generalnym, postanowiłem zapoznać się z warunkami służby wszystkich rodzajów sił zbrojnych. Zszedłem pod wodę z podwodniakami, wspinałem się na skałkach z podhalańczykami. Jeździłem wszystkimi rodzajami sprzętu, jakie mamy na stanie. Kiedy jechałem do pilotów, to przeszedłem najpierw wirówkę. Nie powiem, przyjemne to nie było. Ale dzięki temu lepiej

zrozumiałem ich pracę, uwagi na temat sprzętu. Dowódca nie może wierzyć tylko w papier. Papier, jak wiadomo, przyjmie wszystko.

Do ilu G doszedł pan w wirówce?

Przy pięciu powiedziałem stop. Potężne ciśnienie, mrowienie w oczach, zawęża się obraz. Oddech staje się krótki. Trzeba oddychać w specjalny sposób, żeby pompować krew do mózgu. Ogólnie – ogromny wysiłek fizyczny. A nasi piloci dochodzą do dziewięciu G. Podziwiam tych ludzi.

Próbował pan podnieść rękę?

Nie da rady. Przynajmniej nie bez odpowiedniego przygotowania organizmu i przeszkolenia. Jak się wykonuje jakiś manewr, to wcześniej trzeba sobie zaprogramować – co ja będę robił, jak ja będę oddychał, jak będę się zachowywał. Jak jeszcze do tego dołożymy, że pilot ma się orientować w przestrzeni i prowadzić walkę powietrzną... Jakiś czas później dostałem sprawozdanie z Departamentu Kontroli, że należałoby ograniczyć ilość dni, które piloci spędzają w ośrodku kondycyjnym w Zakopanem. Dużym szczęściem autora raportu był fakt, że Departament Kontroli nie podlegał mojemu zwierzchnictwu.

Papierek

Kim jest Bartłomiej Misiewicz?

Papierkiem lakmusowym.

Słucham?

Bartłomiej Misiewicz posłużył ministrowi Macierewiczowi jako papierek lakmusowy. Za jego pośrednictwem minister poddał nas próbie i z przykrością stwierdzam, że wypadła ona raczej negatywnie. Misiewicz

pokazał, jaki jest stan naszego wojska. Szczerze mówiąc, cieszę się, że taki Misiewicz się pojawił.

Obnażył was?

Obnażył do cna. Pewien oportunizm w stosunku do przełożonego jest wpisany w każdą służbę mundurową. Jesteśmy wychowywani w duchu posłuszeństwa, wykonywania rozkazów. Ale skala tej służalczej wręcz uległości kompletnie mnie skonsternowała. Nie spodziewałem się takiej postawy u oficerów. Ludzie na różnych szczeblach dowodzenia pokazali, że dla kariery gotowi są zrobić właściwie wszystko. Kiedy odchodziłem, publicznie powiedziałem, że Misiewicz jest tylko symptomem choroby. Przecież mamy regulaminy i wypracowane zasady postępowania na niemal każdą okoliczność. W wojsku wiadomo, kogo i jak się wita. Komu należy się kompania reprezentacyjna, a komu nie. A wojskowi sami nakręcali narrację zwracania się do Misiewicza per „panie ministrze”.

Może nie walczyli o awanse, tylko o przetrwanie.

Nieprzekraczalną granicą jest honor oficera.

Wciele się w rolę adwokata diabła. Misiewicz przyjeżdża do 12 Dywizji, a jej dowódca generał Andrzej Reudowicz nie wychodzi przywitać go przed jednostką, tylko przez adiutanta zaprasza do gabinetu, i za to traci stanowisko. W takiej sytuacji w głowie każdego mniej zasłużonego oficera ma prawo pojawić się strach. I trudno się dziwić, że wykonywali te wszystkie gesty z trzymaniem mu parasolki nad głową i celebrą godną Kazachstanu.

Sam generał Reudowicz, żegnając się ze swoimi podwładnymi z 12 Dywizji, mówił, że najważniejsze w życiu żołnierza to honor. Jak się go straci, to przestaje się być żołnierzem.

A pan w kontaktach z Misiewiczem nie ma sobie nic do zarzucenia?

Domyślam się, że pije pan do wypowiedzi generała Romana Polko, który wręcz pouczał mnie, że powinienem rozliczyć dyscyplinarnie tych, którzy trzymali nad Misiewiczem parasolki. Uważałem, że rolą dowódcy jest przede wszystkim rozliczać osobę, która takie sytuacje prowokowała, czyli samego Misiewicza. Odbyłem z nim szorstką rozmowę. Choć nie sędzę, żeby zrozumiał, o co mi chodzi. Rolą dowódcy jest również stawać w obronie swoich podwładnych. I tak też robiłem. Jak pan może zauważył, generał Reudowicz nadal jest w linii. Zajmuje eksponowane stanowisko w strukturach NATO, jest dowódcą Joint Warfare Centre, które zajmuje się planowaniem i prowadzeniem ćwiczeń w Sojuszu. Nie pracuje już w Polsce, tylko w Stavanger w Norwegii, ale cały czas nosi polski mundur. Udało mi się przekonać pana ministra, że odejście generała byłoby wielką stratą dla sił zbrojnych.

Udało się panu uzmysłwić Macierewiczowi, że zwolnienie przez chłopca z apteki kanclerza kapituły Orderu Krzyża Wojskowego, najwyższego odznaczenia wojskowego nadawanego w czasie pokoju, byłoby po prostu grubym skandalem.

Nie ukrywam, że używałem tego argumentu. Problem nie dotyczył tylko generała Reudowicza. On potrafiłby obronić się sam. Grzebanie w kadrach rozpoczęło się, jak tylko nowa ekipa objęła władzę. Dymisje były tak pośpieszne, że nie wystawiano nawet oficjalnych pism, tylko drukowano formularze i nazwiska osób do zwolnienia wpisywano długopisem niemal na kolanie. Zwróciłem się do Departamentu Kadr i poprosiłem, żeby wszystkie tego typu dokumenty przechodziły przez moje ręce, co jest zresztą zgodne z przepisami. O dobrym zwyczaju już nie wspominając.

Zwalnianie na świstkach papieru wypisywanych długopisem

miało być jednym ze sposobów dodatkowego poniżenia tych ludzi?

Nie sędzę. Myślę, że był to tylko bonus. Chodziło raczej o brak zaufania. Przejmując władzę, nie mieli tylu zaufanych oficerów, żeby móc zwolnić cały Departament Kadr. Wstawili więc swojego szefa, a reszcie pracowników nie ufali na tyle, żeby prosić o profesjonalnie przygotowane druki decyzji kadrowych. To zresztą bardzo wymowne, że dyrektorem Departamentu Kadr został prokurator, pan Waldemar Puławski. Stosunkowo szybko zresztą odszedł z MON i poszedł do Ministerstwa Sprawiedliwości na zastępcę prokuratora generalnego do spraw wojskowych.

Jak się wam współpracowało?

Współpracowało to chyba za duże słowo. Odbyliśmy kilka rozmów, nawet sympatycznych, ale nie zauważyłem, żeby coś z nich wynikało. Ja przedstawiałem rozwiązania, ale nie były one wówczas realizowane. Nie były chyba najgorsze, skoro minister najpierw własnoręcznie napisał na jednym z moich pism: „Brak zgody”, a kilka miesięcy później wprowadził to rozwiązanie jako własny patent i bardzo się nim chwalił.

Misiewicz zwalniał oficerów osobiście?

Niczego nie ma na piśmie.

To skąd wiadomo, że to on zwalniał?

Z życia. Misiewicz jedzie do jednostki. Skarzy się na dowódcę. Mija kilka dni i oficer traci stanowisko. Mało kto zdaje sobie sprawę z tego, jaką ten młody człowiek miał, a moim zdaniem nadal ma, pozycję w Ministerstwie. W czasie jednej z uroczystości na placu Piłsudskiego podszedł do mnie generał Andrzej Kowalski, szef Służby Wywiadu Wojskowego, i poprosił, żebym zrobił miejsce na trybunie dla ministra Misiewicza. Byliśmy na ty i przyznaję, że mnie poniosło, więc odpowiedziałem szorstko: „Andrzej, kurwa, dla jakiego ministra? Przecież to jest dyrektor. A tak naprawdę, to

on nawet dyrektorem nie jest, tylko szefem gabinetu”. Ludzie bali się Misiewicza, bo czuli, że ma pełne poparcie ministra Macierewicza, a na dodatek nie ma wiedzy, doświadczenia i żadnych hamulców. Mordercze połączenie. Wylecieć mógł właściwie każdy.

A jak było z wywaleniem dowódcy podhalańczyków Zenona Brzuski?

Mniej więcej tak samo jak z generałem Reudowiczem. Decyzję o przeniesieniu go do rezerwy kadrowej dostałem do rąk własnych. Szlag mnie trafił, bo ceniłem tego oficera. Nie było do niego zastrzeżeń. W pierwszej kolejności pojechałem do dyrektora Departamentu Kadr. On natychmiast się zasłonił, że to jest sprawa Misiewicza.

Wprost to powiedział?

Tak. Nie nagrywałem, pozostaje wierzyć mi na słowo oficera. Ale powiedział: „Ja nie mam z tym nic do czynienia, to jest sprawa Misiewicza”. W zasadzie bardzo mnie to nie zdziwiło, bo od kiedy zaczęły się rządy ministra Macierewicza, resort funkcjonuje według zdania, które zapamiętałem z lekcji angielskiego – zasada jest taka, że nie ma zasad. Tam chodziło o gramatykę, a tu o codzienną pragmatykę. Z Departamentu Kadr pojechałem prosto do Misiewicza.

Do jego gabinetu na Klonowej?

Konkretnie to do sali gimnastycznej przy ministerstwie, bo właśnie grał w badminton. Podobno bolały go przytyki pod adresem jego sylwetki i ją poprawiał. Wiem z dobrego źródła, że moja wizyta go oburzyła, ponieważ nie byłem umówiony, a on nie przyjmował bez umówienia. Powiem szczerze, że dużo mnie to spotkanie kosztowało.

Jakich pan używał argumentów?

Merytorycznych. Powoływałem się na konkretne sytuacje, w których

pułkownik Brzuszek chwalony był przez samego Antoniego Macierewicza. Zwłaszcza za współdziałanie z obroną terytorialną, która była przecież oczkiem w głowie nowej władzy.

Jak się pan do niego zwracał?

Oficjalnie. Ale z pewną dozą perswazji: „Panie dyrektorze, liczę, że uda się tę decyzję zmienić, rozpatrzyć ją jeszcze raz”.

Misiewicz jakoś skomentował, dlaczego chciał wyrzucić dowódcę podhalańczyków?

Z drugiej ręki wiem, że poszło o to, że w czasie wizyty Misiewicza w jednostce zachowywał się nonszalancko. Co jest o tyle zabawne, że po wizycie Brzuszek był przekonany, że zostanie wyróżniony za jej organizację. Sprawa zwolnienia Brzuski ciągnęła się prawie trzy miesiące. Łatwo sobie wyobrazić, jaki to miało wpływ na jednostkę, ale nie sądzę, żeby w Ministerstwie ktoś się przejmował takimi drobiazgami. Sprawę wziąłem na siebie i nie nadałem pismu biegu. Wsadziłem je do szuflady i czekałem na właściwy moment, żeby przeskoczyć Misiewicza i osobiście dotrzeć do ministra Macierewicza. Okazja nadarzyła się po mszy w miejscowości Brzegi. Poprosiłem ministra o rozmowę w kwestiach istotnych. Nie mówiłem, o co chodzi. Minister się zgodził. O odbyliśmy serię, chyba czterech, spotkań, *face to face*.

W jakiej atmosferze?

Można by pomyśleć, że były to spotkania dwóch przyjaciół. Przyjmował to, co mówiłem, z jakimś głębokim zrozumieniem, z akceptacją. Potakiwał, przyznawał mi rację. No pełne porozumienie. Nawet w kwestii pułkownika Brzuski była zgoda. Kiedy przedstawiłem mu przebieg kariery i dokonania Brzuski, minister skomentował, że Misiewicz jest jeszcze młodym człowiekiem, uczy się, i że da mi odpowiedź, jakie podejmie kroki w tej sprawie.

Brzuszek to jakiś pana kolega?

Wszyscy, którzy noszą mundur, są moimi kolegami. Kolegami w służbie. Walczyłem o niego z egoizmu i altruizmu. Egoizmu, bo gdybym odpuścił, to straciłbym twarz w oczach podwładnych. Nie mogłem wysłać na emeryturę świetnego oficera tylko dlatego, że nie strzelił odpowiednio głośno obcasami przed protegowanym ministrami. A ten altruizm związany był z interesem armii, który dla dowódcy powinien być ważniejszy niż jego własny. Brzuszkę poznałem bliżej, kiedy byłem na rekonesansie w Afganistanie. Wpadł mi w oko, bo kiedy przedstawiałem jakąś koncepcję, to ją skrytykował. Ludzie, którzy mają odwagę wejść w merytoryczny spór z przełożonym, od razu zyskują moje zainteresowanie. Lubię takich ludzi. Jeśli ktoś się ze mną nie zgadza, to znaczy, że nie dość, że słucha, to jeszcze ma własne zdanie. Bliżej poznałem go, kiedy był zastępcą dowódcy w 17 Brygadzie Zmechanizowanej. Dwukrotnie byłem dowódcą tej jednostki i nie będę ukrywał, że była bliska mojemu sercu. Często mnie tam zapraszano na uroczystości, więc mogłem się przyjrzeć jego pracy z bliska. Uważałem, że to człowiek myślący, z inicjatywą. Szkoda byłoby go stracić.

Jak pan wypadł w tej potyczce?

Moim zdaniem można mówić o remisie ze wskazaniem. Pułkownik Brzuszek co prawda stracił dowództwo w 21 Brygadzie Strzelców Podhalańskich, ale nie musiał odchodzić z wojska. Minister wybrnął z tego w sprytny sposób, awansując go na stanowisko dowódcy wielonarodowej brygady. Obserwując zachowanie Macierewicza, muszę przyznać, że w kwestii manipulowania jest mistrzem. W czasie uroczystości przekazania pułkownikowi Brzuszcemu dowodzenia mówił o nim w samych superlatywach. Takiej laurki dawno nie słyszałem. Nie wiem, czy drgnęła mu chociaż powieka, ale nie sądzę.

Remis ze wskazaniem na kogo?

Gdybym był mniej skromny, tobym powiedział, że na mnie. Ale myślę, że był to remis ze wskazaniem na armię. Udało się obronić dobrego oficera. Pokazać innym, że charakter jest w cenie.

Dużo było takich sukcesów?

(cisza) Niestety, niedużo. W wojsku mówi się czasem ironicznie, że każdego szkoda. Ale jeśli chodzi o tych zwalnianych oficerów, to bez ironii i z pełną odpowiedzialnością mogę powiedzieć, że właściwie każdego z nich mi szkoda. Było kilka decyzji kadrowych ministra Macierewicza, które mi się podobały. Nie po każdym generale płakałem. Nazwiska trzech już wymieniłem, ale było ich więcej. Był krąg oficerów, z którymi sam toczyłem spory, żeby nie powiedzieć wojny. Ale czystka kadrowa w wykonaniu pana ministra negatywnie odbiła się na stanie armii. A wszystkie negatywne skutki dopiero odczujemy, kiedy trzeba będzie obsadzać brygady, dywizje, stanowiska za granicą. Wielu potencjalnych kandydatów, w kwiecie wieku, w najlepszym momencie kariery, wysłaliśmy na emerytury. Oni bez armii sobie poradzą. Armia bez nich będzie radziła sobie dużo gorzej.

Niektórzy związani z panem oficerowie nie tylko nie wylecieli, ale nawet awansowali.

Myślę, że w dużej mierze o losie oficera decydowała kwestia przyjętej strategii. Mój szef sztabu, generał Michał Sikora, chętnie gościł u siebie pana dyrektora Bartka. Opłaciło się, awansował na zastępcę szefa Sztabu Generalnego.

Lista jest długa.

Nie dziwiło mnie na przykład, że generał Śliwka dobrze odnalazł się w kontaktach z nowymi przełożonymi. Niektórzy po prostu mają taką konstrukcję żagla. Postawa innych bardzo mnie dziwiła. Te słynne zdjęcia z Misiewiczem w czołgu wyciekły z jednostki, którą dowodził generał

Marek Sokołowski, o którym miałem dobre zdanie. Komandos z krwi i kości. Lekko narwany, ale dzielny. Misiewiczza w jednostce przyjmował jednak z pełnymi honorami. Opłaciło się. Z dowódcy brygady poszedł na dowódcę dywizji. Mój następca, generał Jarosław Mika, również wygląda na zadowolonego ze wszystkich decyzji położonych. Jak się słucha nowych dowódców, to wygląda na to, że wojsko jest krainą mlekiem i miodem płynącą.

A nie jest? Dwie podwyżki, wyrównanie pensji, regularne nagrody. Wojsko nigdy tak dobrze nie zarabiał.

A jednocześnie nigdy nie było tak bezbronne. I nie jest to żadna kontrowersyjna teza. Sam minister mówił o tym w maju 2016 roku w czasie audytu. Od czasu jego sejmowego wystąpienia sprawy nie idą w lepszą stronę, więc traktuję te słowa jako obowiązujące.

Sam pan pewnie wsadził niejednego VIP-a do czołgu czy do rosomaka.

Wsadzałem, ale nie po to, żeby wyszedł z czołgu z kolejną gwiazdką dla mnie, tylko żeby zobaczyć, w jakich warunkach służą żołnierze. Doświadczył naszego życia i na przykład lobbował za nowymi zakupami dla wojska. Na nowe bojowe wozy piechoty czekamy od dwudziestu lat. Świętego z siebie nie robię, bobym się ośmieszał. Przez tyle lat w wojsku popełniałem różne błędy. Sztuką jest wyciągać z tych błędów wnioski.

Porozmawiajmy o tych błędach.

Błędem było na przykład to, że wprost nie powiedziałem moim ludziom, że koniec z tym czapkowaniem Misiewiczowi. Mówiłem o standardach, zasadach, regulaminach, nie odnosząc tego do konkretnej osoby. Wtedy wydawało mi się, że w ten sposób uniknę zaangażowania politycznego. Dziś wiem, że to był błąd. Ta ekipa ma rewolucyjną mentalność – kto nie z nami, ten przeciw nam. Różański krytykuje, widać jest człowiekiem

Siemoniaka.

A nie jest?

Różański jest człowiekiem pani Różańskiej. Poza żoną nie czuje się niczym człowiekiem. Pierwszą gwiazdkę generalską wręczał mi prezydent Kwaśniewski, drugą prezydent Lech Kaczyński, trzecią prezydent Komorowski. Dlaczego nie słyszeć, że jestem człowiekiem prezydenta Kaczyńskiego, tylko kiedy chce się mnie zaatakować, mówi się, że jestem człowiekiem Platformy Obywatelskiej. To jakaś obłądna plemienna logika, że ktoś jest nasz albo nie nasz. A przecież Polska powstała jako państwo tylko dlatego, że Mieszko zdołał połączyć interesy wielu plemion. Odmienne myślenie to cofanie się do czasów sprzed Mieszka.

Dogadał im pan.

Zdaję sobie sprawę, że to może banalna argumentacja, ale innej nie znajduję, bo dzielenie państwa na gorszy i lepszy sort to krok w tył. Tak działał okupant. Demokratycznie wybrana władza nie może tak myśleć.

Czterej pancerni

Czy władze resortu to ludzie, którzy grają w jednej drużynie?

Moim zdaniem nie grają. To nie jest zespół. Raczej zlepek postaci, które połączyły wydarzenia i obszar, którym się zajmowały, albo, tak jak w wypadku wiceministra Kownackiego, zaledwie się o niego otarły.

To nie są pretorianie Macierewicza?

Są z nim związani, ale bardziej strachem niż nicią wielkiego porozumienia. Myślę, że nie do końca sobie wzajemnie ufają. Minister Macierewicz dba o to, żeby nikt nie wzmocnił za bardzo swojej pozycji. Już

sam rozdział kompetencji na to wskazuje. Do zakupów skierowano ministra Kownackiego, którego wiedza w tym zakresie jest mniej niż przeciętna. Z kolei minister Tomasz Szatkowski, który ma największe doświadczenie w resorcie w sprawach związanych ze sprzętem i jego pozyskaniem, został rzucony na inny odcinek, choć kontakty i otrząskanie w świecie wielkiej polityki nie są jego najmocniejszą stroną.

Szczyt NATO uznany został za wielki sukces.

Szczyt NATO w Warszawie był przygotowywany długo przed tym, zanim nowa ekipa przejęła władzę. Efektywność polityki zagranicznej oceniamy po pozycji Polski w Sojuszu. A ta w mojej ocenie nie rośnie. Wcześniej Polska była wymieniana jako nieformalny członek „klubu Big Six”, sześciu państw, których głos najbardziej liczy się w strukturach. Oczywiście mieliśmy tę pozycję, ponieważ więksi gracze uznali, że możemy skupiać państwa z regionu. Możemy być swego rodzaju pośrednikiem w kontaktach z Litwą czy Węgrami. Po tym, jak skłóciliśmy się niemal z całą Unią, jesteśmy na marginesie Sojuszu. Ministrowi Szatkowskiemu dwa lata zajęło umówienie swojego szefa na spotkanie z najważniejszymi politykami w USA. Jego poprzednik na tym stanowisku, wiceminister Robert Kupiecki, wyjeżdżając do Stanów Zjednoczonych, nie miał problemu, żeby spotkać się z sekretarzem stanu czy z szefem Kolegium Szeferów, który z wieloma politykami był po imieniu. Teraz Polska nie jest już w żadnym elitarnym klubie. Z rotacyjnej obecności w Polsce właśnie zrezygnowali Kanadyjczycy. Decyzja ta nie została specjalnie nagłośniona, bo też nie ma się czym chwalić. Poprzedniej ekipie udało się przekonać zachodni świat, że Rosja jest nieobliczalna i Polskę oraz kraje nadbałtyckie należy otoczyć międzynarodowym parasolem ochronnym. Polska polityka zagraniczna była niezwykle skuteczna. I miała dobry odbiór. To już przeszłość.

Minister Szatkowski został teraz rzucony na odcinek reformy struktury dowodzenia.

Pan Szatkowski to młody, czytany i ambitny człowiek. Ma dużą wiedzę o sprawach związanych ze sprzętem, historią wojskowości. Doceniam to. Ale jest pewien próg kompetencji, i on sam to wyczuwa. Odbyłem z nim około dwudziestu spotkań i niemal na każdym mówił, że jest laikiem w sprawach wojskowości. Jak jesteś laikiem, to albo się tym nie zajmujesz, albo odrabiasz lekcje. Najlepiej z jakimś dobrym korepetytorem. Ministrowi najwidoczniej kogoś takiego zabrakło, skoro zaproponowany przez niego nowy system dowodzenia jest kopią starego systemu, z którego się wycofaliśmy, bo był nieefektywny i przestarzały. Wszystkie armie świata idą w łączenie, a my znów będziemy rozbijać armię na poszczególne rodzaje sił zbrojnych. Zawracanie kijem Wisły.

Czy Macierewicz daje swoim wiceministrom dużą swobodę?

Myślę, że jeżeli byśmy na to spojrzeli bez żadnych uprzedzeń, to jest to model wręcz wzorcowy. Mam podwładnych, którym wskazałem kierunki i pozwalam im się realizować. Jednocześnie przerzucam na nich odpowiedzialność i konsekwencje. To jest coś, czego nie potrafił na przykład minister Bogdan Klich, który chciał wszystkim zarządzać osobiście, nad wszystkim mieć kontrolę. Ten styl sprawowania władzy przysporzył mu wielu kłopotów, bo jeden człowiek nie jest w stanie sprawnie zarządzać takim wielkim i skomplikowanym organizmem, jakim są siły zbrojne.

A jaką rolę pełni w tym wszystkim minister Macierewicz?

Zasadniczą. Spaja tych ludzi. Rozdziela im zadania i rozlicza z ich wykonania. Część z nich pracowała nad weryfikacją WSI, więc sprawdzili się w momencie próby i teraz mogą odcinać od tego kupony.

Z boku resort wydaje się monolitem.

Monolitem był podukład: Misiewicz, wiceminister Bartłomiej Grabski i Radosław Peterman, dyrektor Departamentu Kadr. Wielokrotnie było

tak, że kiedy próbowałem się skontaktować z dyrektorem Petermanem, to akurat był u ministra Grabskiego. Obydwaj panowie wyświadczali sobie różne przysługi.

Kto ma kadry, ten ma władzę?

Departament Kadr jest newralgiczny i istotny. Jest tylko kwestia, ile ma kompetencji. U nas w resorcie obrony narodowej już od lat dyrektorzy Departamentu Kadr mieli ogromne kompetencje. Mieli uprawnienia delegowane od ministrów do podejmowania decyzji do szczebla pułkownika włącznie. A już chyba najwięcej kompetencji zgromadził w poprzednim systemie generał Wasilewski, który był panem życia i śmierci oficerów, podoficerów, a nawet szeregowców. Podejmował nawet decyzje, kto może iść do szkoły podoficerskiej, a kto nie.

Kownacki nie był częścią tej podgrupy?

Słyszałem komentarz Misiewicza o Kownackim, coś w stylu: „Niech weźmie jeszcze jedno relanium i się uspokoi”. Takie słowa nie wskazują na dużą zażyłość. Między nimi chemii raczej nie było.

Minister Grabski ma z kolei opinię człowieka, po wizycie którego trzeba zażyć relanium.

Minister Grabski należy też do ludzi, którzy nie znoszą sprzeciwu i potrafią to wyartykułować. Jego pozycja w resorcie jest bardzo niedoszacowana. Zresztą z premedytacją, bo to jest człowiek, który woli działać z drugiego szeregu. On się nie pcha do kamer, tylko robi swoją robotę. Wiele spraw w ogóle nie jest z nim kojarzonych, ponieważ chętnie chowa się za parawanem Departamentu Kadr. Z moich informacji i obserwacji wynika, że wiele decyzji, które przypisywane są ministrowi Macierewiczowi, to tak naprawdę robota ministra Grabskiego, który jest szarą eminencją tego resortu. O ile minister Kownacki musiał się anonsować przed wizytą u ministra Macierewicza, to Grabski po prostu do

niego wchodził.

Jak to się stało, że tak szybko odnalazł się w resorcie?

Minister Grabski pracował w Agencji Mienia Wojskowego, a później w Biurze Bezpieczeństwa Narodowego. Przyglądał się wojsku długo i dużo się nauczył. Sprawnie poruszał się w tej biurokratycznej maszynie, a jednocześnie jako były dyrektor Biura Kontroli i Audytu Wewnętrznego nauczył się, żeby nie pozostawiać po sobie za dużo śladów w dokumentach. Lubił załatwiać sprawy przez telefon.

Dzwonił do pana.

Powiedzmy, że podejmował pewne próby. Pamiętam moje zdziwienie, kiedy zaangażował się w pomoc wójtowi blisko związanemu z PiS-em. Nie pamiętam już, o jaką miejscowość chodziło. Usunięto tam płaskorzeźbę jakiegoś rosyjskiego generała, ale został cokół. Wójt napisał do szefa MON, żeby wojsko bezpłatnie rozebrało ten cokół. Dla moich ludzi to błahostka. Ale dla Żandarmerii Wojskowej to już jest przekroczenie obowiązków i podstawa do wszczęcia postępowania. Obawiałem się też, zresztą słusznie, że po jednej takiej prośbie pojawią się następne. Wojsko przerabiało już czasy, kiedy żołnierze robili za chłopców na posyłki. Nie miałem ochoty na powtórkę tej sytuacji. Stąd brała się moja wstrzeźliwość. Odpisałem, że nie rozbierzemy cokołu, bo nie mieści się to w naszych zadaniach. Grabski otrzymał polecenie od ministra, żeby mnie zdyscyplinować. Cokół zniknął, bo tak się szczęśliwie złożyło, że stanął na drodze jednej z moich jednostek i jego rozebranie było elementem ćwiczenia.

Stanęło na jego.

Pojawiły się możliwości i okoliczności, żeby sprawa została załatwiona zgodnie z prawem. Były jednak sytuacje, że takich okoliczności nie było. Minister Grabski przeprowadził ze mną rozmowę na temat przekopania

Mierzei Wiślanej. Chodziło o pozytywną opinię na temat zasadności tych działań z punktu widzenia wojskowego. Cała Mierzeja Wiślana objęta była programem Natura 2000. Regulacje Natury 2000 można uchylić, jeżeli między innymi są uzasadnienia militarne. Moim zdaniem takowych nie było, bo w Elblągu nawet najmniejsza jednostka Marynarki Wojennej nie byłaby w stanie przeprowadzić manewru zmiany kierunku. Po szerokich analizach odpowiedź była negatywna, co bardzo się nie spodobało panu ministrowi. Pojechałem do niego i pytam: „Czy pan wie, jaka jest średnia głębokość Zalewu Wiślanego?”.

Jaka?

Średnia głębokość wynosi 1,6 metra, a miejscami spada do 1,2 metra. Nawet motorówki, których używamy w Marynarce Wojennej, nie popłynęłyby bezpiecznie przy takim zanurzeniu. A minister nalegał na uzasadnienie, że do Elbląga będą wpływały okręty Marynarki Wojennej.

Dlaczego w to brnął?

Nie mam wglądu w myśli pana ministra, ale uważam, że chodzi o kwestie ambicjonalne i chęć zagrania na nosie Federacji Rosyjskiej. Może ktoś chce otworzyć jakiś biznes turystyczny?

Ktoś się nagiał?

Sprawa poszła do dyrektora Departamentu Infrastruktury. Oficera, który miał odejść z wojska, ale jednak go zatrzymali i nawet został wysłany na ten niedzielny kurs generalski. Nie znam ciągu dalszego, ale z mediów wiem, że Mierzeja będzie jednak przekopana. Widocznie ktoś z wojskowych się pod tym podpisał. Ja ostrzegałem moich ludzi, żeby szanowali swoje podpisy, bo to do nich przyjdzie kiedyś prokurator, a nie do tych, którzy odbywali z nimi trudne rozmowy. Po takich rozmowach nie ma żadnych śladów.

Po działaniach ministra Grabskiego również.

Minister Grabski z jakimś ogromnym zainteresowaniem zaczął spoglądać na Bydgoszcz, czyli Inspektorat Wsparcia, który zgodnie z rozdziałem kompetencji podlegał dowódcy generalnemu. Grabski złamał tę zasadę i zaczął osobiście sterować Inspektoratem Wsparcia. Na początku generałem Edwardem Gruszką, ale chyba mu to nie wychodziło, więc go odwołano. Na stanowisko inspektora powołano generała Dariusza Łukowskiego, który skądinąd jest jednym z lepszych logistyków.

Miał taką opinię.

Tylko że on musi mierzyć się z tym, co minister Grabski wyobraża sobie na temat wyposażenia żołnierza. Nie patrząc w ogóle na to, co jest zapisane w programie rozwoju sił zbrojnych, a dokładnie w centralnych planach rzeczowych. Nie twierdzę, że wszystkie projekty i plany były dobre, bo sam postponowałem niektóre z nich, jak na przykład modernizację lotniska w Inowrocławiu, co uważam za inwestycję chybiającą. Kłopoty pojawiły się, kiedy minister Grabski zaczął wpływać na to, jak prowadzone są przetargi w zakresie zaopatrzenia żołnierzy, jak wykonywane są remonty. Pan minister Grabski potrafi wskazać podmiot, który jego zdaniem jest zły, jeżeli chodzi o realizację niektórych inwestycji, uczestnictwo w przetargach. Taką opinię wyraził o jednej z największych zachodnich firm budowlanych.

Wprost powiedział, że nie jest dobra?

Że nie będzie budowała, bo to nie jest polska firma.

A może tak powinno być, niech Polacy zarabiają na polskiej armii.

Ale czy w tej firmie pracują tylko cudzoziemcy? Jeśli chcemy, żeby wygrywały tylko firmy rdzennie polskie, to stwórzmy stosowne akty prawne. Kłopoty zaczynają się, kiedy tracimy przejrzystość procedur.

Agencja Mienia Wojskowego ma własną firmę budowlaną. Tylko że ona sama w sobie nie ma takich zdolności jak na przykład zachodnie firmy budowlane. Wygrywa przetarg, a na końcu bardzo często bierze podwykonawców. Zgadza się z tym, że trzeba w Polsce budować potencjał i produkcyjny, i remontowy, i serwisowy. Budowanie przez wycinanie konkurencji nie podniesie kwalifikacji ani jakości.

Mówił pan, że pojawiły się kolejne prośby.

Minister Grabski uznał, że czołgi T-34 na pomnikach to symbol radzieckiej dominacji nad Polską i należy je wszystkie usunąć. Mówił, że to niezwykle ważne dla resortu, żeby ten problem zniknął. Zwrócił się do mnie z prośbą, żebym się tym zajął. Rozmowa oczywiście była ustna. Poprosiłem go o pismo w tej sprawie, ale nigdy go nie dostałem. Taka metoda zarządzania nie dotyczyła tylko ministra Grabskiego. Cała ta ekipa funkcjonuje tak, żeby nie podpisywać żadnych dokumentów, z których musieliby się później tłumaczyć w prokuraturze.

A jakby pan dostał to na piśmie, to usuwałby pan te czołgi?

Żołnierz ma prawo kontestować rozkaz wtedy tylko, gdy jest niezgodny z prawem. W rozmowie z ministrem Grabskim zwróciłem mu uwagę, że w tych czołgach walczyli i ginęli za ojczyznę polscy żołnierze. Taka jest historia i usuwanie czołgów jej nie zmieni.

A tak naprawdę dlaczego nie chciał pan ich usuwać?

Jaki to ma sens? Na zachód od Bramy Brandenburskiej znajduje się monument poświęcony żołnierzom radzieckim. Stoi tam radziecki sprzęt. Nikt go nie burzy. W Wiedniu takich pomników mają kilka. Zainteresowałem się tym kiedyś i spytałem jednego z austriackich oficerów, dlaczego one jeszcze stoją i to zadbane, ciągle restaurowane. Usłyszałem, że to znak historii. Świadczy, które pozwoli pamiętać, jak było, dlaczego do tego doszło. Nasza historia nie będzie prostsza, jak

usuniemy parę pomników. Uważam, że zamiast fałszować historię, powinniśmy ją lepiej tłumaczyć. Mówić o tym, jaka była prawdziwa rola tych wojsk, a nie rozwiązywać problemy, niszcząc pomniki.

I jeszcze pewnie ma pan krytyczny stosunek do żołnierzy wyklętych?

Trudno mieć jednoznaczny stosunek, jeśli się trochę poczytało na ten temat. Wiadomo, że to nie były czarno-białe historie. To, co „Bury” wyczyniał na Podlasiu, to była zgroza. Z Podlasia przemieścił się na Podkarpacie i tam też zapisał się niesławnie. Można mu stawiać pomniki, ale ludzie i tak będą pamiętali, jak było.

A żołnierze wiedzą, jak było?

Żołnierze są przyzwyczajeni do słuchania. Część robi to bezrefleksyjnie. Większa część ma jednak swoje zdanie. Wezmą udział w tysiącu apeli, a swoje będą wiedzieli. Jestem pewien, że moda na żołnierzy wyklętych zniknie w wojsku tak szybko, jak zniknie z resortu ta ekipa rządzących. Narzucanie bohaterów na siłę nie może się udać we współczesnym społeczeństwie.

Dla ministra Grabskiego właśnie został pan piewą komunizmu.

Mam nadzieję, że dla pozostałych osób jestem po prostu piewą zdrowego rozsądku. Kiedy zostałem dowódcą generalnym, wydałem polecenie, że każdy dowódca garnizonu ma się zorientować, jakie cmentarze wojenne są na jego terenie, i ma o nie dbać. Ma dbać o wszystkie cmentarze wojenne niezależnie od narodowości pochowanych na nich żołnierzy. Mamy trudną historię. Po części zawdzięczamy ją sobie, że nie byliśmy w stanie obronić ojczyzny w 1939 roku. Później sprawy potoczyły się ponad naszymi głowami. Jeśli czegoś się obawiam, to powtórki tego scenariusza.

Wygląda na to, że ma pan jeszcze jakiś defekt proniemiecki.

Najlepszą bronią pancerną, jaką dysponujemy, jest niemiecki czołg Leopard. Pierwsze czołgi dostaliśmy od Niemców za przysłowiowe euro. Używamy tych maszyn dzięki uprzejmości darczyńców, bo to niemiecka armia zapewnia nam dostęp do części zapasowych. Gdybyśmy pozyskiwali je komercyjnie, trwałoby to znacznie dłużej i wiązałoby się z większymi kosztami. Niemcy podarowali nam te czołgi, bo wierzą, że jesteśmy częścią zachodniego świata i te czołgi będą bronić nie tylko Warszawy, ale i Berlina. Polska leży na rozstajach dwóch światów. Możemy być częścią cywilizacji zachodniej albo wschodniej. Przy naszym położeniu innego rozwiązania nie ma. Każde odsuwanie się od Zachodu oznacza zbliżanie się do Wschodu.

Macierewicz to ruski agent?

Proszę zapytać o to pana Piątka [Tomasz Piątek, autor książki *Macierewicz i jego tajemnice*]. Ja wiem tylko, że armia pod rządami tego ministra nie jest silniejsza. Kto na tym zyskuje, wiadomo. Co za tym stoi, to już dywagacje. Ja nie jestem w tym biegły.

Armia

W jakiej kondycji jest polska armia?

Źle pan formułuje pytanie. Tak postawione pytanie można skwitować dwoma słowami: dobrej albo złej. A żadne z tych słów nie wyczerpuje tematu. Bo jeśli mnie pan pyta, czy polska armia jest dziś w stanie samodzielnie odeprzeć atak ze Wschodu, to oczywiście nie i kropka. I każdy, kto mówi coś innego, albo kłamie, albo się nie zna.

To po co nam armia?

Czy medycyna jest w stanie wyleczyć każdego raka? No nie jest, ale zgodnie z narzuconą przez pana logiką trzeba by pozamykać szpitale. Armia spełnia tak wiele funkcji społecznych, że musiałbym opowiadać o tym do nocy.

Siedzę u pana już siedem godzin. Przyszedłem o godzinie osiemnastej, więc pomimo opuszczonych rolet zakładam, że już jest noc.

Wygląda na to, że w tej kwestii ma pan rację. W kwestii likwidacji armii nie ma pan jej wcale.

Nie chcę armii likwidować, tylko pytam: po co jest, skoro nie może nas obronić przed atakiem ze Wschodu, a właśnie takiego ataku najbardziej się obawiamy?

Chociażby po to, żebym jako dowódca generalny mógł zrobić ćwiczenia Anakonda z moim amerykańskim kolegą, generałem Benem Hodgesem [szef sił lądowych USA]. A w razie prawdziwych kłopotów generał Hodges wpadnie do nas nie na ćwiczenia i nie z dwunastoma tysiącami, ale na przykład ze stu dwudziestoma tysiącami amerykańskich żołnierzy. Mówię to oczywiście w wielkim uproszczeniu. Ale pozwoli pan, że wrócę do pana źle zadanego pytania. Nie chodzi o to, czy na dziś armia jest w dobrej czy złej formie. Należy odpowiedzieć sobie na pytanie, w jakim miejscu rozwoju jest armia. Użyję metafory z firmą, bo tak będzie łatwiej to wytłumaczyć. Polska armia swoimi korzeniami sięga czasów PRL-u. Do czasów sprzed drugiej wojny światowej nie ma co się odwoływać, bo tamte korzenie skutecznie usunięto w latach 50. Struktura armii jest rodem z PRL-u, rozmieszczenie jednostek zlokalizowanych głównie na wschodzie jest spuścizną po PRL-u. Wyposażenie w głównej mierze ciągle jest rodem z PRL-u. I taka struktura poddawana jest próbie generalnej.

Mówi pan o misjach?

Nie mówmy o misjach, bo to nazewnictwo narzucone przez polityków. My byliśmy na wojnie. Oni strzelali do nas, a my strzelaliśmy do nich. I raczej nikt nie celował w nogi. No więc pojechaliśmy na wojnę do Iraku, a następnie do Afganistanu. Wojna wydaje się być naturalnym środowiskiem dla wojska. A jednak okazało się, że wcale nie szło nam zachwycająco. Wręcz można powiedzieć, że przegrywaliśmy. Nie byliśmy w stanie realizować zadań, które nam postawiono. Traciliśmy ludzi.

Przystosuj się albo giń.

Otóż to. I nasi ludzie przystosowali się szybciej niż my, czyli ich dowódcy. Obłóżyli honkery [osobowo-ciężarowy samochód terenowy] workami z piaskiem, sami zaczęli dokupować sobie celowniki do broni, wyszperali w internecie, że magazynek może być przezroczysty i dzięki temu wiadomo, ile zostało naboji. Przez lata magazynek był metalowy, bo co komu po przezroczystym, jak na strzelnicy ma do wystrzelenia jeden, i potem idzie do domu. A na wojnie każdy magazynek jest na wagę złota, a czasem życia.

Czyli zarząd korporacji dał ciała, ale pracownicy pociągnęli?

Pracownicy szybciej zrozumieli, że świat się zmienił. A kadrze zarządzającej zajęło to więcej czasu. Czasu, którego nie miała, więc została wymieniona na nową. Ludzi młodszych, bardziej elastycznych, nastawionych na zmianę.

Mówi pan o sobie?

Również o sobie. Takich jak ja było więcej. Jednak nie tyłu, żeby dokonać gruntownej zmiany. Na misji z karabinem się jadło, spało i szło do latryny. A później wracaliśmy do kraju i karabin żołnierze oglądali od wielkiego dzwonu.

A po co mieli z nimi paradować w czasie pokoju?

Żeby nie tracić nawyków, żeby nabierać szacunku do broni, która jest ich narzędziem pracy. Mówię o tym, żeby wskazać pewną barierę mentalną, których pełno w polskiej armii. Żołnierz jechał na misję i dostawał hełm z kewlaru. Używał takiego hełmu, bo tylko taki dawał mu jakąkolwiek osłonę i szansę na przeżycie w razie trafienia w głowę. I ten sam żołnierz po powrocie do kraju oddawał hełm z kewlaru i dostawał zwykły blaszany. Przecież ci ludzie nie są idiotami. Ten przykład pokazuje, że nowoczesne narzędzia wymuszają nowoczesną organizację pracy. A nasza organizacja, czyli wojsko, przez lata nie chciała się zmienić. Miała w sobie naturalne dla każdej dużej organizacji mechanizmy inercji, oportunistów. Skoro latami tak było, to po co to psuć?

No właśnie?

Tylko że my nie chcieliśmy psuć, ale naprawiać. Chodzi o to, że wyczerpała się pewna formuła armii. To, co przez ostatnie kilka lat działo się w polskiej armii, było właśnie próbą znalezienia nowej formuły. Zmiana struktury dowodzenia...

...reforma struktury dowodzenia, którą pan wprowadzał, była fiaskiem, i dobrze pan o tym wie.

Ponieważ jest pan znacznie młodszy ode mnie, to złożę te słowa na karb pana młodości, czyli wieku, w którym świat widzi się w czarno-białych barwach. Mówi pan, że reforma była fiaskiem, a ja twierdzę, że była krokiem w dobrym kierunku. Ale krokiem niedokończonym, a może nawet źle postawionym. Tu nasze poglądy mogą się spotkać. Ta reforma nie weszłaby w życie w takim kształcie, gdyby to zależało tylko ode mnie. Po drodze grzebało przy niej tyle osób, że jej kształt stał się wypadkową różnych wizji.

Ładnie pan to nazywa, ale prawda jest taka, że narobiliście kupę bałaganu. Jeden dowódca wyrywał władzę drugiemu.

Tak się składa, że to ja byłem jednym z tych dowódców, więc na ten temat mogę powiedzieć więcej od pana. Były problemy kompetencyjne. Nie zaprzeczam. W pierwszej fazie nie brakowało chaosu. Biję się w pierś, choć nie ja ten chaos generowałem, tylko ludzkie ambicje. Proszę mi wierzyć, że ten zegarek zaczynał jednak coraz lepiej chodzić. Dalej trzeba go było często nakręcać i nie zawsze należało wierzyć, że dobrze pokazywał godzinę, ale działał z dnia na dzień coraz lepiej. I był to zegarek dokładnie taki, jakie nosi się na całym nowoczesnym świecie.

Strasznie dużo tych metafor.

Bo wojsko to, wbrew pozorom, skomplikowana sprawa, choć mówiło się na nas „tropy”. W całym tym wywodzie próbuję opowiedzieć o pewnej filozofii zmian. A ta była taka, że podzieliliśmy kompetencje na tych, którzy planują nasze działania, zakupy i funkcjonowanie na czas wojny, czyli Sztab Generalny. I tych, którzy to wszystko wdrażają w życie, czyli Dowództwo Generalne. A na koniec na tych, którzy te wdrożone i przygotowane nawyki wykorzystują na konkretnym teatrze działań – czyli Dowództwo Operacyjne.

A gdzie tu idea połączonych działań, o której tyle się trąbiło?

W rzeczywistej likwidacji jednego ze szczebli pośrednich, jakim były poszczególne rodzaje sił zbrojnych. Z układanki wypadały takie stanowiska, jak dowódca Wojsk Lądowych. Człowiek na tym stanowisku miał niewielką władzę według kompetencji, ale ogromną władzę rzeczywistą. To on decydował o losie prawie sześćdziesięciu tysięcy ludzi, dawał im awanse. Sama struktura systemu decydowała, że dowódcy rodzajów sił ze sobą rywalizowali. Walczyli o wpływy.

Więc o władzę zamiast czterech miało się bić dwóch.

Rewolucyjna reforma.

Wyczuwam pana cynizm i ironię, ale nie są one uzasadnione, bo ten

system się zgrywał i zaczynał działać. Propozycje ministra Macierewicza zakładają powrót do tej starej struktury. Powrót do PRL-u.

I znowu się pan czepia tego biednego ministra.

Minister Macierewicz w tym konkretnym wypadku nie ma żadnego znaczenia. Nieważne, czy będzie ministrem jeszcze rok czy dziesięć lat. Pewnych procesów nie można uniknąć, można je jedynie odłożyć w czasie. Oczywiście im czas będzie dłuższy, tym bardziej anachroniczna i niewydolna będzie nasza armia. Minister proponujący wzorce sprawdzone w PRL-u to oczywiście kłopot, ale zależy mi, żebyśmy weszli na nieco wyższy poziom postrzegania problemu. Problemu, z którym zmierzyła się armia amerykańska po przegranej wojnie w Wietnamie. Ich generałowie również uświadomili sobie, że wyczerpała się pewna formuła.

Mówi pan o armii z poboru.

Też. Chodzi tak naprawdę o szereg zmian, z których najbardziej zauważalna była ta ostatnia, czyli ograniczenie, a z czasem zniesienie obowiązkowego poboru. Ale ta jedna zmiana pociągnęła za sobą lawinę kolejnych. A właściwie małą rewolucję społeczną. Rewolucję pełzającą, bo jej wdrożenie, a przede wszystkim konsekwencje zaczęły być dostrzegalne dużo później.

Konkretnie w Iraku, kiedy w kilka dni zmiotli jedną z najliczniejszych armii na świecie.

To w zasadzie była egzekucja, a nie wojna, bo przewaga Stanów Zjednoczonych była miażdżąca. Mam na myśli nie tylko przewagę technologiczną. Amerykanie wygrali, bo żołnierze byli świetnie dowodzeni, wypoczęci, najedzeni i wiedzieli o każdym ruchu przeciwnika. W czasie walki oszczędzali siłę ludzką. Podnosiło to koszty prowadzenia konfliktu, ale kapitalnie wzmacniało morale. W efekcie żołnierze walczyli jeszcze chętniej. Ta wielka wygrana zaczęła się po tym, kiedy amerykańscy

dowódcy gotowi byli przyznać, że przegrali Wietnam, i potrafili wyciągnąć z tego wnioski. Przede wszystkim te pozytywne, czyli dostrzegli, że nie wszystko poszło tam źle. Sprawdził się na przykład śmigłowiec i manewrowość z nim związana.

Sugeruje pan, że nie wyciągnęliśmy wniosków z wojen, na których byliśmy?

Ja tego nie sugeruję, ja to mówię wprost. Dokonaliśmy połowicznej reformy, a jak zaczęły się kłopoty, to powiedzieliśmy sobie: za ciężko, szkoda się męczyć. Lepiej niech już będzie, jak było.

Przecież po to utworzono Centrum Doktryn i Szkolenia w Bydgoszczy. Na bazie doświadczeń z misji miały powstawać analizy, miały być wyznaczane kierunki rozwoju armii.

Z analiz, jakie przygotowało Centrum Doktryn i Szkolenia, najbardziej zapadła mi w pamięć ta dotycząca latryny przenośnej. Autorzy sięgnęli po najnowocześniejsze narzędzia, przeprowadzili analizę SWOT, zastosowali metody delfickie i ocenili, że taka latryna jest dla armii przydatna. Nie przypominam sobie, żeby jakaś inna analiza przygotowana przez to gremium jakoś wzbogaciła moją wiedzę. Jeżeli się nie mylę, to zatrudnionych jest tam około stu dwudziestu oficerów. Myślę, że ich potencjał można by wykorzystać dużo bardziej produktywnie. Ale widocznie nie było zbyt dużej presji, żeby powstawały tam materiały bardziej pomocne armii.

To dlaczego nie zamknął pan tego ośrodka?

Ponieważ moja władza tam nie sięgała. A inni tego nie zrobią, bo jak już ustaliliśmy, po co psuć, niech będzie, jak było.

Kroll

Tata był wojskowym?

Był w wojsku, ale tak jak większość w jego czasach. Odsłużył swoje i poszedł do cywila. Służbę wspominał dobrze.

Pytam, bo trafiło mu się dwóch synów i obydwaj zostali oficerami.

Rodzice wychowywali nas w dużym poczuciu obowiązku.

Przeczytałem górę wywiadów z panem, ale o rodzicach nie ma tam właściwie ani słowa.

Mama była krawcową. To kobieta o silnym charakterze. Ojciec łączył pracę w gospodarstwie z etatem w spółdzielni. Byli zgodnym małżeństwem. Trudno coś dodać, nie wchodząc w ich życie prywatne.

Chcieli, żeby pan poszedł do wojska?

Wystarczy, że ja chciałem.

Dlaczego pana tam ciągnęło?

Odpowiem historią. Urodziłem się w Głogowie, bo tam był szpital, ale wychowałem się w Grębolicach. Nawet dziś trudno powiedzieć, że to duża miejscowość. Kiedy już zostałem dowódcą generalnym, dyrekcja szkoły podstawowej, do której uczęszczałem, zaprosiła mnie na spotkanie z uczniami. Tak ułożyłem sobie grafik, że po drodze z jednej jednostki do drugiej zrobiłem sobie okienko na to spotkanie. Jednak im bliżej było spotkania, tym większe ogarniały mnie wątpliwości. Zacząłem się zastanawiać, co ja właściwie mam powiedzieć tym dzieciom. Plany modernizacyjne ich raczej nie zafascynują. Zmiana systemu dowodzenia – nuda. Irak zbyt drastyczny. Coś tam sobie przygotowałem, ale jak przyjechałem na miejsce i zobaczyłem te dzieciaczki, to wiedziałem, że nie ma sensu nawet zaczynać tej opowieści. Zamiast tego powiedziałem im, że warto być żołnierzem, bo żołnierz ma ciekawe życie. I zacząłem im

opowiadać o miejscach, które odwiedziłem, będąc żołnierzem. Im więcej egzotycznych nazw podawałem, tym szerzej otwierały im się buzie. Mówiłem o tamtejszych zwyczajach albo o tym, czym mnie częstowano. I widziałem, że nie tylko słuchają, ale sami tak by chcieli. Od tamtej pory z każdego wyjazdu pisałem do nich kartkę, która była wieszana na szkolnej tablicy. Wysyłałem je zresztą do dziś.

Wojsko to przygoda?

Też. Dla mnie ważne było działanie w grupie. Spodobało mi się, kiedy zostałem zuchem. Jak przestałem być zuchem, przeszedłem do harcerstwa. Zawsze lubiłem jakieś struktury, organizacje. Byłem członkiem PTTK, dużo podróżowałem z kolegami i z koleżankami po Polsce. Zawsze była jakaś hierarchia, ktoś przewodził, ktoś był podwładnym. I myślę, że to uformowało moje przekonanie, że warto funkcjonować w uporządkowanym systemie.

Lubił pan harcerstwo?

Lubiłem i sprawdzałem się w tym. Szybko awansowałem na zastępowego, a później drużynowego. Z byciem drużynowym związana jest pewna ważna dla mnie historia. Jedna z tych, które kształtują charakter. Nasza drużyna tak dobrze sobie radziła, że Chorągiew Legnicka, której podlegaliśmy, postanowiła nas wyróżnić. W nagrodę zostałem zakwalifikowany na wyjazd na obóz pionierski do Arteka.

W książce do rosyjskiego była o nim czytanka.

Każdy marzył, żeby tam pojechać. Dla Rosjan to była wizytówka. Krym, Morze Czarne. Swoją drogą miejsce z ciekawą historią, bo przed rewolucją należało do polskiego przedsiębiorcy, który miał tam swoje winnice i produkował wina. Bardzo się na ten wyjazd cieszyłem. Rodzice byli ze mnie tacy dumni, że aż mi kupili nowy plecak. Ostatecznie władze chorągwi podjęły decyzję, że jednak nie pojedzie drużynowy, tylko

szeregowa harcerka. Tak się złożyło, że córka przewodniczącego rady gminy.

Po takim czymś można się załamać.

Myślę, że tak. U mnie poszło w drugą stronę. Oczywiście miałem żal do moich przełożonych, do systemu. Ale się nie załamałem, tylko postanowiłem, że się nie poddam i jeszcze im udowodnię. Jak analizuję swoją służbę, to cała składała się z takich momentów krytycznych. Miałem pojechać na WKDO [Wyższy Kurs Doskonalenia Oficerów] do Paryża, nie pojechałem. Pojechałem za to do Rembertowa do Centrum Doskonalenia Oficerów. Kurs skończyłem z oceną bardzo dobrą, a wtedy był taki przepis, że jak się miało piątkę z tego CDO, to bez egzaminów przyjmowali do Akademii; wtedy jeszcze nazywało się to Akademia Sztabu Generalnego, później Akademia Obrony Narodowej. Mnie nie przyjęli, ponieważ okazało się, że jestem za młody, i musiałem pauzować jeszcze rok.

W którym roku była historia z Artekiem?

Okolo 1975 roku, miałem wtedy jakieś trzynaście lat. Rok i kilka miesięcy później wyprowadziłem się z domu. Właściwie na zawsze, ale wtedy jeszcze tego nie wiedziałem. Po podstawówce poszedłem do pięcioletniego technikum do Legnicy.

Szkoła z internatem.

Szkoła życia, która uczyła samodzielności. Ale też walki o swoją pozycję. Z perspektywy czasu mogę powiedzieć, że w internacie panowała fala, choć wtedy tak tego nie nazywałem. Byliśmy wymieszani. Starsi z młodszymi. My prosto po podstawówce byliśmy na z góry przegranej pozycji. Sprzątanie internatu, dyżur w kuchni, to wszystko była robota dla nas. Starsi nie robili nic.

W filmie *Jeżeli...* Lindsaya Andersona najmłodszy w internacie

mieli obowiązek grzać deskę klozetową starszym kolegom. U was też tak było?

Tak daleko nie zaszliśmy. Ale jak przywieźli kilkadziesiąt ton węgla i koksu do kotłowni, to nie szli go rozładowywać ci silniejsi ze starszych klas, tylko my z pierwszych. Przykłady mógłbym mnożyć godzinami. Myślę, że dlatego tak tępiłem falę, kiedy już trafiłem do wojska. Dla mnie nie było w tym niczego pozytywnego, niby że starszy uczy rzemiosła młodszego. Najczęściej to było zwykłe znęcanie się. Patologiczne zachowania, które niszczyły armię. Nie dziwię się, że ludzie nie chcieli iść do wojska, że rodzice kombinowali, jak mogli, żeby wybronić swoich synów.

Całe wojsko opiera się na obrabianiu młodszych przez starszych.

Nawet mamy to zapisane w regulaminie, że przy tym samym stopniu pierwszeństwo ma ktoś starszy stażem i wiekiem. Uważam to za właściwe, jeśli nie ma przy tym patologicznego rysu znęcania się, gnojenia drugiej osoby. Charakteru nie trzeba kształtować poniżaniem. Można go budować inaczej, choćby dobrym przykładem. W technikum też zaczynało się od sprzątania wokół obrabiarki. Dopiero jak się tego nauczyliśmy, pozwalano nam założyć nóż skrawalniczy. Gradacja doświadczenia w wojsku jest kluczowa.

Chodzi o budowanie kompetencji?

Zdecydowanie. Coś, czego, tak nawiasem mówiąc, dzisiaj w wojsku nie ma. Na bardzo odpowiedzialne stanowiska wyznacza się ludzi, którzy nie nabrali doświadczenia. Jeżeli w ciągu dwóch lat oficer zmienia stanowisko służbowe cztery razy, to nie można mówić o tym, że nabrał doświadczenia.

Wojsko nie kojarzyło się panu z reżimem?

Nie. Dziś dominuje taka narracja. Mnie wojsko kojarzyło się z rysunkiem z mojej szkoły podstawowej, na którym żołnierze Mieszka,

później Bolesława Chrobrego, i tak aż do współczesności, stali na granicy państwa i jej strzegli. Widziałem tę ciągłość. Można negować zachowanie poszczególnych ludzi, ale nie wolno obarczać winą całej formacji. Myślę, że zdecydowana większość kolegów, którzy razem ze mną wstępowali do szkoły, nie kierowała się pobudkami politycznymi.

Zaczynał pan szkołę wojskową w 1982 roku, trochę trudno było nie zauważyć stanu wojennego.

Jak masz osiemnaście, dziewiętnaście lat, to nie jesteś na tyle świadomy, żeby rozumieć wszystkie niuanse. 80 procent chłopaków, którzy tak jak ja poszli do Zmech-u, czyli Wyższej Szkoły Oficerskiej Wojsk Zmechanizowanych we Wrocławiu, chciało zostać komandosami. Biegać z nożem w cholewce i dokonywać bohaterskich czynów. Innej szkoły ani nawet innego wojska, w którym można by realizować takie marzenia, nie było. Nie chcę się wybielać brakiem świadomości. Ale gdybym miał podejmować tę decyzję jeszcze raz, mając dzisiejszą wiedzę, to byłaby dokładnie taka sama. Bardzo chciałem zostać żołnierzem. Dziś można krytykować PiS za upolitycznianie armii, a pod jednostkami stoją kolejki młodych ludzi. Nie dlatego, że jakoś specjalnie kochają tę partię, tylko po prostu chcą być żołnierzami. Jest taki typ człowieka, i to się nigdy nie zmienia.

Pan też chciał zostać komandosem?

Komandosi, a dziś żołnierze wojsk specjalnych, zwłaszcza GROM-u, zawsze imponowali młodym ludziom. Przede wszystkim aurą wyjątkowości, elitarności. Nawet beret noszą inaczej. Nie mówiąc już o sprzęcie, którego zazdrości im cała armia. Ciągota do wojsk specjalnych jest chyba w każdym. Zrobiłem kurs spadochronowy. Przyglądałem się, jak to wygląda, i zdecydowałem, że jednak pójdę do piechoty.

Gdyby poszedł pan do tej szkoły siedem lat później, to pewnie

dalej byłby pan w służbie. A tak musiał pan odejść, bo minister czyści armię z PRL-owskich złogów.

Pan minister również jest dzieckiem PRL-u, bo w tym systemie się wychował, dorastał i wykształcił.

Z tym że pan poszedł do reżimowego wojska, a jego wsadzili do więzienia za działalność opozycyjną.

Oceniamy ludzi po czynach. Nie brałem udziału w niczym, co przyniosłoby mi ujmę, a państwu polskiemu szkodę. Ja w odróżnieniu od pana ministra nie kopałem po teczkach w IPN-ie, ale z ostatnich publikacji profesora Andrzeja Friszke wynika, że po aresztowaniu w 1968 roku Antoni Macierewicz składał obfite zeznania w czasie śledztwa, więc nie wiem, czy powinien grać tą kartą.

Ludowe Wojsko Polskie krystalicznie czyste nie było.

Zacznijmy od tego, że nigdy nie byłem w Ludowym Wojsku Polskim, bo czegoś takiego nie było. Wstępowałem do Wojska Polskiego i po trzydziestu pięciu latach odchodziłem również z Wojska Polskiego. Przymiotnik „ludowe” zawdzięczamy propagandzie. W oficjalnych dokumentach i zapisach nigdy nie został nam dodany. Myślę, że ten przykład jest na wyrost, ale proszę przeanalizować powstanie Niemieckiej Republiki Federalnej i jej armii. Z kogo utworzono Bundeswehrę? Przecież ci ludzie nie spadli z Księżycy, tylko wcześniej służyli w Wehrmachcie. Nie wszystkich zweryfikowano negatywnie i dano im szansę. Nie przyjmowano nikogo z SS. Ale nie da się tworzyć nowego ustroju, nie budując go na kadrach starego. Czy wszystko, co robiło polskie wojsko przed 1989 rokiem, było złe i warte tylko wyrzucenia do kosza? Moim zdaniem nie. Mieliśmy piękną kartę misji pokojowych. Kto ratował wsie w czasie powodzi? Dziś ze względu na opieszałość resortu bohaterami są strażacy. Kiedyś to było nasze zadanie, bo nikt nie miał takiego sprzętu i doświadczenia jak my. Mosty wybudowane przez wojskowych można

liczyć w tysiącach. Przychodziły żniwa, wojsko jechało zbierać zboże. Wszystko było złe, wszystko niedobre?

Gierkówkę też wybudowali żołnierze.

Pozytywne przykłady można by mnożyć. Podobnie zresztą jak negatywne. Oczywiście, że armia była indoktrynowana. Oczywiście, że braliśmy udział we wprowadzaniu stanu wojennego. Ale większości z nas nikt się o zdanie nie pytał. Wśród nas, tak jak w każdym środowisku, byli i tacy, którzy trafiali do wojska i szli na kierunek polityczny. Robili to z powodów ideologicznych, dla wygody, kariery, władzy. Różne były motywacje. Do dziś pamiętam, jak zimą 1983 roku zagonili nas w szkole do odgarniania śniegu. Robota głupiego, bo śnieg ciągle padał, a my machaliśmy łopatami. A w tym czasie koledzy z plutonu politycznego w mundurach wyjściowych szli do teatru. Kiedy nas mijali, naśmiewali się, mówiąc: „Trzeba się uczyć, trzeba się uczyć”. Mieli dużo szczęścia, że żaden nie dostał łopatą w głowę.

Z pana roku wyszło pięciu generałów. Mocny wypust.

Można dziś żonglować historią, interpretować ją, jak komu politycznie wygodnie, ale ludzie garnęli się wtedy do armii. Tylko z mojej klasy do wojska poszło nas trzech – Krzysiek Jankowski i Marek Radwan do Zegrza, do łączności. Poszli po kierunku, bo to było technikum elektroenergetyczne, dział elektronika.

W Zmech-u ilu was przyjęli na rok?

Ponad sześciuset, chyba sześciuset osiemdziesięciu. Szkołę ukończyło trzystu czterdziestu. Selekcja była wpisana w proces kształcenia. Chodziło o to, żeby wybrać najlepszych. Kształtować charaktery. Dziś na studia wojskowe mamy limity miejsc. Kiedy przyjmuje się trzydziestu ludzi na rok, to później każdego szkoda wyrzucić. Ci młodzi ludzie o tym wiedzą i nie zawsze dają z siebie wszystko. Wielokrotnie mówiłem, żeby to zmienić

i przyjmować nieco więcej, niż potrzebujemy, żeby wyzwolić naturalną rywalizację. Zostać mają najlepsi. Reszta musi szukać szczęścia poza wojskiem. Takie rozwiązanie będzie dobre dla obydwu stron. Oni się nie rozczarują w wojsku, kiedy trzeba będzie udowodnić swoją wartość. A państwo zyskuje przeszkolonego żołnierza, który z pewnością przyda się w czasie wojny.

Na którym roku odpadło najwięcej ludzi?

Na drugim. W tamtych realiach czas studiów można było potraktować jako odsłużenie zasadniczej służby wojskowej. Drugi rok był swego rodzaju rubikonem. Ci, którzy się rozmyślili i nie chcieli związać swojego życia z armią, kombinowali, żeby jednak dobić do końca drugiego roku. Kto nie wytrzymał, prosto ze szkoły trafiał do jednostki wojskowej. Mieli o tyle łatwiej, że z reguły zostawali tam kapralami albo starszymi kapralami. Byli też tacy, którzy chcieli całkowicie odciąć się od wojska, co, delikatnie mówiąc, nie było wówczas łatwe, i trzeba było dokonywać różnych ekstrawagancji.

Rznać wariata?

Powiedzmy, że symulować chorobę. Jeden kolega przywiązał sznurkiem szczoteczkę do zębów i prowadził ją za sobą jak psa. Bardzo się o tę szczoteczkę troszczył. Nawet miała swoje imię, chyba Reksio.

Pomogło?

Tak. Inny kolega wszedł do basenu przeciwpożarowego w mundurze wyjściowym i stał tam przez kilka godzin. Również udało mu się zakończyć służbę. Byli tacy, którzy symulowali samobójstwo. Najczęściej łykali witaminę C, co oczywiście najczęściej wychodziło na jaw po płukaniu żołądka. Ale tych również pozbywano się z szeregów.

A pan jak znosił realia szkoły?

Ogólnie dobrze. Przystosowałem się. I kiedy na przykład podczas tak zwanej unitarki padała komenda, że przystępujemy do sprzątanía rejonów, to szybko biegłem do pierwszego lepszego okna, wyciągałem żyletkę i skrobałem szybę. Jak przychodził kapral i pytał: „Co wy robicie, podchorąży?”, odpowiadałem: „No też nie mam pojęcia, ale inny kapral kazał mi tę szybę skrobać żyletką”. Najczęściej mnie jeszcze chwalił i zachęcał do pracy: „Tak, czyścić, czyścić”. Stałem przy oknie i podziwiałem widoki. Wojsko można łatwo krytykować. Ale ta instytucja rządzi się własnymi prawami, które na pierwszy rzut oka wydają się bez sensu. A wcale tak nie jest.

Nie mogę się doczekać przykładu.

Miałem kiedyś przełożonego, który wydał polecenie, że kapcie w izbach żołnierskich mają stać z tyłu przy nogach łóżka, noskami zwrócone w kierunku drzwi. Zachodziliśmy w głowę: „O co temu facetowi chodzi? Generał, a kapciami się zajmuje”. Po latach, kiedy odchodził ze stanowiska dowódcy dywizji, zapytałem go o to. Odpowiedział mi, że jak jechał do jednostki, to pierwszą rzeczą, którą sprawdzał po wejściu do izby żołnierskiej, było ustawienie kapci. „Jeżeli byliście w stanie wyegzekwować, że moje polecenie dotyczące kapci zeszło do szczebla drużyny, to znaczy, że jesteście skutecznymi dowódcami. Same kapcie nic mnie nie obchodziły” – powiedział.

Bardzo was męczyli w szkole?

Idea była słuszna: hartować charaktery. Ale nie brakowało głupot, niepotrzebnej roboty, a często zwykłego znęcania się. Pracowało się do totalnego zmęczenia fizycznego, takiego na poziomie utraty świadomości. A następnego dnia był egzamin. To nie był przypadek, że prawie połowa zrezygnowała. Dzisiaj prawdopodobnie ktoś by zanegował te metody jako obciążanie organizmu ponad miarę. Wtedy wszystkim wydawało się to normalne.

A było normalne?

Szkoła była dobrowolna. Nikogo tam nie zapraszali z kwiatami. Uważam, że żołnierza należy kształtować i hartować. Na misji widziałem, jak łamały się charaktery. Szkoła miała za zadanie przygotować nas do ciężkich warunków. Momentami warunki były za ciężkie. Najgorzej wspominam chodzenie w mokrym mundurze. Zajęcia z taktyki kończyły się późną nocą. Mundury były brudne, a na rano musiały być już uprane. Tylko że nie było ich gdzie suszyć. Rano ten mokry mundur trzeba było założyć na grzbiet i iść na zajęcia. Dla mnie to była tortura. Przeciwno wysiłkowi fizycznemu nic nie mam. Z jednej strony buduje tężyznę, a z drugiej kształtuje charakter.

Wtedy też pan tak myślał?

Wiadomo, że się buntowałem, ale weszło mi to w krew. Regularnie ćwiczę do dziś. Rok w rok podchodziłem do egzaminu i zdawałem go na ocenę bardzo dobrą. Uważam, że my jako wojskowi popełniliśmy poważny błąd, wyprowadzając sprawy związane z wychowaniem fizycznym poza obszar instytucji. Żołnierz ma sam się przygotować do egzaminu. Sam dbać o swoją kondycję. I wielu to robi. Ale nie wszyscy.

Widziałem filmik, na którym uczy pan robić brzuszki jednego z szeregowców. Niestety młody człowiek nie dał rady dotrzymać panu tempa.

W dzisiejszym systemie wojsko dostaje gotowy produkt, czyli ukształtowanego człowieka, który jest sumą pracy, jaką wykonali inni. To, w jakiej będzie formie, zależy od jakości lekcji wuefu, od rodziców, którzy go wysyłali bądź nie na zajęcia dodatkowe. Z tym jest raczej gorzej niż lepiej. Jako społeczeństwo jesteśmy coraz grubszy. Polskie dzieci w badaniach otyłości wypadają coraz gorzej. Gonimy pod tym względem Europę Zachodnią. A myślę, że z tym problemem dopiero przyjdzie nam się zmierzyć.

Jak pan wspomina falę?

Tak jak już mówiłem. Jak najgorzej. To jest patologia i nie jest przypadkiem, że nasiliła się, kiedy państwo było w rozsypce. Kiedy upadają autorytety, władzę przejmują bandyci. *Kroll* czy *Samowolka* to były filmy, które szerokim echem odbiły się w wojsku. Ciężko było poradzić sobie z tym zjawiskiem, bo zaburzona została struktura poboru. Kiedyś do wojska szedł chłopak po zawodówce i po maturze. Ten z maturą z reguły zostawał funkcyjnym i za jego pośrednictwem oficer kształtował resztę żołnierzy. Taki kapral miał większą wiedzę, obycie, miał więcej hamulców. Kiedy przed służbą wojskową masowo zaczęli uciekać inteligenci, to struktura się zawaliła. Do wojska zaczął trafiać najtrudniejszy, żeby nie powiedzieć najgorszy materiał ludzki.

Najgorszy sort.

Niestety tak. Były duże jednostki, w których ledwie dwóch ludzi miało maturę, a z czasem tylko jeden. W 34 Brygadzie jeden z kaprali haniebnie znęcał się nad żołnierzami. W tajemnicy przed nim ściągnąłem do jednostki jego rodziców. Zaprosiłem ich do kancelarii i posadziłem tak, żeby ich nie widział po wejściu. Oni też go nie widzieli, ale wszystko słyszeli. Zacząłem go pytać, dlaczego tak się zachowywał, podawać przykłady. Nie zaprzeczał. Jego narracja była taka, że nad nim się znęcali, to teraz on będzie się znęcał. I jakby miał możliwość wyboru, to zrobiłby to samo jeszcze raz. Nie będę w szczegółach opisywał, co się stało, kiedy zza drzwi wyszedł jego ojciec. W każdym razie wolałem opuścić kancelarię, żeby nie być świadkiem tych wydarzeń.

Ojciec mu spuścił manto?

I to rzetelnie. Zanim zaprosiłem tych ludzi do jednostki, odbyłem z nimi kilka rozmów na temat ich syna. Zapewniali mnie, że to niemożliwe, żeby tak się zachowywał, że ich dziecko nigdy nie zrobiłoby nic takiego: „To nie nasz syn, nie tak go wychowywaliśmy”.

Później wojsko poszło w drugą stronę.

Był taki moment, że chcieliśmy przyciągnąć jak najwięcej młodych ludzi do służby nadterminowej. Zaczęto wprowadzać izby żołnierskie, kupować tapczaniki, szafy, dokładać czajnik elektryczny i udawać, że armia wykonała wielki krok w kierunku humanizacji. Ale przecież nie o to chodzi, żeby żołnierz spał na tapczaniku, tylko żeby służba była atrakcyjna. Atrakcyjna nie oznacza łatwa. Wymagająca, ale ciekawa. Jeśli mieliśmy się zmieniać, to nie za pomocą tapczaników, tylko oferując żołnierzom dostęp do kina, biblioteki, wysyłając ich na zagraniczny poligon, żeby wyrwali się z tych najczęściej małych garnizonów i zobaczyli, jak wygląda świat. Trzeba stworzyć im warunki, żeby mogli budować swoją świadomość.

Pamiętam wizytę u takiego młodego generała w 17 Brygadzie, który oprowadzał mnie po izbie żołnierskiej i pokazywał, że żołnierze mają tapczaniki, czajniki i telewizory. Ten generał nazywał się Mirosław Różański.

Nie wypieram się, że realizowałem tego typu zadania. Wojsko nie pozostawia dużego marginesu na samodzielność. Miałem swoje priorytety, w zakresie których potrafiłem przeprowadzać własne koncepcje. Moim konikiem było szkolenie, które w świetle nowego regulaminu było kulą u nogi armii, bo żołnierze weszli w tryb ośmiogodzinny i zaczęli wychodzić z pracy jak księgowi. O 15.30 pod bramą robił się zator. Wyszedłem z założenia, że można trochę tym czasem pożonglować i zamiast pięciu dni pracy po osiem godzin zrobić trzy, ale dużo bardziej intensywne. Żołnierze wychodzili w pole we wtorek, a wracali w czwartek. W dzień ćwiczyli, w nocy trzeba było się przespać na polowo, pod pałatką. Jestem przekonany, że żołnierz woli dostać w tak zwaną dupę raz a porządnie, i później odpocząć, niż ganiać z zegarkiem w rękę i sprawdzać, czy jest jeszcze sens zaczynać ćwiczenie, czy już nie, bo zbliża się piętnasta. Na odprawie w Szczecinie, którą prowadził szef Sztabu Generalnego, świętej

pamięci generał Franciszek Gągor, zaproponowałem, żeby całe wojsko szkoliło się w tej formule. Poniedziałek – dzień przygotowujący; wtorek, środa, czwartek – intensywne działania w polu; piątek – czas na konserwację i obsługę sprzętu. Kto nie musi zostać, idzie do domu.

Armia za bardzo przypomina urzędników?

Mówię to z przykrością, ale niestety tak jest. Służba jest dobrowolna. Chętnych nie brakuje. W szkołach oficerskich na jedno miejsce jest piętnastu–osiemnastu kandydatów. Ludzie chcą iść do wojska, a nie do przedszkola. Myślę, że popełniliśmy jakiś błąd. Wymagania powinny być wyższe.

Pana córka studiuje medycynę na kierunku wojskowym. Patrzy na armię z drugiej strony. Ona również uważa, że to przedszkole?

Nie chciałem robić jej pod górkę, za dużo opowiadając o jej przemyśleniach, ale jeśli ją coś denerwuje, to rzeczy pozbawione sensu. Przyjeżdża szef Sztabu Generalnego, więc zaczynają się zajęcia z musztry. Albo na zajęciach z łączności pokazują im łącznicę ŁP-10. Już w moich czasach to nie była melodia przyszłości. Wystarczy jednak wytłumaczyć, że jest to stary środek łączności, ale za to odporny na przykład na impuls elektromagnetyczny i jeżeli siądą systemy komputerowe czy przekazu radiowego, to za pomocą tej łącznicy zapewnimy łączność, dlatego musimy poznać zasadę jej działania. Ale na ŁP-10 zajęcia nie mogą się skończyć, bo w czasach iPhone'a urządzenie to musi budzić zwyczajną litość. Trzeba pokazać również nowoczesny sprzęt. Ale tego w szkole po prostu nie ma.

A dlaczego tak jest?

Szkoły, które wyszły z podporządkowania dowódcom rodzajów sił zbrojnych, stały się wojskowymi satelitami. Podlegały ministrowi, ale dowódcy już nie inwestowali w nie sprzętowo, bo to nie było ich. Tracili na tym studenci. Kiedy pracowałem u ministra Czesława Mroczka,

próbowaliśmy to naprawić tak, żeby szkoły zaczęły podlegać dowódcy generalnemu, ale opór środowiska był duży. Ówczesnym rektorom odpowiadał tamten stan, bo mieli dużą niezależność i wysoką pozycję. W efekcie szkolnictwo wojskowe pracuje w dwóch przestrzeniach prawnych. Z jednej strony obowiązuje je cywilna ustawa o szkolnictwie wyższym. Z drugiej strony szkoła jest jednostką wojskową, która ma różne obostrzenia i obowiązki. Ten niedowład legislacyjny ciągle odbija się na jakości kształcenia.

I to jest największy problem tych szkół?

Najsłabszym ogniwem jest mentalność. Szkolnictwo wojskowe, które przygotowuje dowódców od najniższych do najwyższych szczebli, nie może opierać się na formule wolnorynkowej, gdzie liczy się efekt ekonomiczny, a nie szkoleniowy. Pieścimy się z każdym przyjętym na studia, bo jak już wpadł w te tryby, to musi skończyć szkołę. Nie zgadzam się z tym myśleniem, bo jeśli nie będzie odsiewu, to nie będzie też jakości. Ja bym oficjalnie mówił, że na piętnastu przyjętych pięciu odpadnie. Niech się starają, niech wykazują inicjatywę. Uważam, że dobrze płacimy żołnierzom i w zamian powinniśmy więcej wymagać, a wymagamy coraz mniej. Szlag mnie trafia, jak słyszę o e-learningowej metodzie kształcenia żołnierzy. Czekam na tego mądrałę, który pierwszy wpadnie na pomysł, żeby kształcić tak również pilotów F-16, bo właściwie dlaczego by nie.

Terytorialiści

Pan chyba nie przepada za Wojskami Obrony Terytorialnej?

Wręcz przeciwnie. Ja uważam, że to świetny pomysł. Tylko realizacja kompletnie do bani.

Co konkretnie się panu nie podoba?

Konkretnie nie podoba mi się to, że po wprowadzeniu WOT Polska nie stanie się bezpieczniejsza. Mogę nawet z całą odpowiedzialnością powiedzieć, że stanie się mniej bezpieczna. Jak wszystkie pomysły propagandowe, ten również opiera się na stworzeniu efektu, a nie na byciu efektywnym.

Gra słów.

Jeśli kluczowe jednostki straciły już ponad ośmiuset żołnierzy zawodowych, których skuszono do WOT, a czasem wręcz zmuszono do przejścia do WOT, to proszę mi powiedzieć, jak się to przełoży na potencjał sił zbrojnych?

Ośmiuset żołnierzy, choćby najlepszych, nie decyduje o przyszłości armii.

Policzyłem, ilu żołnierzy WOT złożyło przysięgę wojskową. Wyszło mi, że tysiąc. Najslabiej ukompletowane brygady mają większą liczebność. A przypominam, że minister obiecał trzy brygady do końca roku. Ponieważ obrona terytorialna to oczko w głowie ministra, więc pewnie trzeba będzie odebrać więcej żołnierzy z linii i można będzie ogłaszać sukces.

Czasem mam wrażenie, że WOT to po prostu konkurencja dla armii i stąd te opory.

Opór wojskowych jest naturalny, bo armia zaczęła z trudem wychodzić na prostą. Program modernizacji miał właśnie wchodzić w decydującą fazę, a nowego sprzętu jak nie było, tak nie ma. Między bajki włożyć można zapewnienia ministra, że WOT będą budowane bez szkody dla budżetu armii. A pieniądze na broń, mundury, szkolenie, amunicję spadną z nieba.

Można to pobrać z magazynów na czas W.

Minister w czasie swojego sejmowego exposé sam mówił, że magazyny są

puste. Amunicji brakuje. Ja nie mogę tego komentować ze względu na tajemnicę, która mnie wiąże, ale opieram się na słowach ministra Macierewicza. Skoro tak, to skąd to wezmą? To wszystko trzeba kupić, a płacone jest z budżetu MON. To bardzo znamienne, że największy kontrakt na tegorocznym Międzynarodowym Salonie Przemysłu Obronnego podpisany został z WOT, a nie z regularną armią. Mam na myśli dostawę trzydziestu tysięcy karabinków Grot z opcją na dostawę kolejnych dwudziestu tysięcy. Kontrakt znamieny, bo krótko po jego podpisaniu okazało się, że jest obarczony wadą prawną. WOT za pośrednictwem jednostki NIL zajmującej się logistyką dla wojsk specjalnych kupują karabinek, który, jak donosiła prasa, nie przeszedł wszystkich testów kwalifikacyjnych. Nie znam drugiego przypadku, żeby w takim trybie zawierano tak duży i drogi kontrakt.

O czym to świadczy?

O parciu na sukces, który ma dowódca tej formacji, i ogromnym wsparciu, jakie ma z MON. Wsparciu w pełni zrozumiałym, bo Ministerstwo upiekło na kontrakcie trzy pieczenie na jednym ogniu. Po pierwsze, jest sukces, bo WOT będą miały karabinki. Po drugie, udało się je wprowadzić na wyposażenie armii bocznymi drzwiami, bo dotychczas nikt nie chciał podpisać się pod dokumentami dopuszczającymi broń, co do której były zastrzeżenia wobec jej trwałości i celności. Po trzecie, przemysł zbrojeniowy, za który odpowiada minister, może ogłosić sukces. A to przecież nie jest częsta okoliczność, bo kondycja polskiej branży zbrojeniowej raczej spada, co widać po eksporcie, który ledwo zipie.

A może wojskowi zazdroszczą, że WOT będą miały nowocześniejszy karabinek?

To nienormalna sytuacja, że regularna armia ma broń starego typu, a karabinek nowego typu idzie do terytorialsów, którzy przecież mają być formacją wspierającą. Długo czekaliśmy na zakup tej broni, ale kłopoty

leżały po stronie producenta, a nie wojska. Ten kontrakt dobrze pokazuje, co się dzieje. Ogon macha psem.

Nie zauważa pan żadnych plusów powstania WOT?

Każdy młody człowiek, który chce z karabinem w ręku bronić ojczyzny, jest wielkim plusem. Zauważam to i doceniam. Ale nauczoni doświadczeniem, choćby z powstania warszawskiego, powinniśmy stworzyć tym młodym ludziom takie warunki, żeby ich trud nie okazał się daremny. W pierwszej koncepcji żołnierze WOT mieli być wyposażeni w broń przeciwpancerną typu wyrzutnia Spike. Skuteczny, zaawansowany system. W regularnej armii jego operatorów szkolimy prawie półtora roku. Proces trwa tak długo, bo współczesne pole walki jest zaawansowane, a jeden pocisk kosztuje ponad 100 tysięcy dolarów. W porównaniu z ceną czołgu, który można nim zniszczyć, jest to drobna kwota. Szkolenie żołnierza WOT ma trwać szesnaście dni, a później ma się odbywać w trybie weekendowym. Około dwudziestu ośmiu dni w roku. Łatwo policzyć, że w tym trybie operatora wyrzutni Spike trzeba by szkolić co najmniej dziesięć lat, żeby osiągnął choćby wstępną gotowość do użycia tej broni. Ostatecznie po cichu wycofano się z wyposażania drużyn obrony terytorialnej w tego rodzaju broń.

Czym ją zastąpiono?

Niczym. Według obecnej koncepcji najcięższym uzbrojeniem będzie moździerz kaliber 60 mm. Broń całkowicie bezużyteczna w starciu z czołgami. Jak dodamy do tego, że do WOT można przyjmować nawet osoby z kategorią D, czyli niezdolne do służby wojskowej, to już będziemy mieli pełen obraz tej formacji. Ta zła jakość będzie zaraźliwa, skoro minister Macierewicz obiecuje, że po trzech latach służby w Wocie można będzie przejść do wojsk operacyjnych. To znaczy, że po trzech latach w Wocie nastąpi jakieś cudowne ozdrowienie tego kandydata? No raczej nie. Przecież to nie jest przypadek, że szkolenie trwa minimum rok, bo po

pierwsze, trzeba mieć czas, żeby żołnierza nauczyć pewnych rzeczy, a następnie je utrwalić. 99,9 procent wypadków w wojsku jest konsekwencją ludzkiej głupoty, nieprzestrzegania standardów i regulaminów. Dlatego z trwogą spoglądam na te dzisiejsze projekty, że ktoś chce w ciągu szesnastu dni wyszkolić żołnierza i wyrobić w nim nawyki, na przykład posługiwania się bronią w sytuacjach zagrożenia. Nie, to po prostu nie może się udać. Przynajmniej mój lekko podstarzały generalski łeb tego nie przyjmuje.

General Wiesław Kukuła, szef WOT, mówi, że po odrzuceniu rzeczy zbędnych można się skupić na najważniejszych zagadnieniach.

Ten sam pan publicznie twierdził, że obrona terytorialna ma podjąć działania przeciwko Specnazowi. Pamiętam też, że jakiś czas temu ten sam oficer, będąc dowódcą elitarniej jednostki wojsk specjalnych, do których trafiają najlepsi z najlepszych, tłumaczył, że trzy lata ciężkiego treningu to absolutne minimum, żeby nasz żołnierz mógł zmierzyć się choćby ze Specnazem. Proszę mi powiedzieć, kiedy mówił prawdę?

Może z tym Specnazem poniosła go fantazja. Ale pomysł, żeby terytorialsi dostawali karnety na siłownię, basen, że sami będą się doskonalić, nie wygląda źle. Mają mieć aplikacje w telefonach i rozliczać się z biegania. Będą mieli lekcje patriotyzmu. To chyba dobrze?

Bardzo ważna jest świadomość każdego żołnierza i tutaj oczywiście moglibyśmy prowadzić akademicki wywód o patriotyzmie. Ale powiem, może brutalnie: z patriotyzmu się nie strzela.

A ta aplikacja, e-learning?

Ja nie chciałbym wydawać rozkazów ludziom, którzy nauczyli się

strzelać e-learningowo, mózdzierz obsługiwać e-learningowo, bo to będzie jedna wielka katastrofa. I tu również rodzi się pytanie, co jest prawdą, bo osobiście widziałem pismo jednego z dowódców brygady WOT, który pisał, że wszelki kontakt z jednostką musi odbywać się za pomocą poczty tradycyjnej. A na maile nie będą odpisywać ze względu na bezpieczeństwo komunikacji i urzędowe rygory.

General Kukula po pierwszych szesnastodniowych szkoleniach chwalił swoich żołnierzy, że szybko się uczą. Strzelali nie e-learningowo, ale na żywo. Każdy wystrzelił minimum sto pięćdziesiąt nabojów.

Czyli pięć magazynków na żołnierza. To przypomina mi bardziej frontową szkołę niż intensywne szkolenie, o którym wiele mówił pan Kukula. Nie miałem okazji oglądać postępów jego żołnierzy, ale na oficjalnym portalu monowskim widziałem zdjęcia zrobione na takim szkoleniu i nie mogę powiedzieć, żeby to był budujący widok. Jeden z terytorialsów rozkładał broń, a przed nim stał wianuszek pozostałych żołnierzy, którzy go obserwowali. Stara, żelazna zasada mówi, że podczas zajęć broni nie kieruje się w ludzi. Nieważne, co się robi, lufy nigdy nie kieruje się w ludzi. Chyba że chce się ich postrzelić. Jak dla mnie to jest po prostu brak kompetencji. Irytuje mnie, że ktoś ma jeszcze czelność opowiadać, że szkolenie przebiega we właściwy sposób.

Przed przystąpieniem do rozebrania tej broni z pewnością ktoś sprawdził, czy nie jest naładowana.

Nawet jeśli tak było, to nie ma żadnego znaczenia. Chodzi o wytwarzanie właściwych odruchów w obchodzeniu się z bronią. Wtłaczamy to ludziom do głów od lat, a i tak dochodzi do wypadków. W ubiegłym roku we Wrocławiu podporucznik postrzelił w ten sposób żołnierza.

Poprzedni rząd budował orliki w każdym mieście. Może ten zostawi po sobie strzelnice. Sam pan mówił, że strzelnic brakuje.

Trzymam za to kciuki. Im więcej osób będzie potrafiło bezpiecznie posługiwać się bronią, tym lepiej dla obronności i dla wojska. Szkolenie będzie krótsze. Ja mam tylko wrażenie, że w całym tym projekcie jest więcej PR-u niż sensu. A przy okazji próbuje się załatwić jakieś swoje sprawy. Piętnaście lat temu w Nowym Mieście nad Pilicą zamknięty został spory garnizon z lotniskiem. Przez ten czas z infrastruktury obiektu niewiele już zostało. A właściwie nie zostało już nic, co nadawałoby się do użycia. Pomogli w tym zresztą żołnierze wojsk specjalnych, którzy wykorzystywali te budynki do szkolenia. Wyszadzili tyle drzwi i wrzucili tam tyle granatów, że naprawdę nie ma sensu tego remontować, tylko trzeba stawiać od zera. Ale Nowe Miasto to strefa wpływów wiceszefa MON Wojciecha Fałkowskiego, któremu udało się przeforsować, że ma tam powstać ośrodek szkolenia terytorialsów i wojsk specjalnych.

W miejscu, w którym nie ma nic, tylko goła ziemia?

Nie ma nic. Dzisiaj ponosi się tam duże koszty, ponieważ wszystko trzeba było zerwać i położyć na nowo. A kawałek dalej jest wojskowe lotnisko w Glinniku, które od lat nie może doczekać się nowej infrastruktury. Osobiście byłbym za tym, żeby te miliony włożyć w lotniska, które są przy jednostkach wojskowych. Ale wojska operacyjne nie są teraz w centrum zainteresowania Ministerstwa.

A dlaczego pan się na to zgodził?

Nie zgodziłem się. Zaopiniowałem ten projekt negatywnie. Nikt się tym nie przejął i inwestycja jest realizowana, choć z punktu widzenia obronności to błąd.

To dlaczego Ministerstwo to forsowało?

Może dlatego, że stamtąd pochodzi marszałek Senatu Stanisław

Karczewski. Myślę, że liczy na wdzięczność elektoratu. Skoro odtwarzane będzie lotnisko, cała infrastruktura, to znaczy, że trzeba będzie postawić ogrodzenie, wybudować budynki. To już nie jest kiełbasa, ale szynka wyborcza, bo inwestycja pochłonie grube pieniądze.

Może na końcu jednak będzie sukces. WOT mają szkolić żołnierze wojsk specjalnych.

I szkolą. Tylko że byli żołnierze, i za dodatkowe pieniądze. Nie takie były obietnice i nie tak się to miało odbywać. Sponsorem WOT jest regularna armia. Armia, która nie opływa w luksusy, jeśli chodzi o sprzęt i wyposażenie. Niemal trzydzieści lat po transformacji nadal w dużej mierze bazujemy na sprzęcie poradzieckim. Niektóre egzemplarze mają po czterdzieści lat i więcej. Ich wartość można liczyć w cenie złomu. O bojowej już nie wspomnę, bo nie ma o czym. W takiej sytuacji mnożenie bytów i odbieranie środków jest po prostu szkodliwe. A może nawet wręcz zgubne. Zamiast jednej porządnej armii będziemy mieli dwie. Jedną źle wyposażoną, drugą źle wyszkoloną. Rozumiem, że wojskowi ciągną do tej formacji. Nigdzie się tak szybko nie awansuje. Szybka ścieżka kariery, roboty mało, bo ciągle nie udało się tej formacji odpowiednio uzupełnić.

A może są jakieś pozytywy?

WOT nie są pomysłem z gruntu złym. Potrzebujemy formacji, która mogłaby wspierać działania wojska. Ja nawet wskazałem ministrowi obszary, w których terytorialsi mogliby być bardzo użyteczni. Jednym z zadań obrony terytorialnej mogłoby być maskowanie operacyjne, czyli pozorowanie sił operacyjnych. Moglibyśmy z takich wojsk obrony terytorialnej sformować na przykład dwie eskadry F-16. Pojawia się krata, czyli wieża do kierowania, są posterunki, ochrona, są cysterny. Wszystko z gumy, pic na wodę. Ale przeciwnik może się na taki cel połakomić. Można go zmylić tak, żeby zmarnował trochę sił i środków na cele

falszywe, a nie na nasze samoloty. Rosjanie są bardzo skuteczni w takich działaniach. Dlaczego nie uczyć się od nich?

Chyba chce ich pan zrobić w balona.

Ja naprawdę uważam, że WOT mogłyby się nam przydać. Ale metoda realizacji tego pomysłu mnie niepokoi. Jak chcesz budować dom letniskowy, to nie wrywaj drzwi, okien i kawałka dachu z domu, który już masz, bo zimą tego pożałujesz. Przecież to banalnie proste.

Świąteczko

Dużo pan narzeka.

Nie narzekam, tylko mówię o błędach, które należy wyeliminować. Dziś z niepokojem obserwuję, że wielu moim kolegom, którzy zostali w linii, wraca poprzednia mentalność, że wszystko ma być sukcesem. Dla mnie sukcesem było, kiedy udało się zdefiniować błąd, ponieważ wtedy możemy wyciągnąć wnioski, jak poprawić pewne rozwiązania.

Był pan na samej górze, trzeba było naprawiać.

Dowódca ma tyle władzy, ile jej dostanie od przełożonych. Moja była coraz mniejsza, aż doszedłem do miejsca, w którym właściwie nie mogłem już nic. I wtedy zacząłem pisać. W drugim półroczu 2016 zacząłem regularnie słać do ministra obrony narodowej sążniste raporty o tym, co nie działa, co trzeba zmienić. I co najważniejsze, jak to trzeba zmienić.

I co pan na przykład napisał?

Niestety wszystkie te meldunki są zastrzeżone. Mówiąc w ogromnym uogólnieniu, dotyczyły na przykład kłopotów ze stanem technicznym samolotów F-16. Wątpliwości co do skutków przeniesienia czołgów Leopard

z Żagania do Wesołej. Uważam, że tą decyzją sami pozbawiliśmy się sporej części potencjału obronnego. Tych meldunków było tyle, że trudno byłoby je wszystkie wymienić.

A po co pan to pisał?

Żeby pan minister nie mógł kiedyś powiedzieć, że on nie wiedział. Minister Klich powiedział po katastrofie smoleńskiej, że generałowie mu nie mówili, jak źle się działo w 36 Specjalnym Pułku Lotnictwa Transportowego. Minister Macierewicz ma ten komfort, a może dyskomfort, że on świetnie wie, w jakiej kondycji są nasze siły zbrojne.

Zostawił pan po sobie ślad.

Dopilnowałem, żeby dokumenty były wysłane z dowództwa i rejestrowane w Ministerstwie. Wszystko tam jest.

Nie może pan zdradzić nawet jednego sekretu?

Nie. Dlatego że ciągle mam dostęp do materiałów okluzulowanych i nie chcę go stracić. Mogę mówić o rzeczach, które pojawiały się w mediach, a może trochę przeszły bez echa. Na przykład 21 Brygada w Rzeszowie już od pewnego czasu jest gotowa na przyjęcie rosomaków. Inwestycja była przygotowywana latami. Wybudowano garaże, stacje obsługi. Właściwie wszystko jest zrobione. Ludzie przeszkoleni. Nagle ktoś wpada na pomysł, że te rosomaki powinny pojechać do 15 Dywizji do Giżycka.

Będą bronić przesmyku suwalskiego.

Jeśli naprawdę chcemy coś obronić, to musimy zacząć od zbudowania system kierowania obroną państwa. Stworzyć centralne stanowisko kierowania obroną państwa. Prawda jest taka, że dzisiaj policja nie słyszy wojska, wojsko nie słyszy Straży Pożarnej, a Straż Graniczna nie słyszy wojska i wzajemnie.

Nikt nie słyszy nikogo.

Dokładnie. W samym wojsku mamy trzy systemy. Natomiast to wszystko jest proste do uporządkowania. Są nakładki informatyczne, które pozwalają na połączenie tych systemów. Można to zrobić. Trzeba tylko chcieć. Można pójść dalej. Na bazie Ministerstwa Cyfryzacji stworzyć system spajający całe państwo. Dziś kilku ministrów chce mieć swoje własne poletka. Każdy buduje pod siebie, co zresztą zostało ładnie nazwane – Polska resortowa. Nic w tym względzie się nie zmieniło. W skali państwa, w kwestiach kierowania bezpieczeństwem państwa, w kwestiach zarządzania w czasie kryzysu, powinniśmy mieć jeden standard. Gdyby tak było, to rząd nie potrzebowałby trzech dni, żeby się zorientować, że ostatnie nawałnice to było coś więcej niż grabienie liści, jak powiedział jeden z wojewodów. Nie tylko armia, ale całe państwo nie ma dziś oczu i uszu.

I to jest największy problem wojska?

Tak. W drugiej kolejności jest kwestia naprawy logistyki i zaopatrzenie armii na czas realnych działań. Chyba że chcemy mieć jak w przysłowiu: jest pożar, trzeba studnię kopać. W razie jakichkolwiek działań nasz łańcuch logistyczny właściwie nie istnieje. W ćwiczeniu Dragon 15 wykazaliśmy, że tak zwane grupy zabezpieczenia logistycznego to jest fikcja. Jakbyśmy tego nie ćwiczyli, to okazywało się, że żołnierze zostają bez jedzenia, dostaw, amunicji. Zgroza. Już lata temu przy każdej dywizji miały powstać pułki logistyczne. Mieliśmy to zapisane jako nasze zobowiązanie w stosunku do NATO. Nie powstały do dzisiaj. To wina kolejnych ekip, ale przecież ta konkretna obiecywała dobrą zmianę.

Punkt trzeci?

Punkt trzeci to sprawy związane z modernizacją armii. Ile jeszcze będziemy udawać, że ten sprzęt działa?

Punkt czwarty?

Punkt czwarty właściwie powinien być punktem pierwszym. Przestańmy traktować armię jak łup, jak bankomat, z którego można wyciągać pieniądze na swoje cele. Zaczniemy wreszcie ją budować, a nie tylko mówić, że już zaraz ją zbudujemy. Sejm właśnie uchwalił, że wojsko dostanie 2,5 procent PKB. Gdyby minister nie trwonił środków na chybione projekty, to za te pieniądze, które już są, można by zbudować porządną armię. Mniej PR-u, więcej roboty. Właśnie dlatego założyłem Stratpoints, żeby to wszystko mówić i punktować.

A jak się panu nie uda?

Podobno na łożu śmierci najbardziej żałuje się nie tego, co się zrobiło, ale tego, czego się nie zrobiło. Jak mi się nie uda, to przynajmniej nie będę żałował.

ŚMIERĆ MA COŚ Z PILOTA

Opowiem o śmierci. Pisząc o wojsku, zawsze miałem ją z tyłu głowy. Czasem była nachalna, innym razem gorzko ironiczna. Odsłuchując rozmowy, które nagrałem z generałem Tomaszem Drewniakiem, uświadomiłem sobie, że piloci właśnie z nią mi się kojarzą. Był taki moment, że kojarzyli się tak całej Polsce.

Po tragedii w Mirosławcu spotkałem się z Jerzym Gruszczyńskim. Dziś mówię do niego Jurek, bo przeszedł na drugą stronę i został dziennikarzem branżowym. Wtedy był panem Jerzym. Zdystansowanym, zamkniętym w sobie ekspilotem. Ładnie opowiadał o swoich kolegach, którzy myśleli, że oszukali śmierć. A ona tylko udawała, że dała się nabrać. Ci koledzy to Jerzy Piłat i Andrzej Andrzejewski. Obydwaj zginęli 23 stycznia 2008 roku w katastrofie casy w Mirosławcu. Oprócz nich 18 innych pilotów. Ale Gruszczyński najbardziej związany był z tymi dwoma. Była to więź dodatkowo zaciśnięta, bo każdy z nich otarł się o śmierć, kiedy musiał się katapultować z samolotu.

Pierwszy, 10 marca 1989 roku, wystrzelił się Lolo – taką ksywkę miał Jerzy Piłat. Życie uratował mu zdrowy rozsądek, profesjonalizm i za długi kręgosłup. Lekarze uznali, że mierzący 102 centymetry kręgosłup Piłata dyskwalifikuje go do latania na myśliwcach, właśnie ze względu na ewentualny problem z katapultowaniem. Skoro był za długi na samoloty myśliwskie, przesiadł się na iskrę. I właśnie z iskry się katapultował.

Drugi był Gruszczyński. Dokładnie 1 sierpnia 1990 roku, na Su-20. Silnik zgasł, kiedy samolot schodził do ataku. Nigdy więcej nie usiadł już za sterami maszyny. Na rok przed tragedią w Mirosławcu odszedł z wojska. Gdyby został, byłby pewnie dwudziestą pierwszą ofiarą. Jego koledzy wracali z konferencji poświęconej bezpieczeństwu lotów. Nie ominąłby takiej okazji do spotkania.

Historia z katapultowaniem się Andrzejewskiego była najbardziej medialna, bo wydarzyła się już w czasach internetu. No i nie co dzień wojsko strąca rakieta własny samolot, a pilotowi udaje się przeżyć. W prasie było dużo o szczęściu, ale Gruszczyński nie używał tego słowa. Według niego Andrzejewski był po prostu świetnym pilotem. Widząc lecącą raketę i mając świadomość, jak ona działa, odwrócił maszynę tak, żeby przyjąć odłamki na najmocniejszy element samolotu. A jednocześnie katapultować się w taką stronę, żeby samemu tymi odłamkami nie oberwać. Okazało się, że ponton szlag trafił, a radiostacja ratunkowa nie działała. Ale był twardy i wytrzymał półtorej godziny w zimnym Bałtyku, bo nawet w sierpniu Bałtyk jest zimnym morzem. Tu opowieść Gruszczyńskiego się kończy. Inny oficer wspominał, że Andrzejewski i dowódca jednostki, której rakietą go strąciła, zostali później znajomymi. Ze szklanką whisky w ręku fajnie żartuje się ze śmierci. Nawet

własnej.

Jurek Gruszczyński miał na ten temat własne zdanie. Komentując katastrofę w Mirosławcu, mówił: „Jakby pilot wiedział, że coś jest nie tak, na pewno rzuciłby w eter: «Żegnajcie». Zawsze się tak robi. Mogli się nawet nie zorientować, że zaraz zginą. Jakoś za szybko poszło. W wojsku zawsze się mówiło, że śmierci nie oszukasz. Ale jak raz ci się udało, to myślisz, że może jednak. Śmierć widać ma coś z pilota. Nie odpuszcza”.

W moim zawodzie również spotyka się śmierć. Co prawda nie trzeba się o nią ocierać, tylko opisywać. Każdy dziennikarz miał kiedyś swojego pierwszego trupa. Mój to tylko uniesiona do góry ręka. Wystawała z kupy żelastwa, w którą zmienił się mały samochód osobowy po wjechaniu pod pekaes. Oczywiście sama ręka mi nie wystarczyła. Szedłem dalej. Pewnie sam bym się nie zatrzymał. Na szczęście strażak był ode mnie mądrzejszy. Powiedział spokojnie: „Niech pan tam nie idzie. Nie chce pan tego oglądać”. Posłuchałem go. Ta opowieść o ręce to tylko tło do śmierci, której nie widziałem, ale która wstrząsnęła mną dużo bardziej niż ta pierwsza i wszystkie inne.

Ta śmierć wydarzyła się daleko. Nie było mnie tam wtedy. Na fotografii widziałem tylko wizytówkę, którą po sobie zostawiła. Żołnierz, który pokazywał mi zdjęcie, grał cynika. „Zobacz, auto niespodzianka – mówił. – Nie dość, że nie wiadomo, co to było, to jeszcze pozbierasz do kupy i zapakujesz w jajko z czekolady. Bo mniej więcej tyle z tego zostało”. Nie te słowa ani nie ten wysadzony samochód zrobiły na mnie wrażenie – w cynizmie dziennikarze w cuglach mogliby dochodzić do finału *Wielkiej gry*. Spokój odebrał mi zwykły biały golf dwójka. Pewnie zajeżdżony przez jakiegoś przedstawiciela handlowego, skoro w białym kolorze. Tak właśnie wyglądało marzenie szeregowego W.

Dla tego marzenia pojechał do Afganistanu. Jak tylko zaczęły spływać pierwsze pensje, samochód był już na podwórku, bo taka była umowa z handlarzem. W. przed wyjazdem na misję wszystko sobie obejrzał. Nawet ten biały kolor mu nie przeszkadzał, bo jak przystało na chłopaka ze wsi, do życia podchodził ze zdrowym rozsądkiem. Do ślubu się nim pojedzie, bo kolejne pensje W. miały iść właśnie na to. Pół roku po jego śmierci biały golf dalej stał na podwórku. Tylko za domem, bo matka nie mogła na niego patrzeć. Nikt nim nie jeździł. Nikt do niego nie wsiadał. W niedzielę siostra W. brała wiadro z ciepłą wodą i myła ten samochód, bo białe szybko łapie kurz.

Rozmowa z matką W. była jedną z trudniejszych w moim życiu. Najgorszy był moment, kiedy poprosiła, żebym pokazał jej, gdzie leży Afganistan, bo ona nawet nie wie, gdzie zginął jej syn. Tłumaczyłem fachowym językiem, że baza taka to a taka, w prowincji takiej to a takiej. Wyciągnęła archiwalny numer

„Polski Zbrojnej” z jakąś miniaturową mapką przy tekście. Mój palec zajmował duży jej fragment. Zacząłem wodzić długopisem po różowawym kształcie i tłumaczyć, gdzie jest nasza prowincja. Ożywiła się: „Nasza prowincja. To my tam mamy swoją prowincję?”. Im dłużej słuchałem sam siebie, tym bardziej robiło mi się niedobrze. Ale mówiłem, bo czułem, że nie mam serca mówić prawdy. Mówiłem, jak bardzo ważna jest nasza obecność w tamtym miejscu i ofiarna służba żołnierzy. O tym, że przecież żadna śmierć nie idzie na marne. O dzieciach, które mogą wreszcie chodzić do szkoły, i o biedzie takiej, że na całą rodzinę jest jedna kurtka. To do niej przemawiało. Pasowało do realiów, o których mówił syn w czasie krótkich rozmów z drugiego końca rzeczywistości.

Siostra W. pozwoliła mi obejrzeć zdjęcia, które tam zrobił, i filmiki, które nagrał. Aparat przysłano z kilkoma rzeczami, które po nim zostały. Na zdjęciach głównie pozuje. Na filmikach uwiecznił to samo w ruchomych obrazkach. Wzbogaconych o nudę patroli, pustkę krajobrazu i lądowanie chinooka. Jedno nagranie jest niezwykle. Przez środek bazy przechodzi mała trąba powietrzna, niewiele wyższa od W. Omija go bokiem, zatacza łuk, wraca i nagle znika. Piach i kurz, które porwała, gwałtownie opadają. Nie ma po niej żadnego śladu. Jakby nigdy nie istniała. Gdyby nie ten filmik, W. również nigdy by dla mnie nie istniał.

Przed odjazdem dostałem od jego mamy dziesięć jajek, słoik miodu i biały ser. Prosiła, żebym zabrał, bo tyle zrobiłem dla jej syna. No i pokazałem jej, gdzie jest ten Afganistan.

15 grudnia 2009 roku sam tam leciałem. Z „Gazetą Wyborczą” pod tyłkiem, żeby nie odmarzł, i pod pożyczonym śpiworem, bo samolot miał już swoje lata i ogrzewanie działało na pół gwizdka. W siedemnastej godzinie lotu wszyscy z czterdziestu dwóch pasażerów dawno już spali albo byli tak zmęczeni, że niewiele rozumieli z tego, co się wokół nich działo. A działo się dużo, bo samolot miał jakiś wyciek z instalacji hydraulicznej i piloci rozpaczliwie próbowali zmusić maszynę do posłuszeństwa. Przez ostatnie dwadzieścia minut lotu walczyli o swoje i nasze życie. Gdyby przegrali, pewnie spotkałoby mnie to, o czym marzy wielu ludzi – śmierć we śnie. Obudziło nas twarde przyziemienie. Jedno z tych, że cieszysz się, że dawno nic już nie jadłeś i tyle. O tym, że samolot miał awarię, dowiedzieliśmy się przypadkiem trzy dni później. Z tego, co wiem, mogę śmiało mówić, że piloci uratowali mi życie.

Myślę, że śmierć może mieć poczucie humoru, bo w masie nagranych z generałem Drewniakiem godzin nie nagrał się akurat ten fragment, w którym opowiadał, jak sam otarł się o śmierć. A jego koledzy ocierali o nią innych, a to bombardując podwórko jakiejś szkoły, a to ostrzeliwując kuter ze szkolną wycieczką. Te dwie ostatnie historie dołączyłem do wywiadu. Zadzwoniłem do

generała i wypytałem go o nie jeszcze raz. Opowieści o tym, jak w jego samolocie zgasł silnik, już nie dołączyłem. Sam do końca nie wiem dlaczego. Może wydała mi się zbyt intymna, a może zbyt banalna w porównaniu do tego, co musiało się dziać w kabinie. Z wykresu pracy silnika wynika, że nie działał dokładnie 15 sekund. To bardzo długo, kiedy ocierasz się o śmierć. Później udaje ci się jednak uruchomić silnik i wszystko zamieniasz w żart. Przynajmniej w opowieści.

Rozmowa z generałem Tomaszem Drewniakiem



Tomasz Drewniak, generał brygady rezerwy. Były inspektor Sił Powietrznych w Dowództwie Sił Powietrznych. Rocznik 1964. 34 lata służby.

Absolwent Wyższej Oficerskiej Szkoły Lotniczej w Dęblinie. Studiował też w Akademii Lotniczej Federacji Rosyjskiej w Monino i Akademii Wojskowej Wojsk Lotniczych w Maxwell (USA).

Pilot wojskowy pierwszej klasy w lotnictwie myśliwskim i transportowym. Karierę zaczął na samolotach Mig-21. Na różnych typach samolotów wylatał ponad dwa tysiące godzin, w tym ponad tysiąc na Migach. W marcu 1988 r. rozpoczął służbę w 26 Pułku Lotnictwa Myśliwskiego w Zegrzu Pomorskim. Po wykryciu wady serca przeniósł się do lotnictwa transportowego. W 2000 r. został dowódcą 13 Pułku Lotnictwa Transportowego w Krakowie.

Jeden z najbardziej doświadczonych oficerów w Siłach Powietrznych. Przez lata zajmował się kształceniem lotniczym młodych pilotów, będąc dowódcą 4 Skrzydła Lotnictwa Szkolnego. W styczniu 2016 r. został wyznaczony na inspektora Sił Powietrznych. Po niespełna roku zwolniony ze stanowiska bez podania przyczyn. 29 czerwca 2017 r. odbył ostatni, pożegnalny przelot nad lotniskiem w Dęblinie.

Dzień później odszedł z armii.

Juliusz Ćwieluch: Generał Różański twierdzi, że z wojska wyleciał pan za profesjonalizm.

Generał Tomasz Drewniak: Ja nie mogę się zdecydować, czy za naiwność, czy za szczerłość.

I ku któremu wytłumaczeniu się pan skłania?

Dochodzę do wniosku, że trzeba było być bardzo naiwnym, żeby liczyć, że szczerą i profesjonalną informacją o stanie sił zbrojnych zostanie doceniona. Choć pan prezydent od razu zastrzegł, że albo rozmowa będzie szczerą, albo on wychodzi. Siedzący obok minister Macierewicz potakiwał głową.

8 listopada 2016 roku mówi pan na spotkaniu z prezydentem, że polskie lotnictwo zmierza ku katastrofie, a dziesięć dni później traci pan stanowisko.

Nie użyłem słowa katastrofa. Po prostu tłumaczyłem, że realizacja celów stawianych przed lotnictwem jest coraz trudniejsza. A w dłuższej perspektywie może się okazać niemożliwa. Pierwszym punktem zapalnym okazała się kwestia lotnictwa transportowego, a konkretnie programu MRTT, czyli zakupu samolotów transportowo-tankujących. Kiedy zacząłem o tym mówić, minister Macierewicz przerwał mi i powiedział: „Panie generale, widzę, że jest pan nieprzygotowany. Program MRTT został odwołany. Gdybyśmy kupili te samoloty, to byłyby zmarnowane pieniądze”.

Nie wiedziałem, że wycofaliśmy się z tego programu.

Ja również. Chociaż byłem inspektorem Sił Powietrznych. Prezydent poprosił mnie o skomentowanie tej decyzji. Powiedziałem, że o ile z zadaniami transportowymi damy sobie radę, o tyle będzie problem z zapewnieniem możliwości tankowania w powietrzu, której nie mamy,

a dzięki temu programowi mieliśmy mieć. Bez tankowania w powietrzu w zasadzie nie ma sensu kupować rakiet JASSM dalekiego zasięgu.

Dlaczego?

Rakieta ma zasięg 950 kilometrów. Odpalona znad terytorium Polski nie doleci do stolicy potencjalnego przeciwnika. Powinniśmy ją odpalić znad wód neutralnych Morza Bałtyckiego, najlepiej z okolic Zatoki Fińskiej, bo stamtąd jest 750 kilometrów do tej hipotetycznej stolicy. Ale żeby tam dolecieć, musimy zatankować w powietrzu dwa razy. A bez MRTT tego nie zrobimy.

Rozumiem, że pan minister nie był zadowolony z pana wyводу.

Powiedzmy, że można tak określić jego reakcję. Tym bardziej kiedy dodałem, że wbrew temu co później powiedział, w nowych planach nie ma takiej pozycji jak zakup samolotów do tankowania w powietrzu. Chyba że planuje się je kupić w programie na lata 2025–2035. Ale wtedy nasze F-16 będą miały już trzydzieści lat. Od tego tematu płynnie przeszliśmy do następców samolotu F-16.

Jaką maszynę pan rekomendował?

Naturalnego następcę, czyli samolot F-35. Pan minister i na ten pomysł zareagował nerwowo. Okazało się, że chciał zrealizować wariant z zakupem używanych samolotów F-16 i ich częściową modernizacją rękoma polskiego przemysłu obronnego. Minister chciał kupić sto samolotów i przy okazji stworzyć w Polsce centrum serwisowe na Europę. Powiedziałem, że ten pomysł dobrze brzmi, ale będzie trudny do zrealizowania, bo za pięć lat większość użytkowników samolotu F-16 w Europie przesiądzie się na samolot F-35. Przy tej maszynie zostają Grecja i Turcja, ale te kraje mają własne centra serwisowe. Poza tym samolot F-35 to nowy wymiar lotnictwa. Pojedynek jednego F-35 z sześcioma F-16 skończył się tak, że szósty F-16 zorientował się, że został

namierzony, na pół sekundy przed zestrzeleniem. Piloci pięciu maszyn nie mieli tyle szczęścia, bo F-35 ma taką przewagę nad wszystkim, co dotychczas skonstruowano. Dlatego Polska powinna kupić dwie eskadry F-35, które będą czyścić niebo. I dokupić jedną eskadrę F-16, które powinny wykonywać zadania wsparcia sił lądowych, w czym są bardzo skuteczne.

Przekonał pan ministra?

Tak go przekonałem, że dziesięć dni później zostałem odwołany.

Dziadostwo

Może ten pomysł z używanymi F-16 nie jest taki zły.

Pozornie to się może podobać, zwłaszcza w Polsce, gdzie w cenie są promocje typu dużo i tanio. Jednak kiedy zagłębimy się w szczegóły, to pomysł nie wygląda już tak atrakcyjnie. Po pierwsze, bierzemy czterdziestoletnie samoloty z pustyni i właściwie robimy je od zera. Ministerstwo forsowało, by robiono to w Wojskowych Zakładach Lotniczych numer 2 w Bydgoszczy.

A oni mają takie możliwości?

Na spotkaniu z przemysłem Leszek Walczak, prezes WZL 2, od razu zastrzegł, że on się takich remontów nie podejmie, bo nie ma technologii, dokumentacji. Po prostu nic.

Piękny początek.

Dalej było jeszcze ciekawiej. Radar i oprogramowanie też miały być polskie. Według koncepcji Ministerstwa w ciągu dwóch lat miało latać już osiem samolotów.

Radar w dwa lata. Przecież to jakieś bajki.

Proszę pana, projekt Iryda^[*] pochłonął miliardy. Ale to było nic wobec realizacji tego pomysłu. A efekt byłby dokładnie taki sam. Projekt liczył 35 stron i jeden kosmiczny pomysł gonił drugi. Polski przemysł miał na przykład odpowiadać za integrację uzbrojenia.

A skąd nasz przemysł wzięłyby kody źródłowe zapewniające dostęp do oprogramowania?

W projekcie było zapisane, że dostalibyśmy je od Amerykanów.

A dostalibyśmy?

Żartuje pan? Przecież prawo im na to nie zezwala. A pomijając to, słyszał pan kiedyś, żeby Microsoft dał albo nawet sprzedał komuś kody źródłowe?

Zawsze można zapytać.

Też tak pomyślałem i doprowadziłem do spotkania w amerykańskiej ambasadzie, gdzie poinformowana w tym temacie osoba powiedziała wprost: „Amerykanie za bardzo szanują Polaków i nie przewidują sprzedaży Polakom żadnego używanego samolotu”.

Minister obiecywał polski śmigłowiec, to czemu nie polskie F-16.

Minister może obiecać wszystko. Zwłaszcza ten. Mówmy o realiach. Na świecie jest może pięciu producentów będących w stanie zbudować samolot bojowy. Jeden z tych samolotów, konkretnie Eurofighter, to efekt kooperacji czterech krajów, w tym dwóch potęg gospodarczych – Niemiec i Wielkiej Brytanii. Eurofighter, który cały czas jest projektem na dorobku i ciągle jest doskonalony. Szwedzi zaprojektowali Gripena, ale własnego silnika już nie są w stanie zbudować. Awionikę również kupili od Amerykanów. Pierwszy prototyp tego samolotu uległ zniszczeniu, bo nie byli w stanie opanować problemów związanych z oprogramowaniem. Drugi

zresztą też. Prace nad Gripenem trwały dwadzieścia lat. A my mielibyśmy w ciągu dwóch lat zmodernizować osiem samolotów właściwie od zera. I to bez żadnego doświadczenia, bo ostatni latający samolot odrzutowy zaprojektowano i wdrożono do produkcji w Polsce na przełomie lat 50. i 60. XX wieku. Rozumiem, że polityk może koloryzować, zdarza się, że nawet kłamię. Ale to już nie mieści się w żadnej z tych kategorii.

Czy projekt ostatecznie upadł?

Mam nadzieję, że tak. Ale pomijając nietrafione pomysły, to większym kłopotem, który generuje obecne kierownictwo resortu obrony, jest brak zakupów.

Brak śmigłowców jest problemem?

Skoro miały być, a ich nie ma, to pytanie jest retoryczne. Nie chciałbym sprowadzać problemu do śmigłowców, bo kłopot jest systemowy. Wojsko ma Plan Modernizacji Technicznej. Jak w każdym planie są tam zapisane konkretne pozycje wraz z terminem realizacji. PMT powstał nie dlatego, że ktoś miał swoje widzimi się. Powstał na bazie konkretnych potrzeb, jakie ma wojsko. Proszę mi więc wskazać, co ostatnio zostało zrealizowane z tego planu. Skupmy się na dużych kontraktach.

Kupili samoloty dla VIP-ów.

Tego zakupu nie było w planach. A skoro z planu wypada ponad 60 procent środków na dany rok, to siłą rzeczy 60 procent zakupów nie jest realizowane. A przypomnę, że małe samoloty plus duże, plus pakiet szkoleniowy, to wszystko zamknie się w kwocie około 4 miliardów złotych. Sam pan może sobie odpowiedzieć, jak idzie realizacja PMT.

Minister mówi, że to przez oszczędzanie na transporcie VIP-ów doszło do katastrofy smoleńskiej, i trzeba skończyć z dziadostwem państwa.

Po pierwsze: przyczyną tragedii smoleńskiej nie była niesprawna maszyna, tylko bałagan organizacyjny i nieprzestrzeganie procedur. Jeśli ktoś mnie pyta, czy w Smoleńsku doszło do zamachu, to ja zawsze odpowiadam, że lot do Smoleńska w ogóle nie powinien był się odbyć. Załoga nie była przygotowana, lotnisko nie spełniało kryteriów bezpieczeństwa. Już samo to wystarczyło, żeby ten lot nigdy się nie wydarzył. Gdybyśmy przestrzegali procedur, to Rosjanie mogliby rozpuszczać mgłę, budować bomby termobaryczne czy co tam jeszcze wymyśli komisja Macierewicza, ale nic by nie wskórali. Zostawmy ten wątek. Skupmy się na PMT.

Przyjmijmy, że samoloty dla VIP-ów były nam potrzebne, i to w tak dużej liczbie. Ale skoro PiS-owi tak bardzo zależy na obronności, to dlaczego te maszyny zostały kupione z pieniędzy MON? Wyrwanie 4 miliardów z budżetu oznacza jego całkowitą demolkę. Przecież te samoloty mogły być kupowane tak jak F-16, na mocy specjalnej ustawy, i opłacone bez naruszania budżetu MON.

Jakie to będzie miało konsekwencje dla wojska?

Tragiczne. Zakupy są przesuwane w czasie, części z nich w ogóle nie będzie. To jest czysta matematyka. Najważniejsze zakupy, jak choćby system Patriot, ciągle czekają na realizację. Dziś atak z powietrza możemy odeprzeć jedynie na dwa sposoby. Albo własnymi samolotami, albo systemem Newa, którego zasięg wynosi 25 kilometrów, a prawdopodobieństwo zestrzelenia współczesnego samolotu jest na poziomie 20 procent. System jest z lat 60., produkcji radzieckiej. Rosjanie znają go na wylot. Prawdopodobnie będą mogli go z łatwością zakłócić. Uczciwiej byłoby powiedzieć, że w zasadzie poza samolotami F-16 nie mamy nic.

Pilot F-16 Krystian Zięc powiedział mi w wywiadzie, że jeśli mamy powstrzymać jakikolwiek atak, to tych samolotów powinno

być co najmniej trzy razy więcej.

No właśnie, co najmniej.

Z braku większych zakupów cieszą się polskie firmy.

Trzymam kciuki za to, żeby jak najwięcej produkcji dla wojska odbywało się w kraju, ale to nie może się dziać kosztem jakości. Amerykańskie pociski do działka Vulcan zamontowanego w F-16 nie niszczyły luf. Wystrzeliliśmy ich tysiące i nic. Odkąd zaczęliśmy kupować amunicję z polskiej fabryki, co chwila musimy wymieniać lufy, bo są zdarte przez amunicję. A w jednym działku Vulcan jest ich sześć. Zakup nowych będzie kosztował setki tysięcy dolarów.

Pan mówi o braku zakupów, a okazuje się, że nawet z zakupionym sprzętem sobie nie radzimy.

Rozumiem, że pije pan do sprawy samolotów szkolnych M-346 Master. Przez prawie pięć lat byłem dowódcą 4 Skrzydła Lotnictwa Szkolnego w Dęblinie. Sprawy związane ze szkoleniem znam jak własną kieszeń, bo jestem autorem wielu z tych koncepcji. I po prostu boli mnie, że mamy samoloty, a nie możemy na nich latać właściwie z przyczyn formalnych. A wydawało się, że przyjęcie samolotów na stan uzbrojenia sił powietrznych jest przesądzone. Już w listopadzie 2016 roku uroczystość chrztu i nadania samolotowi nazwy Bielik była dopięta na ostatni guzik.

Czyli chrzest był przedwczesny?

Chrztu jako takiego nie było. Zablokował go minister Macierewicz. Matką chrzestną miała być pierwsza dama, pani Agata Duda. Samolot był już oblatany i poza brakiem pewnych funkcji w symulowaniu pola walki nie było zastrzeżeń. Wydawało się więc, że choć z uwagami i pod rygorem uzupełnienia braków, zostanie przyjęty na stan sił zbrojnych.

Teraz mamy koniec 2017 roku. Samoloty stoją, a lotników zżera

frustracja, że nie mogą nimi latać.

Proponowałem konkretne rozwiązania, które pozwoliłyby uniknąć takiej sytuacji. Jednym z nich było aneksowanie umowy. Włoski producent proponował, że samoloty dostaną brakujące w oprogramowaniu elementy kilkadziesiąt miesięcy później. W zamian Włosi dokonaliby nieodpłatnego uaktualnienia całego oprogramowania, co przy okazji podniosłoby osiągi samolotu. Koszt zmiany całego oprogramowania liczony jest w milionach. Podobnie zresztą jak kary, które Włosi zapłacą za niewywiązanie się ze wszystkich punktów umowy. Finansowo nie bylibyśmy stratni. Tym bardziej że im dłużej nie mamy tych samolotów, tym bardziej na tym tracimy, bo nie możemy rozpocząć szkoleń. Jednak spór z Ministerstwem zyskał chyba jakiś rys ambicjonalny.

Kto przetrzyma kogo?

Słyszałem nawet, że rozważane jest zerwanie kontraktu. Jeśli do tego dojdzie, to nowe samoloty szkolne dostaniemy najwcześniej za cztery lata. W tym scenariuszu za kilka lat trzeba będzie zamknąć bazy z samolotami F-16, bo nie będzie miał kto na nich latać.

Nie przesadza pan?

To są fakty. Amerykanie już nie będą nam szkolić pilotów. Osobiście powiedział mi to szef sztabu Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych. Szkoli siedmuset pilotów amerykańskich rocznie. A potrzeby ich armii oscylują wokół tysiąca pięciuset. Musi gdzieś wyszukać rezerw i my właśnie jesteśmy tą rezerwą. Dali nam dużo czasu, żebyśmy przejęli pałeczkę.

I formalnie ją przejęliśmy. Mamy instruktorów, mamy dwumiejscowe maszyny i moglibyśmy sami prowadzić szkolenia. Ale jeden z pilotów powiedział mi, że w jego skrzydle od kilku miesięcy się nie szkolą. Wysłaliśmy samoloty do Kuwejtu, ciągle

stawiamy pilotom jakieś zadania. Na szkolenie nie wystarcza już czasu, samolotów i ludzi.

Zgłaszałem te wszystkie problemy do Ministerstwa. Już wcześniej mieliśmy problemy ze szkoleniem w kraju. B Course, czyli kurs podstawowy, w Stanach trwał rok, a u nas dwa razy dłużej. Teraz nie znam terminów, ale z pewnością są dużo dłuższe, niż były. W pewnym momencie to wszystko się nam po prostu rozjedzie. Czy pan wie, ile kosztuje wyszkolenie jednego pilota F-16 w dzisiejszym trybie?

5 milionów złotych?

Proszę tę kwotę pomnożyć przez dziesięć. 50 milionów złotych to jest właściwa odpowiedź. Po to właśnie kupiliśmy samoloty M-346 Master, żeby między innymi zmniejszyć te wydatki.

50 milionów złotych za wyszkolenie jednego pilota? Teraz to pan koloryzuje.

Może nawet więcej niż 50 milionów złotych. Najpierw pilot musi wylatać niemal dwieście godzin na samolocie Iskra; to też kosztuje. Jeśli dobrze sobie radzi i rokuje, wysyłamy go na dalsze szkolenie do Stanów. Minimalny zakres szkolenia w USA to kurs na samolocie T-38 i B Course na samolocie F-16. W sumie sto osiemdziesiąt godzin na dwóch typach. Samo to kosztuje grubo ponad 5 milionów dolarów.

Skąd pan wie?

Przysyłają nam faktury i trzymałem je w ręku. Proszę pamiętać, że pilot po kursie w Stanach ma tylko podstawowe kwalifikacje do latania na F-16. Lata – jak my na to mówimy – „podczepiony pod skrzydło prowadzącego” i ledwo się orientuje, co się koło niego dzieje. Takiego pilota nie możemy jeszcze wysłać na wojnę. To tak jakby pan ledwo zdał egzamin na prawo jazdy i kazali panu brać udział w rajdach samochodowych. Murowana śmierć na pierwszym zakręcie. Dopiero kiedy ktoś po B Course wylata

kolejne pięćset godzin, to możemy mówić, że mamy wyszkolonego pilota. Potrzebny na to czas to prawie dziesięć lat. I nie da się tego skrócić. Można to co najwyżej zorganizować inaczej. I do tego potrzebny był nam samolot Master. A od ponad roku dwie maszyny stoją w Dęblinie.

A dlaczego dowódcy nie grzmią, przecież to skandal?

I tu dotykamy jeszcze większego problemu, który generuje minister Macierewicz. Z wojska odeszli albo musieli odejść wszyscy najważniejsi dowódcy. Dla stabilności armii jest to zabójcze. Powiedzmy, że minister ma prawo dobierać sobie najbliższych współpracowników. Tylko że te czystki nie dotyczą kilku generałów, a setek oficerów. I wszyscy lecą z jednego klucza. Każdy, kto ośmieli się nie tyle skrytykować, co wyrazić własne zdanie, musi się liczyć z tym, że w nocy dostanie szarą kopertę, a w dzień jego karta wejściowa do pracy będzie już nieaktywna.

Od kilku miesięcy już nikt nie protestuje.

Otóż to. Proszę sobie wyobrazić tych wszystkich ludzi, którzy od ponad roku są trenowani w niepodejmowaniu decyzji. I będą dalej w tym trenowani. Po każdej takiej dymisji jakakolwiek inicjatywa własna spada już poniżej zera. A proszę sobie wyobrazić, że nagle coś się dzieje i trzeba te decyzje podejmować.

I co będzie?

To, co wydarzyło się na Krymie. Miałem okazję rozmawiać z oficerami ukraińskimi, którzy tam byli. Przecież oni widzieli, co się dzieje, że koło jednostek kręcą się jacyś podejrzani ludzie, że budowane są posterunki. Pisali raporty do Kijowa, ale tam wszyscy byli zajęci walką o władzę i nawet nie odpisali. Dowódcy na Krymie czekali do końca. Nikt nie podjął żadnego działania. Nikt nie wydał broni, nie ogłosił alarmu. Siedzieli w swoich gabinetach i czekali. Jeden z oficerów opowiadał, że do jego gabinetu przyszło dwóch panów. Kazali mu wyjrzeć przez okno. Z dachu

budynku obok celował w niego snajper. Zrozumiał przekaz. Wziął teczkę i wyszedł, jak z biura. Tak się kończy łamanie kręgosłupów, niszczenie morale. Czy ktoś teraz narzeka? Ci, co narzekali, są już poza armią albo w rezerwie kadrowej. Armia ma przetrącony kręgosłup.

A gdyby dziś wybuchła wojna, to co by się stało?

Co mam panu powiedzieć? Przecież ludzie to przeczytają.

Właśnie po to zadaję te pytania.

(cisza) Cykl ćwiczeń w polskiej armii układa się tak, że co dwa lata robimy duże, rozbudowane ćwiczenie Anakonda, podczas którego ćwiczymy własne wojsko, ale też elementy współpracy z sojusznikami. Tysiące ludzie idą w pole i pokazują, na co nas stać. W latach, w których nie ma Anakondy, robimy mniejsze ćwiczenie Borsuk [w realu] i wirtualną grę wojenną.

Bawicie się na komputerach?

Komputer to maszyna obliczeniowa. Załadowana odpowiednią ilością danych pozwala na tworzenie realnych i sprawdzalnych scenariuszy rozwoju wypadków. To potężne i bezwzględne narzędzie, bo nie wybacza błędów. No więc w czasie takiego ćwiczenia w 2015 roku całe nasze lotnictwo straciliśmy w ciągu czterech godzin.

Chyba dni?

W cztery dni to straciliśmy przewagę na niebie we wrześniu 1939 roku. W czasie ćwiczeń w 2015 roku straciliśmy całe lotnictwo w cztery godziny. Weszliśmy w zintegrowany system obrony powietrznej przeciwnika i nie daliśmy rady go przełamać, bo nie mamy takich środków. W efekcie trzeba było zresetować komputer i zacząć ćwiczenie od nowa.

Całe lotnictwo?

Proszę pana, jeśli straty przekraczają 60 procent, to może pan mówić o utracie całego narzędzia. Co panu przyjdzie z kilku samolotów, które zdołały powrócić z akcji? Po takich stratach nie da się już podnieść z kolan. Nie da się też odtworzyć infrastruktury, którą stracimy wobec braku osłony z powietrza. Tracąc powietrze, przegrywamy wojnę.

Hiszpanka

Urodził się pan w Gliwicach, ale nie związał się pan z tym miastem.

Moją rodzinę do Gliwic rzuciła wielka historia. I jak na wielką historię przystało, zrobiła to z rozmachem. Film można by o tym nakręcić, ale pewnie ludzie mówiliby, że scenarzysta przesadził.

Jako były filmoznawca chętnie posłucham.

Krótko po pierwszej wojnie światowej moja prababka ze strony matki zmarła na hiszpankę. Jej dwóch synów myślało, że mamusia zmarła i ogrzewali ją własnymi ciałami. Po jakichś dwóch dniach ktoś ich znalazł na wpół żywych i trafili do domów dziecka, ale dwóch różnych. Mój dziadek miał wtedy osiem lat. Ponieważ dobrze radził sobie w szkole, dyrekcja sierocińca postanowiła wysłać go do szkoły handlowej. Od lat 30. terminował w sklepie. I tu znów go zastała wielka historia, bo państwo zaczęło promować akcję wspierania polskiego handlu.

Kosztem żydowskiego.

Na szczęście niczym kosztem, bo dziadek żadnych świństw nie robił. Po prostu dostał szansę na nisko oprocentowany kredyt bez zabezpieczeń, jakiego w innych warunkach nikt by mu nie dał. Nie zmarnował tej szansy. Przed wojną był już współwłaścicielem sporego sklepu odzieżowego

we Lwowie. Kamienica, w której mieścił się sklep, stoi zresztą do dziś. Sklepu dziadek nigdy nie odzyskał, ale starych nawyków się nie wyzbył. Nigdy nie pracował państwowo, zawsze prywatnie, choć przesiedział za to prawie dwa lata w więzieniu.

A co z tymi Gliwicami?

Cierpliwości. Jak już mówiłem, dziadek i jego brat nie mają ze sobą żadnego kontaktu. Jest rok 1945 i dziadek, uciekając przed Sowietami, jedzie na ziemie odzyskane. Nie ma żadnego planu. Postanawia wysiąść w Gliwicach, bo miasto spodobało mu się z okien pociągu. Prosto z dworca idzie do Urzędu Repatriacyjnego i podaje swoje dane pierwszemu napotkanemu urzędnikowi. Mężczyzna wstaje i go obejmuje. Tak spotkał po prawie trzydziestu latach swojego brata.

Udało im się zbudować jakieś relacje?

Spotykali się, zapraszali na uroczystości. Trudno powiedzieć, jak silna była ta więź. Potem brat dziadka został przeniesiony do pracy do innego miasta i mieli mniej okazji do spotkań. Taki jest los.

Dziadek prywaciarz. W latach 60. z takimi papierami nie przyjęliby pana do armii.

W 80. też nie chcieli przyjąć. Można powiedzieć, że Gierek mi to załatwił.

A skąd pana rodzice znali Gierka?

Z telewizora. A skąd go mieli znać? To czysty przypadek, że mnie przyjęto do armii. Ale tę historię musiałbym zacząć od opowieści o kolejnym przodku, tym razem od strony ojca. Dziadek był barwną postacią. Przed wojną żołnierz 20 Pułku Ułanów. Przyjaciół Hubala. W czasie wojny akowiec. Przez pewien czas działał w grupie, która wykonywała decyzje sądu podziemnego.

Wykonywał wyroki?

Też. W lesie w okolicach Rzeszowa prowadził szkołę podchorążych dla akowców. Jako WiN-owiec dostał zaoczny wyrok śmierci.

Prawdziwy Żołnierz Wyklęty?

Najprawdziwszy. Skazany w Rzeszowie, dziesięć lat ukrywał się pod nie swoim nazwiskiem, bo słusznie nie wierzył w obydwie amnestie. Nie mam żadnej pamiątki po dziadku oprócz ostróg, które cudem przechowały się w jakiejś stodole. Jest jeszcze tablo 20 Pułku Ułanów, na którym dziadek stoi przy Hubalu. Tablo jest zresztą przedarte na pół, bo jakiemuś ubekowi się nie spodobało. Wszystkie inne pamiątki zabrali. To dziadkowi zawdzięczam pasję do latania.

Gdzie ułani, a gdzie latanie?

Jego przyjacielem był Tadeusz Rolski, słynny lotnik w Anglii. Dziadek szedł razem z nim do lotnictwa, ale jego matka zapłacała nie wiem ile, dziadek mówił, że dużo, żeby wyreklamować go z lotnictwa. I tak poszedł do kawalerii. Babcia uważała, że lotnictwo jest bardzo niebezpiecznym zajęciem.

Wtedy było.

W 1979 roku naładowany opowieściami dziadka pojechałem do liceum lotniczego i dosyć gładko zdałem egzaminy. Po egzaminach Bonifacy Sych, ówczesny dyrektor liceum lotniczego, wezwał mnie i matkę do siebie. Mnie powiedział: „Gratuluję zdania egzaminów”. I kazał wyjść. A mamie oznajmił, że z takimi papierami to nie mam szans i trzeba szukać dla mnie innej szkoły.

Traf chciał, że tydzień po egzaminach przyjechał do liceum towarzyszy Edward Gierek. Szkoła zrobiła na nim takie wrażenie, że podobno spontanicznie podjął decyzję, że trzeba otworzyć jeszcze jedną. W Zielonej Górze był akurat jakiś wolny budynek. Wzięli listę osób, które zdały

egzaminy, i z marszu wszystkich przyjęli, już nie patrząc w papiery.

Kiedy pierwszy raz usiadł pan za sterami?

Przed liceum ani razu nie byłem w powietrzu. Jak ktoś miał silne koneksje lotnicze, to może wcześniej latał. Ale większość z nas po raz pierwszy wzbiła się w powietrze właśnie w szkole. Pierwszy samolot, jakim leciałem, to chyba był Gawron.

Dlaczego wybrał pan Zieloną Górę, a nie Dęblin?

Niczego nie wybierałem. Zgromadzono nas w hangarze w Dęblinie. Przyszedł oficer i odliczył piętnaście rzędów z lewej – ci do Zielonej Góry, a reszta do Dębina. Mieszkałem w pokoju z kolegami z Puław i Ryk. Nikt się nie przejmował, ile będziemy mieli do domu.

Po wojskowemu.

Nie narzekałem. Wiedziałem, że liceum było przepustką do Szkoły Orłąt w Dęblinie. Kiedy wyjeżdżałem z domu, miałem czternaście i pół roku. Wracalem na Boże Narodzenie, Wielkanoc i wakacje. Dzisiaj są komórki, czaty, Skype'y, a wtedy kontaktowałem się z rodzicami za pomocą dwóch listów rocznie, bo jako młody człowiek miałem awersję do słowa pisanego. W internacie trzeba było walczyć o siebie, bo nikt inny się mną nie przejmował. W moim roczniku szkołę zaczęło prawie stu osiemdziesięciu uczniów. Maturę zdało nieco ponad pięćdziesięciu. Część wyleciała za słabe wyniki. Niektórzy rezygnowali sami, bo nie byli w stanie wytrzymać rozłąki z rodziną.

Jaki był poziom nauczania?

Wysoki. Szkoła była pokazowa. Zwerbowano całą plejadę bardzo dobrych nauczycieli, którzy od nas dużo wymagali. Mieli nas na miejscu, więc oddziaływali cały czas, ale w takim pozytywnym tego słowa znaczeniu.

Na zakończenie liceum lotniczego dostawało się licencję pilota?

Nie. Program szkolenia był tak ułożony, że nauki nie kończyło się żadnym dokumentem. Nie robiliśmy ostatniego manewru, czyli przelotu na obce lotnisko. Właśnie po to, żeby nie można było złożyć papierów do Urzędu Lotnictwa o wydanie licencji. Gdybyśmy mieli przelot wpisany do naszych księzek, wtedy moglibyśmy składać wniosek o licencję.

Denerwowało to pana?

Mnie nie. Ja od początku byłem nastawiony na lotnictwo wojskowe. Przepustką do szkoły w Dęblinie było przejście wirówki. Do maszyny wsadzali nas bez żadnego szkolenia, bez żadnych wskazówek. I ognia. Jak wytrzymałeś pięć, sześć G, to znaczy, że nadajesz się do lotnictwa. Jeszcze pilnowali, żebyś nie odchylił głowy od fotela. Trzeba było mieć krzepę, żeby to przejść. Kolejnym etapem selekcji był cały pierwszy rok szkoły. Na pierwszym roku nas tylko obrabiali. Zajęcia nie miały nic wspólnego z lotnictwem.

Czyściec?

Proszę sobie wyobrazić młodego człowieka, który przychodzi pełen marzeń o lotnictwie. Samoloty latają codziennie od świtu do zmroku, a my ćwiczymy musztrę na słońcu. Mówiąc po wojskowemu, jesteśmy docierani. Uczymy się matematyki, ale też kompletnych bzdur takich jak ekonomia socjalizmu, a za oknem cały czas latają samoloty. Wielu z moich kolegów tego nie wytrzymało. Dopiero po pierwszym roku zaczynały się przedmioty lotnicze. A w trzecim semestrze pierwsze wyjazdy na lotnisko.

Po latach to pan był odpowiedzialny za szkolenie.

Rozumiem, czemu to miało służyć, ale dalej uważam, że ten efekt nie musiał być osiąganym w tak bezwzględny i brutalny sposób. Nie tolerowałem tego zupactwa, ujeżdżania człowieka. Na pierwszym roku miałem chyba ze sto siedemdziesiąt pięć dni zomzu, czyli zakazu

opuszczania miejsca zakwaterowania, za to, że nie mogłem znieść tej głupoty. Stoimy w szeregu. Dowódca widzi, że się uśmiecham, i nagle wrzask: „Drewniak, a było się śmiać?!”. A ja na to: „A było się nie śmiać?”. No i łup, kara.

Im więcej potu na ćwiczeniu, tym mniej krwi na polu walki.

Taki był plan, z realizacją bywało różnie. Z pewnością takimi metodami przeprowadzano ostrą selekcję. Przy okazji budowano nieprawdopodobnie silną relację między nami. Bardzo szybko sobie uświadomiliśmy, że albo będziemy się trzymać razem, albo nas pojedynczo wszystkich wybiorą. W tym roku była trzydziesta rocznica naszej promocji. Spotkaliśmy się na zjeździe we wrześniu. Zawarte wówczas przyjaźnie do dziś są bardzo mocne, bo zostały zahartowane w wysokiej temperaturze.

Miał pan w szkole jakiegoś mentora?

Trudno powiedzieć czy mentora. Człowiekiem legendą był ówczesny zastępca komendanta do spraw liniowych Zdzisław Czechel. Pułkownik 6 Pomorskiej Dywizji Powietrzno-Desantowej z Bielska. Komandos, chodził z nożem, jeździł amerykańskim buickiem, wtedy to była sensacja. Na swój sposób szarmancki. Jak nas złapał, kiedy wracaliśmy w nocy z restauracji Adria, to do aresztu odwoził nas tym buickiem. Krążyły o nim legendy. W wieku osiemnastu, dziewiętnastu lat niektórzy bardzo szybko nabierali masy mięśniowej. Wydawali nam jedną koszulę na dwa lata, więc wielu nosiło rozpięte kołnierzyki. Czechel dopinał te kołnierzyki w ten sposób, że rozcinał koszulę z tyłu nożem.

Rambo na miarę naszych możliwości.

Człowiek z fantazją. Mocno wybijający się na tle ówczesnej wojskowej szarzyzny.

Jak pan to wszystko przetrwał?

Ja po prostu bardzo chciałem latać. Na pierwszym roku chodziliśmy w ogólnowojskowym moro. Proszę sobie wyobrazić, że jak nam tydzień czy dwa przed lotami wydano kombinezony lotnicze, to myśmy w nich spali. Takie to było dla nas przeżycie.

Dostaliście skórzane kurtki?

Tak. Jeszcze wtedy były porządne. Grube, z końskiej skóry. Takie kurtki w lotnictwie wzięły się z trudnych początków. Skóra była jedynym materiałem, który, jak się wylało paliwo, przez jakiś czas izolował i chronił pilota przed oparzeniem. Przecież pilot z każdej strony otoczony jest paliwem, bo samoloty po prostu dużo go zużywają. Pod skórę można było włożyć futro, bo pierwsze samoloty nie tylko miały otwarte kabiny, ale w ogóle nie były ogrzewane.

Piloci to była elita?

U nas w kraju słowo elita nie ma dobrej sławy. Nazwałbym nas raczej grupą mocno zmotywowanych ludzi, którzy od samego początku bardzo chcieli coś zrobić. Ci, którzy byli mniej zmotywowani, z różnych przyczyn odpadali po drodze. W wojskach lądowych najczęściej giną porucznicy i kapitanowie, oficerowie wyżsi stopniem dowodzą już raczej z pewnego oddalenia. W lotnictwie to dowódca eskadry prowadzi swoich żołnierzy do walki. Jeżeli wszystko pójdzie dobrze i przeciwnik nie wygra wojny, to szeregowiec czy podoficer w stalowym mundurze nigdy nie spotka wroga. Spotka go tylko oficer. Dlatego musi być i oficerem, i fajterem.

Mocno was docierali?

Bieganie, zaprawy poranne, dla każdego bez wyjątku. O ile pamiętam ówczesny regulamin, to chyba powyżej plus 5 stopni Celsjusza już była zaprawa bez koszulek, w samych spodenkach. Dzisiaj rzecz nie do przyjęcia. Proszę sobie wyobrazić kompanię wchodzącą do łaźni pod prysznic. Stu ludzi, dziesięć minut na kąpiel. W jednym korytarzu

rozbieraliśmy się do naga i wrzucaliśmy brudną bieliznę do prania. W drugim okienku pobierało się rzeczy wyprane. Przy wydawaniu nikt nie pilnował rozmiarów. Musieliśmy się wymieniać między sobą, to też była lekcja współdziałania w grupie. Muszę przyznać, że na początku to był dla mnie szok, że chodzę w czyichś majtkach. Przez pierwszy rok, kiedy staliśmy na apelu, padała czasem komenda: „Spodnie w dół!” i sprawdzano, czy aby na pewno mamy wojskowe majtki z przydziału, a nie cywilne.

Czemu?

Mam wrażenie, że w ten sposób nas ociosywano, próbowano osiągnąć jakiś wzorcowy kształt. Człowiek musiał wyrobić w sobie potworną odporność na różne uciążliwości, zarówno fizycznie, jak i psychicznie. Brak ciepłej wody, nawet golenie było w zimnej wodzie. Proszę sobie wyobrazić oglądanie „Dziennika” w pozycji z rękami na kolanach, a potem jeszcze oficer polityczny wybierał kilku podchorążych, żeby napisali krótkie referaty, czego się dowiedzieli o sytuacji międzynarodowej czy krajowej. Nawet ścielenie łóżka i układanie piżamy to było wyzwanie. Piżamę należało ułożyć „na trupa”.

Czyli?

Tak jakby człowiek leżał na plecach. Koszula rozłożona, rękawy rozłożone, nogawki rozłożone. Wszystko równiutko, jakby było wyprasowane żelazkiem. Sztuka ścielenia łóżka nie była wcale taka łatwa, a czasu było bardzo niewiele. Samemu bardzo trudno było to wykonać, więc od razu trzeba było sobie znaleźć kolegę, z którym się to robiło. Uczyli nas współpracy. Na początku nie wyznaczali liderów i patrzyli, co się dzieje. Naturalni liderzy wyłaniali się sami. W taki sposób wybierano dowódców drużyn, pomocników dowódców plutonów.

Słabe jednostki były szybko eliminowane.

Cały system był na to nastawiony. Styczeń, śpimy w budynku, w którym średnia temperatura w pomieszczeniu waha się w okolicy 4–5 stopni. Okna oklejaliśmy gazetami, ale i tak w szklance postawionej na parapecie woda zamarzała w ciągu nocy. Jest godzina 22.30 czy 23.00, przychodzi dowódca kompanii. My już złapaliśmy pierwszy sen, a on właśnie wtedy sprawdza ułożenie koszulek na taboretach. Miał do tego specjalną miarkę. Koszulka, w której chodziłem przez cały dzień, miała leżeć na taborecie jak wyprasowana. Jeśli dobrze pamiętam, złożona w kostkę o wymiarach 30 × 30. Na tym miała być czapka rogatywka, usztywniona patyczkami, bo normalnie była miękka, a powinna ładnie leżeć. Jak coś jest nie tak, budzi całą salę. Wyprowadza nas na korytarz. My w tych piżamkach, bo nie wolno było spać w niczym innym. I przez trzy godziny mamy lekcję układania koszulki. Jak wróciliśmy do sali, to ten, który źle ułożył koszulkę, naprawdę czuł nasze niezadowolenie. Z tych, którzy zaczynali edukację jeszcze w liceum, szkołę kończyło jakieś 10 procent.

Nie budziło to w panu buntu?

Ja miałem duży problem ze zwracaniem się do mnie w liczbie mnogiej, na przykład: „Chodźcie no tutaj, Drewniak”. Zawsze rozglądałem się na boki, sprawdzałem, ilu nas tu jest. Nawet na poziomie języka próbowali nas odpersonalizować. Uważam, że wiele z tych metod było złych. Będąc na studiach w Stanach, przekonałem się, że z człowieka można wycisnąć siódme poty, nie odbierając mu jednocześnie godności. U nas tego nie potrafią.

Miał pan ochotę odejść?

Nie. Do dziś mam listy, które pisałem do mojej ówczesnej narzeczonej, a późniejszej żony. Oczywiście próbowałem w nich zgrywać twardziela, ale też widać, że czasami ogarniała mnie rozpacz. Wyczyszczone buty miały stać przed salą. Przyszedł dowódca plutonu, sprawdził i stwierdził, że są niewyczyszczone. I do dwunastej w nocy trwało czyszczenie butów.

Spaliśmy po cztery, pięć godzin. Najwięcej osób za jednym zamachem zrezygnowało w czerwcu 1984 roku. Byliśmy na poligonie. Mieliśmy jakieś zajęcia ogólnowojskowe z czołgania czy z biegania, a nad nami para pilotów przygotowywała się do pokazów z okazji Dnia Lotnictwa. Oczywiście jak zaczęli kręcić pilotaż, wszyscy zadarli głowy do góry. Trwało to może trzy, cztery minuty. Zrobili dwa wiraże i nagle walnęli o ziemię jakieś 400–500 metrów od nas. Dobiegliśmy na miejsce jako pierwsi. Widzieliśmy, jak w kabinie palą się ciała pilotów. Kilku kolegów zrezygnowało wtedy z latania.

Błąd pilota?

Tak. Przekładał z wirażu w wiraż i chyba przeciągnął samolot. Nie mieli szans, bo to wszystko działo się na wysokości 100 metrów. Lim [samolot myśliwsko-szturmowy] podobno był wdzięczny w pilotażu, za to trudny do lądowania.

Był pan w partii?

Byłem. W ZSMP też byłem. W 1983 roku zapisaliśmy się całą kompanią. Od września trzymali nas w jednostce non stop. W grudniu, przed samymi świętami, położyli na stole dwie listy: wyjazdową i do ZSMP. Kto nie podpisał się na obydwu, nie jechał do domu. Ktoś może dzisiaj powiedzieć: trzeba było mieć kręgosłup. Widocznie nie mieliśmy.

Nie wszyscy się zapisali.

Muszę uczciwie powiedzieć, że dwóch czy trzech kolegów skończyło szkołę jako bezpartyjni. Mieli to szczęście, że na przykład ich instruktor nie był odpowiedzialny za budowanie struktur aktywu. Mój nie wpuścił do kabiny nikogo, kto się nie zapisał do partii. W szkole bezwzględnie tępiono wszelkie przejawy politycznej niepoprawności. Kiedy byłem na drugim roku, przyłapano podchorążych trzeciego i czwartego roku, którzy słuchali z kaset Przeglądu Piosenki Prawdziwej w Opolu. Na placu apelowym

zebrano całą szkołę. Przeprowadzono chyba czterech podchorążych, jak dobrze pamiętam, dwóch sierżantów i dwóch plutonowych. Ustawiono ich, odczytano rozkaz komendanta, szef pododdziału scyzorykiem publicznie odciął im pagony i oznaczenia roku. Potem wyprowadzono ich pod eskortą. Raz w życiu widziałem taką sytuację i nikomu jej nie życzę. Niemal publiczna egzekucja. Tyle że symboliczna.

Były jakieś rozrywki?

W niedzielę kino. Oczywiście zamiast mszy. Do kina szło się całymi pododdziałami o godzinie dziesiątej. Zresztą ciężko byłoby wyjść z garnizonu na mszę.

Do Adrii się udawało.

A to już zupełnie inna sprawa.

Fakty i mity

Na temat polskiego lotnictwa krąży wiele mitów, na przykład taki, że samolot PZL-37 Łoś sam by wygrał drugą wojnę. Tylko nikt nie mówi, że nie byliśmy w stanie zaprojektować do niego silnika.

Silniki od zawsze były piętą achillesową polskiego przemysłu lotniczego. Całkiem udana konstrukcja Wilka [PZL-38 Wilk, prototyp myśliwca pościgowego] bazowała na silnikach mających 450 koni, podczas gdy Niemcy mieli już silniki o mocy ponad dwukrotnie większej i ciągle podnosili ich wydajność. Pierwszy silnik do iskry zbudowaliśmy na bazie przechwyconego celu latającego produkcji brytyjskiej. Program Iryda również poległ głównie na silnikach. Można by te historie mnożyć. Jedynym pocieszeniem jest fakt, że Chińczycy, którzy są światową potęgą,

również nie mogą przeskoczyć tego problemu.

Był taki moment, że armia robiła naprawdę duże zakupy w polskich firmach.

Za pieniądze wojska państwo utrzymywało pod kroplówką upadające zakłady lotnicze. Ratowaliśmy fabryki, które wyglądały wtedy jak pobożowisko. Kupowaliśmy sprzęt, którego nie zawsze potrzebowaliśmy. A przemysłowi i tak to nie pomagało, bo zakłady w większości przejadały te pieniądze.

Pamięta pan, jakie to były programy?

Bardzo drogie. Program zakupów śmigłowca SW-4 oceniam jako porażkę. Nie znam maszyny trudniejszej w pilotażu. A myśmy je kupili jako śmigłowce szkoleniowe. Pierwsze odebraliśmy w 2006 roku i przez jedenaście lat są z nimi same problemy.

Dlaczego?

Proszę zapytać inżynierów, którzy je konstruowali. Śmigłowiec ma tak małą moc silnika, że wymontowaliśmy z niego tylne kanapy, żeby go odciążać i zyskać trochę na mocy. Kanapy ważyły 80 kilo, co przy masie 450 kilogramów robiło różnicę.

Podobno ich mobilność jest na poziomie nieco ponad 30 procent.

W szczytowym momencie. Po rozbiciu jednej sztuki mamy dwadzieścia trzy śmigłowce. W dniu szkoleniowym wyciągamy z hangaru góra sześć sprawnych maszyn. Pierwszy śmigłowiec z reguły nawet nie wznosi się w powietrze, bo pojawiają się drgania, które prześladowają tę konstrukcję. Producent próbował usunąć awarię, zakładając tłumiki drgań pod siedzeniami pilota; to taki system odciążników na stalowych wążach, które mają wyrównywać drgania indywidualnie dla każdej maszyny. Skończyło się na tym, że odciążniki odrywały się w czasie lotu, zaczynały latać po

całej kabinie, wybijać dziury. Przez cztery lata firma nie może sobie poradzić z tym problemem. Piloci latają więc bez tych tłumików i co chwila zgłaszają się do Wojskowego Instytutu Medycyny Lotniczej, bo im kręgosłupy siadają. PZL Świdnik ciągle obiecuje, że wyeliminuje te awarie, ale zmian nie widać.

Firma należy do koncernu Leonardo. Chcą nam teraz sprzedać kolejne śmigłowce, może to zmobilizuje ich do działania.

Po ukończeniu pierwszego samolotu M-346 Master dla polskiej armii pojechaliśmy z generałem Różańskim do Włoch. Spotkałem się z prezesem Leonardo i opowiedziałem mu o naszych problemach. Wydawał się zdziwiony i poruszony. Po dwóch tygodniach pojawiła się u nas delegacja z zakładu. Obiecywali, że wszystkie błędy zostaną usunięte. I nic. Powiem więcej. Za chwilę wybuchła kolejna afera z tą firmą, bo nie mogliśmy odebrać śmigłowców Sokół w wersji morskiej. Gdybyśmy nie dostarczyli własnych części zamiennych, to nie wiem, kiedy byśmy je odebrali. Zdjęliśmy te części z naszych śmigłowców. Tak to wygląda. Policzyliśmy, że jeden z sokołów na dziesięć lat służby kilka spędził w fabryce. Więcej było naprawiania niż latania.

A jak było z Bryzą?

Podobnie. Tyle że o Bryzie nie można powiedzieć, że jest złym samolotem. Rzecz w tym, że najpierw je kupiliśmy, a później zaczęliśmy się zastanawiać, do czego będziemy ich używać. Na pewno potrzebowaliśmy jakiegoś samolotu za AN-2, który już wyczerpał swoje możliwości. Choć miał jeden wielki walor. Amerykanie nie mogli uwierzyć, że w lotnictwie wojskowym można używać dwupłatowców z silnikiem tłokowym. Dawali sobie, że tak powiem, rękę obciąć za to, żeby się przelecieć za sterami AN-2. I myśmy kupowali sobie ich sympatię tymi lotami. Czasy były wtedy inne. Dowódca jednostki dawał zgodę, siadało się za sterami i leciało. Jeszcze na koniec dawaliśmy im certyfikaty ze

zdjęciem. Oni te certyfikaty trzymali jak u nas dzieci pamiątkę z pierwszej komunii. A to byli piloci z sił specjalnych, którzy mieli po pięć, sześć tysięcy godzin na herkulesach. Elita wśród amerykańskich pilotów lotnictwa transportowego, ludzie, którzy lądowali na pustyniach. Robili takie rzeczy, które nam się wtedy w głowach nie mieściły. Pamiętam, jak mnie pierwszy raz przewieźli w goglach noktowizyjnych. Podejrzewam, że do dziś na fotelu są moje odcisnięte dłonie, tak się wtedy trzymałem.

Ile mieliśmy samolotów w 1989 roku?

Dla lotnictwa myśliwskiego to był przełomowy rok, bo zaczęły przychodzić pierwsze Migi-29, piękne maszyny. Mieliśmy jeszcze Migi-23, były Migi-21, na których ja latałem. Do tego jeszcze Limy, SU-22, SU-7, no wtedy samolotów bojowych w Polsce było ponad tysiąc. Sporo tego było.

A jaki był tego realny potencjał w konfrontacji z Zachodem?

Nie może pan tego tak rozważać. Szkoliliśmy się tak, by przysięść przeciwnika intensywnością ataku całości sił Układu Warszawskiego. Abstrahując od tego, myślę, że jakość sprzętu też nie była najgorsza.

Po drugiej stronie były F-16. To jaką mielibyście szansę?

Proszę nie mylić samolotów F-16 pierwszej generacji z maszynami, na których latają dzisiaj nasi lotnicy. Te dwie maszyny łączy tylko bryła i filozofia. Filozofia oparta zresztą na doświadczeniach walk z samolotami Mig-21. Amerykanie starli się z nimi po raz pierwszy w Wietnamie. I nawet mając za przeciwników słabo wyszkolonych pilotów wietnamskich, piekielnie bali się tych maszyn. Oni latali na dużych, dwudziestotonowych potworach. A Migi były o połowę lżejsze. Szybkie i zwrotne. Stworzono je jako maszyny przechwytyjące do błyskawicznego ataku i ujęcia z pola walki. Pilot nie miał się bawić w skomplikowaną walkę kołową, tylko osiągnąć z zaskoczenia swój cel, czyli strącić przeciwnika.

Dobrze się panu na nich latało?

Jak pilot był dobry, to Mig był bardzo wdzięczny w pilotażu, ale nie wybaczał pewnych błędów. Wielu pilotów zabiło się przez to, że samolot nie radził sobie na małych prędkościach. Jak nie miał prędkości, to nie latał. Malutkie skrzydła powodowały małą siłę nośną, a w zasadzie latał tylko na silniku. Jak się za bardzo zdjęło obroty, to tam, gdzie się zdjęło, tam się spadło. Jak się schodziło poniżej 600 kilometrów na godzinę, to już w zasadzie było pozamiatane. Amerykanie odrobili lekcję i zaczęli pracować nad własną odpowiedzią na tę maszynę. Tak narodził się F-16. Jeden z najlepszych samolotów myśliwskich, jakie kiedykolwiek zaprojektowano. Ale nie od razu była to maszyna tak niezwykła. Stąd zresztą mój opór przeciwko pomysłowi zakupu używanych efów z rezerw amerykańskiej armii.

Pamiętam, że kiedy wybierano myśliwiec nowej generacji dla polskiej armii, optował pan za inną maszyną.

Moim faworytem był Gripen. Wydawało mi się, że jest to samolot idealnie skrojony na nasze potrzeby. Mały, zgrabny, świetnie sprawdzający się w powietrzu. Zaprojektowany do służby w podobnym klimacie. Nie ma się co okłamywać, że decyzje podejmowane były w ogromnym szumie informacyjnym. Każdy obiecywał złote góry. Szwedzi przekonali do swojej oferty Węgrów i Czechów i dziś widać, że nasi sąsiedzi dokonali gorszego wyboru. Ich samoloty nie mają nawet połowy tych możliwości bojowych co nasze efy. Gripen do dziś na przykład nie zrzuca bomb.

Eurofighter też długo ich nie zrzucał.

Pierwszego udanego zrzutu dokonali Brytyjczycy dwa lata temu. Dziś to już chyba standardowa procedura dla tego typu maszyny. Konstrukcje dojrzewają w czasie. To normalne. Pierwsze efy nie miały na przykład pocisków kierowanych radarem. Mogły strzelać tylko raketami na

podczerwień, i to przy dobrej pogodzie. Taką właśnie maszynę próbowano teraz tylnymi drzwiami wprowadzić do polskiej armii. Dopiero wersja C samolotu F-16 miała rakiety radiolokacyjne, które zostały wprowadzone w 1988 albo 1989 roku w Stanach Zjednoczonych. Wszystkie F-16 w wersji A, te, które były w Europie, strzelały raketami na podczerwień tylko przy dobrej pogodzie.

A przy złej?

Sorry. Trzeba było wprowadzać do walki samoloty Phantom lub F-15.

Jak się miał Mig-21 do takiego zmodernizowanego F-16?

Ja walczyłem na Migu z F-16 na ćwiczeniu w 1997 roku. Pierwszego dnia złożono nam skórę totalnie, bo Amerykanie mieli dobrze rozpracowany nasz samolot i metody walki. Sprowadzili nas do niskich prędkości, gdzie oni ze swoim sterowaniem aktywnym i bardzo dobrymi parametrami samolotu latali, jak chcieli, a my nie mogliśmy za wiele pokazać. Z drugiego dnia ćwiczeń mam już zdjęcie z F-16 centralnie w celowniku. Kłopot polegał na tym, że Amerykanie też mieli takie zdjęcia ze mną, i pewnie zrobili je wcześniej. Wojna nie daje drugiej szansy.

Nie wracam

Jak miała na imię pana pierwsza żona?

Renata.

Miłość od pierwszego strzału?

To nie było tak, jak opisał to Mario Puzo w *Ojcu chrzestnym*, że na nią spojrział i koniec. Oczywiście zaiskrzyło, ale też długo budowaliśmy naszą relację. Jak się okazało, na całe życie. Trzy lata temu żona zmarła

w zasadzie na moich rękach. Poznaliśmy się w przeddzień mojej matury w czasie konkursu tańca towarzyskiego w liceum lotniczym.

Mieliście lekcje tańca?

Nie, ale mieliśmy dużą salę, a Zielona Góra to nie była metropolia. Na konkurs przyszło dużo ludzi, w tym dziewczyny z drużyny harcerskiej, którą założyłem. Jedna ich koleżanka była wicemistrzynią Europy w tańcach towarzyskich i one jej kibicowały. Były też inne dziewczyny z ich liceum. Ja na tę imprezę wdrapałem się przez okno, bo był taki tłok, że przez drzwi nie dało rady. I z tymi dziewczynami sobie żartujemy, aż zgłodniałem i mówię: „No dziewczyny, która mnie dzisiaj zaprasza na kolację, bo nic nie jadłem?”. No i ha, ha, hi, hi. Ale jedna zupełnie mi nieznana dziewczyna mówi: „To ja zapraszam”. Wyszedłem. Ponownie przez okno. Wykąpałem się, bo kolacja to kolacja. Jak się konkurs skończył i wychodziła z koleżankami, ja już czekałem i mówię: „No, co z tą kolacją?”. Ona zrobiła takie wielkie oczy, bo to miał być żart, ale zacięła usta i mówi: „To zapraszam”. A to było dzień czy dwa po jej osiemnastce, więc miała jeszcze jakieś zapasy. Zjedliśmy tę kolację. Rodzice siedzieli w drugim pokoju, więc po 22.00 trzeba było się ulotnić, i się ulotniłem. Ale tak się zaczęła nasza znajomość, no i po różnych perypetiach zakończyła się małżeństwem.

Fajnie jest być żoną wojskowego?

W zasadzie to bym odradzał. Zwłaszcza jak ktoś chce mieć ustabilizowane życie. Przeprowadzaliśmy się osiem razy, z czego dwa razy za granicę. Starszy syn chodził do trzech podstawówek, do jednego gimnazjum i do dwóch liceów. Młodszy do trzech podstawówek, dwóch gimnazjów i jednego liceum. Mnie się wydawało, że to takie fajne, ale synowie wyprowadzili mnie kiedyś z błędu: „Tak, tato, ale my nie mamy przyjaciół. Wszędzie byliśmy obcy i tylko czasowo”.

Był pan surowym ojcem?

Trzeba by zapytać moich synów. Powiem tak: nie wiem, czy miałem czas być ojcem, w tym tkwi chyba problem. Myślę, że byłem takim ojcem, który wpadał, coś tam rozstrzygał, mniej lub bardziej prawidłowo, i znikał. Kiedy jest się młodym, nie dostrzega się tego. Dopiero z wiekiem przychodzą pewne refleksje, jak bardzo ważne są relacje. Moja żona poświęciła karierę, żebym ja mógł się rozwijać. 12 kwietnia 1988 roku rozpocząłem służbę w 26 Pułku Lotnictwa Myśliwskiego w Zegrzu Pomorskim. Najbliższym dużym miastem był Koszalin, do którego jechało się 27 kilometrów przez las. Nie dość, że mnie ciągle nie było, to nawet nie mogłem tego zrekompensować rodzinie finansowo, bo dobre pensje w wojsku to wynalazek ostatnich lat. Wtedy miałem dwóch kolegów kawalerów i regularnie pożyczalem od nich pieniądze, żeby dożyć do pierwszego, a naprawdę nie żyliśmy ponad stan. Wszelkie duże zakupy, jakie były, zawdzięczam albo rodzicom, albo teściom, bo tak się akurat złożyło, że rodzina żony mieszkała w Stanach.

Narzeczona z rodziną w Stanach. Nie robili panu o to problemów?

W 1985 roku Renata pojechała na kilka miesięcy do Stanów, skąd przysłała mi list na pododdział do Dębłina. List został ocenzurowany w ten sposób, że wycięto z niego pewne fragmenty. Mam go do dziś z pieczętkami cenzury.

Jak to wycięto?

Fragmenty są wycięte i poklejone, żeby trzymało się to jakoś kupy. Później już przysyłała listy do moich rodziców i oni przepakowywali je w nowe koperty i przesyłali do mnie, już z polskimi stemplami.

Spytał pan żonę, co wycięli?

Tak. To były fragmenty o dobrym życiu w Ameryce. Za pierwszym razem

była tam pół roku. Drugi raz pojechała w 1990 roku z naszym pierwszym z synem. Ja ku swojemu zdziwieniu również dostałem wizę. Jak już ją dostałem, to poszedłem za ciosem i postanowiłem jechać.

Tak bez zgody Sztabu Generalnego?

Napisałem pismo do ministra obrony narodowej. Pismo pokonywało kolejne szczeble w hierarchii. Im wyżej szło, tym częściej brali mnie na rozmowy. Najpierw przełożeni, potem oficerowie polityczni, następnie oficerowie uszaci, czyli ze służb. Nawet do Piły pojechałem, czyli do centrum uszatych. I wszyscy mnie pytali, po co ja tam jadę. A ja mówię: „Na wakacje”. I tu następował totalny rozjazd mózgu. Jak można jechać na wakacje do Ameryki? Podporucznik Wojska Polskiego, które ciągle było częścią Układu Warszawskiego, jedzie do Ameryki na wakacje?

A co panu odpisał minister?

Nic. Nigdy nie dostałem odpowiedzi. Powiedziałem dowódcy, że uważam milczenie za zgodę. Mam bilet, wizę i jadę. Na dodatek tak się nieszczęśliwie zdarzyło, że cztery dni przed moim wyjazdem doszło w naszej jednostce do katastrofy. W czasie lotu, w którym i ja uczestniczyłem, mój kolega walnął Migiem-21 w ziemię i się zabił. Tą sprawą również grali i chcieli mnie zatrzymać w kraju.

Jak się to skończyło?

Nerwowo było do końca. Ostatecznie ówczesny dowódca pułku zrobił nieprawdopodobną rzecz. Proszę sobie wyobrazić pułk lotniczy, żołnierze służby zasadniczej, technicy, wszyscy łącznościowcy. Jakieś tysiąc dwustu ludzi. Plac, ja wychodzę, staję na środku i przed całym pułkiem przysięgam, że wrócę do kraju i w ogóle. Polityczny to napisał. Pamiętam, że zaczynało się od słów: „Przysięgam wrócić do kraju, nie opuścić ojczyzny...”.

Dotrzymał pan przysięgi.

Po prawie miesiącu dzwonię z Ameryki do Polski, do mojego dowódcy eskadry, na wojskowy telefon. Połączenie było fatalne, bo cywilna centrala musiała się zgrać z tą wojskową, ale drę się do telefonu: „Panie kapitanie, ja nie wracam...”. Po drugiej stronie słuchawki zapadła głucha cisza, jakby facet dostał zawału. Pomimo złej jakości połączenia i tych pięciu czy sześciu tysięcy kilometrów odległości w słuchawce słyhać było, jak facet umiera. A ja zadzwoniłem, żeby powiedzieć, że nie wracam na czas, bo nie ma biletu i się spóźnię.

Miał pan do czego wrócić?

Spóźniłem się prawie miesiąc. Wyjechałem w listopadzie 1990 roku, a wróciłem na początku stycznia 1991. Nie było mnie niby dwa miesiące, ale wróciłem już do kompletnie innej rzeczywistości. Do pułku jechałem z duszą na ramieniu. Jak by na to nie patrzeć, siedemnaście czy osiemnaście dni byłem na samowolnym urlopie. Za komuny to byłoby ciężkie przewinienie. Przyjechałem do pułku. Zameldowałem się u dowódcy. Spojrzał na mnie i pyta: „Ty jeszcze jesteś aktualny?”. Chodziło mu o to, czy nie straciłem uprawnień do latania. Ja mówię: „No, zostały mi jeszcze trzy, cztery dni”. Zamyślił się: „To idź do eskadry, robią tablicę planową, zapisz się, jutro sobie zrobisz lot”. Koniec. Poczuję, że komuna upadła na dobre.

Oficerowie źle wspominają tamte czasy. W wojsku się nie przelewało, morale też nie było najwyższe. Ludzie czuli się zagubieni.

Każdy młody lotnik ma jedno marzenie: chce się wyszkolić. Latać najwięcej, jak się da. Miałem to wyjątkowe szczęście, że jeszcze się załapałem na ostatni taki intensywny sposób szkolenia. Po dwóch i pół roku latania na Migu-21 zrobiłem I klasę i 1 listopada 1990 roku po raz pierwszy trzymałem dyżur bojowy. Nielicha sprawa, bo każdy dyżur

zaczynało się od zaprzysiężenia: „Stać na straży nieba” i tak dalej. Później dostawało się pistolet z ostrą amunicją. Dowódcą pary był starszy kolega. Samoloty były uzbrojone, rakiety gotowe do odpalenia.

Ile było takich par wystawionych w całym kraju?

Kilka. Na Wybrzeżu chyba dwie lub trzy. My staliśmy w Zegrzu Pomorskim. Musiałbym poszukać w dokumentach, ale było tych par kilka: Mińsk, Goleniów, Słupsk i inne jednostki. Chodziło o to, żeby maksymalnie skrócić czas reakcji i dolotu. No i pozwolić parze na realne działania, bo paliwo w samolocie myśliwskim kończy się szybciej niż dobra whisky.

A teraz ile wojsko wystawia par?

Prosi mnie pan o informację, którą, moim zdaniem, wojsko nie powinno się chwalić. Mogę panu powiedzieć, że na początku roku 2000 doszliśmy do momentu, w którym był kłopot z wystawieniem jednej pary samolotów do dyżuru.

W trzydziestosiedmiomilionowym kraju nie było z czego ubierać dwóch maszyn do ochrony nieba?

Nie było. W wojsku panowała martwota. Pieniądzy jak na lekarstwo. Były takie lata, kiedy lataliśmy po 30 godzin w ciągu roku. Pamiętam, jak siedziałem w samolocie i się bałem, że nie wyląduję, że się po prostu zabiję.

A jakie było morale polskiej armii w latach 90.?

A jakie mogło być, kiedy armia była masakrowana na oślep. Ciągłe likwidowano jakieś jednostki, wycofywano sprzęt. Właściwie trudno było w tym dostrzec jakiś zamysł. Może był na początku, kiedy pozbywaliśmy się broni ofensywnej. Mam wrażenie, że później po prostu cięto, co się dało, byle domknąć budżet.

Bez planu?

Przynajmniej ja go nie dostrzegałem. Mam wrażenie, że nikt nigdy uczciwie nie zbilansował armii jak księgowa: winien i ma. Nikt nie zadał sobie trudu, żeby zrobić dajmy na to trzy warianty odchudzania sił zbrojnych, oszacować związane z tym straty w możliwościach, policzyć oszczędności. Wydaje mi się, że to była taka księgowa partyzantka. Kończy się rok, nie ma pieniędzy, to chłaśniemy jedną jednostkę. Tej nie ruszymy, bo stąd jest pan minister i go nie wybiorą do Sejmu. To może chłaśniemy tę z miasta X, bo tam głosują na naszych konkurentów. A na końcu okazywało się, że pod nóż szła elitarna jednostka, a dużo słabsza przetrwała.

Z likwidacją samolotów było tak samo?

Dokładnie tak samo. Jak zaczęło się odchudzanie, to pod nóż wcale nie poszły najstarsze samoloty. Najpierw pozbyliśmy się stacjonujących w Mirosławcu SU-22 w najnowszej wersji. Wypasiona, jak na tamte czasy, wersja z telewizorem w kabinie, na którym dzięki kamerze w rakiecie można było widzieć cel i go namierzać. Na tle innych po prostu cud techniki. Mirosławiec dostał je jakoś pod koniec lat 80., a może nawet w 1990 roku. Ledwie dotrwały do pierwszego remontu. Wchodzimy do NATO i kasujemy te samoloty.

Dlaczego?

O to proszę pytać ówczesnych decydentów. Może mieli jakiś ukryty cel?

Nie za dobrze świadczy to o jakości planowania, o Sztabie Generalnym.

Nie za dobrze świadczy to przede wszystkim o politykach. Wojsko po 1989 roku miało traumę stanu wojennego i wszyscy kładli uszy po sobie. Do władzy doszli przecież ci, których wojskowymi śmigłowcami rozwoziło się do ośrodków internowania. Ogólnie mówiąc, nie było chętnych do stawiania się władzy. Trochę naiwnie wychodzono z założenia, że przecież

ci ludzie wiedzą, co robią, że mają jakiś plan. Dziś już wiadomo, że nikt wtedy nie miał żadnego planu. W samym wojsku też co chwila pojawiały się jakieś legendy, że zaraz przylecą Amerykanie i zostawią nam samoloty. To nawet brzmiało wiarygodnie. W lutym 1993 roku byłem na kursie w Akademii Obrony Narodowej. Zresztą razem z późniejszymi generałami: Andrzejem Błasikiem i Andrzejem Andrzejewskim. Ja trochę liznałem angielskiego, bo jak pan pamięta, pojechałem na wakacje, więc w oczach kolegów i przełożonych byłem ekspertem od Ameryki.

Był dwa miesiące w Stanach i oglądał *Top Gun* w domku pilota na pirackiej kopii.

Dokładnie tak. Jak byliśmy w Akademii, to wezwali na rozmowę mnie i Darka Packa, który znał trochę angielski. Darek był dwa lata starszy ode mnie. Zrobił licencję pilota cywilnego, bo latał w rajdach i w związku z tym poszedł na kurs angielskiego. Wzięto nas na rozmowę: „Panowie, jesteście tu tylko czasowo. Niebawem jedziecie do Stanów. Tam już czekają samoloty. Szkolicie się i wracacie nowymi maszynami”. To był luty–marzec 1993 roku.

No i pojechał pan do Stanów?

Pojechałem, ale do Kazachstanów. Darek też nie doczekał tych amerykańskich samolotów. Odszedł do cywila w tym samym roku, kiedy pierwsze F-16 przyleciały do Polski.

Kazachstanów?

Koledzy się ze mnie śmiali, że miałem lecieć do Stanów, a poleciałem do Moskwy, więc do Kazachstanów. Śmiali się, ale zazdrościli, bo to był jednak wyjazd za granicę. Akademia postsowiecka, ale na bardzo wysokim poziomie. Czkawką mi się te studia odbijają do dziś. Ile razy ja się musiałem z tego tłumaczyć. Zresztą myślę, że ostatecznie był to gwóźdź do mojej kadrowej trumny. Już za rządów pierwszego PiS-u o mało nie

wyleciałem z wojska przez te studia. Wtedy człowiek miał jeszcze prawo do ostatniego zdania przed „egzekucją”. A za czasów Macierewicza „rozstrzeliwują” od razu.

Kto się pana czepiał?

Kiedy nastał minister Aleksander Szczygło, armia poszła do przeglądu kadrowego. Każdy oficer od majora w górę był wzywany na rozmowę kadrową. U nas mówiło się na to casting. Ja też pojechałem, a minister Szczygło już od drzwi mnie pyta, po co ja tu w ogóle przyszedłem, skoro kończyłem studia w ZSRR. Usiadłem i spokojnym tonem powiedziałem, że pan minister musiał zostać wprowadzony w błąd, bo ja nigdy w ZSRR nie studiowałem. Szczygło się zagotował: „Proszę mnie nie okłamywać, ja mam tu napisane, że pan studiował w Moskwie”. Na co ja dalej: „Zgadza się. Studiowałem w Moskwie, ale nie w ZSRR, bo jak przyjechałem na studia, to ZSRR już od półtora roku był zimnym trupem”. Konsternacja. Kazał mi wyjść na korytarz. Minęło dwadzieścia minut i ponownie mnie zawołano. Rozmowa była już dużo lepsza. Pan minister pytał, jak to się stało, że tam pojechałem, jak mi się studiowało, czego się nauczyłem. No i nie wyrzucił mnie z wojska.

Jak to się stało, że pan tam pojechał?

Minister Onyszkiewicz mnie tam wysłał. Ci z Zachodu jeszcze nas nie chcieli brać, a z Rosją była podpisana jakaś nowa umowa. Zgodzili się mnie przyjąć, bo zależało im na pieniądzach. Później już nie chcieli nas brać. Dla nich byliśmy już nie swoi.

To była dobra szkoła?

Bardzo dobra. Uczyła rzemiosła jak żadna inna. Przechodziło się wszystkie szczeble dowodzenia. Nie było taryfy ulgowej. Państwo było w ruinie. Pensje im wypłacali w kaszy z zapasów wojennych, ale na zajęciach był błysk i pełen profesjonalizm. Zajęcia trwały od rana do

godziny dziewiętnastej, z dwugodzinną przerwą na obiad, bo tyle było materiału do przerobienia. W soboty też były zajęcia, tylko krócej. A w niedzielę picie. I to ciężkie. Taki mieli styl.

A wiedza, którą przekazywali, na jakim była poziomie?

Ogólnie wysokim. Byłem później na studiach w Stanach, w Kanadzie, i Rosjanie nie mieli się czego wstydzić. Budowali dużą świadomość u studentów. Uczyli wszechstronnie. Wiadomo, że technicznie to nie był już światowy poziom. Komputery mieli trochę starsze niż te na Zachodzie, ale egzaminy zdawało się już na podstawie komputerowej gry wojennej. Tam się operowało z rozmachem, całymi armiami.

A u nas z rozmachem cięło się całe armie.

W lotnictwie cięli nas typami. Co jakiś czas wycofywano jakiś typ samolotu, a przy okazji znikąca również jednostka, która na tych maszynach latała. W ten sposób do kasacji poszły samoloty Mig-23, choć był to pierwszy samolot w naszym lotnictwie, który mógł atakować z przedniej półsfery, czyli od przodu. Wszystkie inne musiały manewrować tak, żeby przeprowadzić atak od tyłu. Głowice rakiet starszego typu naprowadzały się na źródło ciepła, dlatego flary były skuteczne.

Jeśli emitowałeś inne źródło ciepła, to rakietę leciała w tamtą stronę?

Dokładnie tak. Jeśli miała określoną częstotliwość świecenia, to się przekierowywała. Dzisiaj flary są już dużo, dużo mniej skuteczne. Na szczęście nie wszyscy mają najnowsze rakiety.

To dlaczego skasowaliśmy Migi-23?

Zgodnie z radzieckimi instrukcjami samolot po dziesięciu latach szedł do remontu. Myśmy je kupili chyba w 1978 albo w 1979 roku. W 1989 roku miały iść do remontu. I poszły, były remontowane w NRD i w Bułgarii czy

w Rumunii. Po upadku muru berlińskiego wszystko się rozsypało. Część maszyn nie została wyremontowana. Zaczęliśmy na własne ryzyko przedłużać resursy. No ale doszliśmy do momentu, że trzeba było zrobić remont, a nie było chętnego. Z Rosją nie współpracowaliśmy, żeby nie psuć negocjacji w sprawie wejścia do NATO. I ostatecznie je skasowano. Mig-21 mogliśmy remontować w Polsce, a 23 już nie. W NRD remontowali Mig-23, tylko że nagle zniknęło NRD.

Pech.

Mam wrażenie, że ten samolot rzeczywiście miał pecha, bo wyjątkowo szybko wypadł z uzbrojenia wielu krajów. Nawet Rosjanie się go pozbyli, bo w 1993 albo w 1994 roku podjęli decyzję, że wycofują wszystkie jednosilnikowe samoloty bojowe. Mieli tego tysiące, ale nie mieli za co ich utrzymać. Na pierwszy ogień poszły Mig-23, bo 21 już wcześniej wycofali. Zostawili je tylko w szkołach. Szkoda tego samolotu, bo można było na nim robić długie loty. Z podwieszanymi zbiornikami można było lecieć nawet ponad dwie godziny.

Dwie godziny to jest długo?

Dla odrzutowego samolotu myśliwskiego to bardzo długo. Musi pan mieć świadomość, że współczesny samolot to silnik otoczony paliwem. Silniki odrzutowe mają ogromne spalanie. Mig-29 może być w powietrzu nieco ponad godzinę.

A jak już wszystko poucinali, to co cięli?

Jak ucięli samoloty, to zaczęli ciąć paliwo. Nie było paliwa, nie można było wylatać dodatku lotniczego do pensji. A bez dodatku to już nie była pensja, tylko jej namiastka. W takich sytuacjach od razu budują się relacje kumpel pomoże kumpłowi. Ja jestem dowódcą eskadry, więc jak jesteś moim człowiekiem, to dostaniesz godziny. A reszta nie dostanie, bo dla wszystkich nie wystarczy.

To nie są warunki do bezpiecznego latania.

I nie były. Dochodziło do sytuacji, z których dzisiaj śmiejemy się podczas koleżeńskich spotkań. Ale proszę mi wierzyć, że nikomu nie było do śmiechu, kiedy okazało się, że przez przypadek zbombardowaliśmy szkołę podstawową.

Jak to zbombardowaliście szkołę?

No poszły dwie bomby. Na szczęście w plac, a nie budynek, bo to byłby już pełen kryminał.

Dzieciaki siedzą na lekcji. Nuda. A tu nagle dostają dwie bomby?

Mniej więcej tak. I to na galowo, bo pilot leciał na poligon w Orzyszu, gdzie był pokaz dla najważniejszych osób w państwie. Zrobił jakiś błąd w nawigacji. Dodatkowo pogoda i widoczność były takie sobie, no i zamiast razić cele na poligonie, to zrzucił bojowe bomby na podwórko szkoły.

Ile było trupów?

Zero. Ilu śmiertelnie przerażonych, nie wiem. Takie rzeczy się zdarzają. Gdzie jest człowiek, tam są błędy.

80 kilometrów różnicy to jednak działał z rozmachem.

Inny kolega zbombardował i ostrzelał kuter. Tym razem z wycieczką szkolną.

Przecież tam trup musiał słać się gęsto. Albo to zatuszowaliście, albo mnie pan nabiera.

Właściciel statku popełnił błąd i znalazł się tam, gdzie nie miał prawa być, więc nie palił się do składania skarg. Na szczęście nikomu nic się nie stało, mimo że cel można było uznać za zniszczony. Zasada była taka, że strzelało się z odpowiednio zaplanowanym przesunięciem, żeby nie niszczyć celu za pierwszym razem. Przecież inni też muszą mieć na czym

ćwiczyć. Ale myślę, że i tak te dzieci do końca życia będą pamiętały wycieczkę kutrem. Takich i podobnych sytuacji trochę było, niektóre wynikały również z niedostatecznego wyszkolenia.

Może słabo było u was z paliwem, ale piloci zawsze najładniej wyglądali.

To były czasy, w których mogliśmy obszywać kombinezony plakietkami. Szedł taki gość z dziesięcioma plakietkami i wszyscy się śmiali, że wylatał dziesięć godzin. Zgroza. Ja w wieku trzydziestu pięciu lat byłem dowódcą pułku, wyszkolonym instruktorem. A na początku XXI wieku trzydziestopięciolatekowie nie dochrapali się nawet drugiego pilota. Zmarnowaliśmy wtedy mnóstwo pieniędzy i ludzkiej energii, bo ludzie odchodzili sfrustrowani. I nie dziwię się im, bo gdybym ja trafił na takie czasy, to podejrzewam, że też odszedłbym sfrustrowany. Myślę, że seria katastrof lotniczych, z których najtragiczniejsza była ta smoleńska, w jakiś sposób była pokłosiem degrengolady, która rozpoczęła się w końcu lat 90. W lotnictwie efekty, również te negatywne, nie następują od razu. Okolice roku 2000 były dla lotnictwa wyjątkowo podłe. System psuł ludzi już na wejściu. Szkolenie było właściwie fikcją. Do jednostek trafiali ludzie, którzy mieli od piętnastu do trzydziestu godzin nalotu na samolotach lub śmigłowcach wojskowych. Drugie tyle na samolotach cywilnych.

Ile pan miał nalatane, kończąc szkołę?

Na samych odrzutowcach trzysta dwadzieścia godzin. Plus jakieś osiemdziesiąt na szybowcach i cywilnych. Można powiedzieć, że kończąc szkołę, byłem gotowy do wykonywania zadań w jednostce i podjęcia dalszego szkolenia specjalistycznego.

Rzecznik Praw Obywatelskich w 2006 roku uznał, że całe roczniki z Dębłina powinny pójść do ponownego przeszkolenia.

To była zgroza. Ludzie nie nauczyli się rytmu pracy, samodyscypliny, bo nikomu na tym nie zależało.

Czyli mieliście pilotów wyszkolonych w 10 procentach.

Pilot albo jest wyszkolony w 100 procentach, albo nie jest wyszkolony. Pomysł był taki, że mieli podnosić kwalifikacje w jednostce. Ale w praktyce mało kto chciał ich uczyć latać, bo była obawa, że taki pilot zabije siebie i jeszcze pociągnie ze sobą instruktora. Zresztą nie było też na czym latać. Brakowało maszyn, paliwa. Ci, którzy przychodzili ze szkoły z nalotem na poziomie trzydziestu godzin, na dalsze szkolenie w jednostce czekali rok, czasem dwa lata. Rekordzista w ciągu pięciu lat wylatał dziesięć godzin.

Co robił przez cały ten czas?

Przecież wojsko to nie fabryka gwoździ. Nikt nie liczy, ile kto czego wyprodukował. Przychodził do pracy. Zjadł śniadanie w kasynie. Wypił dziesięć kaw. Pogadał z kolegami i szedł do domu.

Szkoła Orląt zawsze była wizytówką armii. Skąd ta zapaść?

Z biedy, z braku pomysłu, sprzętu, odpowiedniej kadry. Masowo wycofywaliśmy sprzęt z linii, ale przecież piloci automatycznie nie znikali wraz z nim, tylko znajdowali sobie jakieś etaty na przetrwanie. Przeszkalali się. Były całe roczniki w Dęblinie, które zwalnialiśmy do cywila. Studenci naładowani pragnieniem latania, którzy liznęli już trochę wiedzy, i nagle przychodzą do nich na drugim roku i mówią: „Już was nie chcemy, załatwimy wam inne, cywilne szkoły, idźcie sobie stąd”. Ktoś szkolił się na iskrze, przychodzili i mówili: „Idzie pan na śmigłowce albo żegna się pan ze szkołą”. Potem w ogóle nie było naboru do szkoły. Zdaje się, że w latach 2003–2005 w ogóle nie przyjmowano do Dębina. Był taki moment, że w całym tym wielkim kompleksie było stu podchorążych, czyli mniej niż na moim roku. W 2008 roku wprowadzono kierunki cywilne, żeby jakoś ratować szkołę.

A pan dostał zadanie posprzątania po tym bałaganie.

Pierwszym, który przyszedł sprzątać po tym bałaganie, był Janek Rajchel, który został komendantem szkoły i ostro wziął się do roboty. Ja dołączyłem w 2008 roku, kiedy zostałem dowódcą 4 Skrzydła Lotnictwa Szkolnego. Moim zadaniem było postawić na nogi szkolenie i uważam, że się z niego wywiązałem. W 2009 roku już pierwszy rocznik kończył szkołę z trzecią klasą pilota. Na tę klasę trzeba było mieć wylatane sto osiemdziesiąt godzin i zdać egzamin. Zadaniem egzaminacyjnym był lot na poligon w parze – w jednym samolocie instruktor, w drugim sam podchorąży – oraz szturmowanie celów naziemnych z realnym uzbrojeniem. Sprawdzaliśmy, czy umie nawigować po trasie, lecieć w szyku, atakować na bojowo. Jeśli jakiś rocznik nie ukończył szkolenia, to był cofany do szkoły na dolatanie. Skończyło się dziadostwo. W roku 2010 doprowadziłem do takiej sytuacji, że skrzydło wylatywało jedną trzecią godzin całych sił powietrznych. Całe siły powietrzne miały nalot czterdzieści dwa tysiące godzin rocznie. A my mieliśmy wylatane szesnaście tysięcy godzin. Skończyły się czasy niedoszkolonych ludzi.

Ale oni przecież z wojska nie wyparowali. Prędzej czy później tacy oficerowie będą trafiać na miejsca zwalnianych.

Ludzie, którzy przeszli taki cykl edukacji, są teraz kapitanami, majorami. Przy tych błyskawicznych karierach za chwilę będą pułkownikami i generałami. Strach pomyśleć, jakie będziemy zbierać żniwa tych decyzji.

AS

Czy polska armia ciągle przygotowuje się do wojny, która już była?

I tak, i nie. Polska armia to wyspy nowoczesności na oceanie przeszłości. Nowoczesny sprzęt wymusza nowe działanie. Kiedyś ćwiczyliśmy lądowania na DOL-ach [drogowych odcinkach lotniskowych], od kilku lat już tego nie robimy. DOL-e sprawdzały się w przypadku mniej zaawansowanych i prostszych w obsłudze samolotów. W F-16 aparatura pomocnicza, na przykład do programowania lotu, kontrolno-pomiarowa do uzbrojenia, zajmuje za dużo miejsca, żeby przerzucać ją z godziny na godzinę. Do tego dochodzi uzbrojenie, paliwo. Kiedyś można to było załatwić za pomocą trzech starów. Teraz byłaby to bardzo długa kolumna.

Jest też kolejny problem. Mamy odcinki do wykonywania manewru lądowania na autostradzie. Ale ten, kto je zaprojektował, nie zadbał o doprowadzenie odpowiednich dróg dojazdowych. Na szczęście są inne sposoby na przegrupowywanie naszych samolotów. Nie chciałbym wchodzić w szczegóły, żeby nie ułatwiać roboty pracownikom obcych ambasad.

Skoro to nie działa, to czy nie boi się pan powtórki z września 1939 roku?

Można mówić różne rzeczy o lotnictwie we wrześniu 1939 roku, ale w dniu wybuchu wojny było rozśrodkowane idealnie. Niemieckie bombardowania lotnisk wojskowych nie przyniosły efektu, bo naszego lotnictwa już na nich nie było. Dominację w powietrzu zyskali dzięki przewadze technicznej i ilościowej w sprzęcie.

Słabości sprzętu nasi piloci nadrabiali jakością wyszkolenia.

Dziś wydaje się mało prawdopodobne, nie chcę powiedzieć, że niemożliwe, żeby doszło do takiej walki powietrznej, jaką znamy z filmu *Bitwa o Anglię*. Technika zmienia lotnictwo. Zmienia również metody walki. Wprowadzenie do kabiny łączności, wyposażenie samolotów w radar, dołożenie rakiet – to wszystko całkowicie zmieniło taktykę walki.

Wygrywa technika, a nie człowiek?

Wygrywa połączenie. Świetny pilot z jeszcze lepszym narzędziem. Miałem okazję rozmawiać z pilotami rosyjskimi, którzy walczyli w drugiej wojnie światowej. Startowali bardzo często właściwie w ciemno. Bez naprowadzania, bez łączności. Po prostu lecieli i tyle. Ile zobaczyli przed sobą, tyle wiedzieli. Jakies 10 kilometrów w lewo, prawo i przed sobą. I tyle. Nie mogę powiedzieć, na jaką odległość widzi pilot samolotu F-16, bo jest to informacja tajna, ale proszę mi wierzyć, że w porównaniu z tamtymi czasami jest wszechmocny.

To jak to możliwe, że ci piloci w ogóle przeżywali?

Kwestia żołnierskiego szczęścia. Jak miał farta, to przez kilka tygodni, a nawet miesięcy nie natknął się na samolot wroga, poduczył się pilotażu, wyrobił nawyki. Jak przyszło do kontaktu z nieprzyjacielem, to już przynajmniej potrafił panować nad maszyną. Na wojnie najbardziej pouczające są statystyki. Radzieckie lotnictwo miało wyższe straty niebojowe niż bojowe. Puszczali za stery ludzi źle wyszkolonych. Wielu ginęło, zanim zdołali wznieść się w powietrze albo przy lądowaniu. Pilotom dla odwagi wydawano codziennie porcję alkoholu. Trudno się dziwić, że asy niemieckiego lotnictwa miały po trzysta zestrzeleń. Druga sprawa, że Niemcy do końca dbali o jakość wyszkolenia. Nawet jak już wojna się kończyła, a oni mieli nóż na gardle, udało im się skrócić szkolenie tylko z osiemnastu do czternastu miesięcy. Tamta wojna rządziła się innymi prawami. Dawała większy margines błędu. Sami frontowcy mi o tym mówili.

Jacy to byli ludzie?

Twardzi. Poznałem na przykład Witalija Rybałkę, trzygwiazdkowego generała, dowódcę Bajkonuru, bardzo zacnego człowieka. W czasie wojny osiemnaście zestrzeleń. Zaczął od porucznika, skończył jako pułkownik. Latał na Migu-3, a potem na ŁaGG-ach. Wie pan, dlaczego nie został

Bohaterem Związku Radzieckiego? Wtedy było tak, że jak się zestrzeliło samolot, dostawało się dodatkową porcję alkoholu. Rybałko latał w pułku, który bronił Moskwy w 1942 roku. On był już wtedy dowódcą eskadry i miał w samolocie radiostację. Po walce powietrznej zapytano go o efekty, a on mówi: „Dwa nalejcie”. Pech chciał, że akurat na stanowisku dowodzenia był Stalin. Jak to usłyszał, to powiedział, że skoro piloci latają dla wódki, to Gwiazda Bohatera Związku Sowieckiego już im niepotrzebna. Różne historie opowiadali. Po pierwsze: wtedy już można było, a po drugie: rozmawialiśmy prywatnie. Wszystkie te opowieści łączył niesamowity brutalizm. Rybałko nie miał zębów, bo mu je wybiło NKWD. Opowiadał, że był trzykrotnie zestrzelony, i za którymś razem przedzierał się z terytorium wroga. Skoro się przedarł, widać zdrajca. Przeszedł tak ciężkie przesłuchania, że nie mógł latać przez kilka miesięcy.

Historie polskich pilotów do najweselszych również nie należą.

Stanisław Skalski [uczestnik bitwy o Anglię z rekordową liczbą zestrzeleń wśród polskich pilotów] trzymał się nieźle, choć był już w mocno zaawansowanym wieku. Zwróciłem mu na to uwagę i dodałem, że nasze pokolenie jest słabsze niż jego. Skalski, który miał taką manierę, że od razu mówił do rozmówcy na ty, powiedział: „Popełniasz błąd. Ty widzisz tylko te 10 procent najzdrowszej części moich kolegów, którzy przeżyli. Reszta zginęła w czasie szkolenia, zestrzelili ich nad Polską, zostali na Syberii albo utopili się w kanale La Manche. Przy życiu zostali tylko najtwardsi z najtwardszych i ci, którym nie zabrakło szczęścia, bo wojna jest bezwzględny selekcyjnerem”.

Dzisiejszy pilot i sprzęt jest za drogi, żeby pozwolić sobie na takie straty jak wtedy.

Dzisiejszy pilot używa zupełnie innych narzędzi. Metody walki zostały zrewolucjonizowane przez rakiety. Te współczesne są tak doskonałe, że ten, kto pierwszy będzie miał warunki, żeby precyzyjnie je wystrzelić,

wygra pojedynek.

Technika walczy zamiast pilota?

Dzisiaj walczy informacja. Pilot w samolocie F-35, bo jak już mówiłem, według mnie to jest najwyższy standard, jaki może dziś dostać pilot, zasilany jest potworną ilością informacji. Z tak różnych źródeł, że jego przewaga nad wrogiem jest wręcz nieludzka. Szczegóły tego projektu nie są upubliczniane, ale miałem okazję latać na symulatorze tej maszyny. Nie wiem, czy nie idę za daleko w swoich przypuszczeniach, ale mam wrażenie, że system wspomagający pilota ma już znamiona sztucznej inteligencji. Pilot ma pełną informację z AWACS [Lotniczy System Ostrzegania i Kontroli], radarów naziemnych, bezpilotowców, satelitów, radarów kolegów. To jest potężna sieć, w której każdy samolot F-35 jest elementem. Ale myślę, że gdybyśmy dzisiaj wyłączyli to wszystko, co go wspomaga, to tak naprawdę otrzymalibyśmy samolot gorszy od F-16.

Pod jakim względem?

Osiągów. Charakterystyki, na przykład manewrowe i prędkościowe, ma gorsze niż F-16. Dlaczego? Konstruktorzy wyszli z założenia, że ten samolot nie musi być tak zwinny jak jego poprzednicy, bo wróg nawet do niego nie podleci. Zostanie strącony na długo przedtem, zanim w ogóle się zorientuje, że jest w zasięgu rażenia. F-16 budowany był jeszcze jako samolot autonomiczny. F-35 autonomicznie nie funkcjonuje, żeby przetrwać, musi być częścią systemu.

A można jeszcze wyciągnąć z samolotu coś więcej?

Na skokowy wzrost parametrów przy tej technice, którą obecnie dysponujemy, nie ma co liczyć. Patrząc na same cyferki, można by nawet mówić o regresie, skoro skonstruowany w latach 60. Mig-21 latał ponad dwa razy szybciej od dźwięku, a F-35 wyciąga 1,6 macha.

Jakie są przeciążenia przy prędkości dwóch machów?

Nie ma żadnych. To tak jak z samochodem: gdy ustali pan prędkość, to nie ma żadnych przeciążeń. Przeciążenia zaczynają się przy manewrowaniu. Rozpędzając statek powietrzny, mamy przeciążenie 1,1. Dopiero manewrowanie powoduje wzrost przeciążenia. Nawet przy starcie Mig-21, kiedy samolot w piętnaście czy szesnaście sekund rozpędza się od 0 do 400 kilometrów na godzinę, też nie czuć jakichś wielkich przyspieszeń. Zresztą ten samolot osiągał ponad dwa machy.

Jak bardzo zmieniło się latanie od tamtego czasu?

Bardzo. Kiedy zaczynałem latać, 90 procent mojej energii pochłaniała walka z samolotem. Zapewniam pana, że podczas pierwszych lotów nie widziałem nic poza kabiną. Całym sobą byłem skupiony na tym, żeby się nie zabić. Oczywiście kiedy nabierałem doświadczenia, to się zmieniało i w tej kabinie miałem coraz więcej czasu. Na początku wykonanie kręgu odbywało się w totalnym deficycie czasu. Kiedy już byłem instruktorem, wydawało mi się, że mogę czytać gazetę, latając po tym kręgu. A wszystko działo się przecież tak samo.

Zrastał się pan z maszyną?

Można tak powiedzieć. Wyczuwałem ją. Po samych drganiach czy pracy silnika wiedziałem, co się dzieje. Ale to ciągle było tak, że samolot pochłaniał jakieś 70 procent mojej uwagi, a na obserwowanie tego, co się dzieje poza kabiną, zostawało zaledwie 30 procent. Dziś te proporcje są dokładnie odwrotne. Nie chcę powiedzieć, że nowoczesny samolot lata sam, bo niektórzy koledzy mogliby się obrazić, ale komputer wyręcza pilota w wielu sprawach. Kiedy wprowadzano system sterowania aktywnego, było wiele krytycznych głosów. Gdyby ktoś przeczytał fachową prasę amerykańską z tamtych lat, to byłby bardzo zdziwiony, co tam wypisywano.

Na przykład co to za samolot, który ma joystick, a nie drążek.

Opór przeciw temu rozwiązaniu był tak silny, że konstruktorzy musieli nieco ustąpić. Proszę pamiętać, że pierwszy joystick był nieruchomy. Urządzenie odbierało informację o sile nacisku i w ten sposób dostawało sygnał, czy samolot ma lecieć w lewo czy w prawo. Potem na żądania pilotów wprowadzono taki pozorny ruch, który pilotowi ma dawać namiastkę ruszania się tego drążka. Amerykanie mieli straszny problem przy przeszkalaniu pilotów z phantomów. Wielu pilotów wolało odejść, niż przyzwyczać się do tego systemu. Trzeba było wychować całą generację nowych pilotów, żeby to tak naprawdę zadziało.

Piloci amerykańscy żalili się również, że ograbiono ich z satysfakcji walki.

Zdaje się, że w czasie Pustynnej Burzy zaledwie podczas dwóch strąceń doszło do kontaktu wzrokowego. W pozostałych wypadkach przeciwnik nawet nie wiedział, co się dzieje. Czytałem raporty oparte na wspomnieniach irackich pilotów. Przeróżające opowieści. Facet startuje Migiem-29 i nie jest w stanie się skupić, bo w radiu ma nieprawdopodobny hałas, piski, które prawie rozsadzają mu czaszkę. Oprócz przyrządów barometrycznych nic nie działa. Radar nie działa.

Czemu?

Bo Amerykanie sparaliżowali ich obronę i zagłuszyli systemy. Mieli tak potężne urządzenia, że w państwach sąsiadujących z tym regionem telewizory nie odbierały programów. Ich przeciwnicy w powietrzu byli głusi i ślepi.

Szczerze mówiąc, miałem tych irackich pilotów za nieudaczników, a wygląda na to, że to byli bohaterowie, bo ich misje były samobójcze.

Jeżeli ktoś twierdzi, że w dzisiejszych czasach liczba żołnierzy

uzbrojonych w prostą broń ma jakieś znaczenie, to ośmielam się powiedzieć, że naprawdę nic nie wie o wojnie i lepiej, żeby się tymi sprawami nie zajmował, bo szykuje masową zagładę.

Pije pan do Wojsk Obrony Terytorialnej?

Ja do niczego nie piję. Mówię wprost, że współczesna wojna będzie się rządzić zupełnie innymi prawami. Po pierwsze, zaatakowane zostaną systemy informatyczne państwa i sieci komórkowe. Amerykanie mówią bez ogródek, że każda większa anomalia w działaniu systemów GSM i GPS to pierwszy sygnał, że dzieje się coś złego. U nich automatycznie reaguje się na każdy taki sygnał. Teraz ja zadam panu pytanie: czy próbował pan dodzwonić się z życzeniami w sylwestra w centrum Warszawy?

Próbowałem. Raczej bez szans.

To zadam jeszcze jedno pytanie. Czy zna pan jakiś inny system niż komórki, którymi komunikują się dziś żołnierze WOT?

Nie znam.

I ja go nie znam. Chyba że jest jakiś supertajny projekt i o czymś nie wiem. Co zresztą podniosłoby mnie na duchu. W 2009 roku zajmowałem się organizacją Air Show. Doszło tam do tragicznego wypadku, w wyniku którego rozbił się samolot Su-27. I nagle wszyscy chcieli jednocześnie zadzwonić do bliskich, żeby im o tym opowiedzieć albo uspokoić ich, że nic im się nie stało. W całej okolicy na trzy godziny przestały działać telefony komórkowe, bo sieci były przeciążone. W czasie wybuchu wojny będzie dokładnie tak samo. W połączeniu z działaniem systemów zakłócających wroga możemy zapomnieć o łączności komórkowej. Ile jest warta armia, którą nie można dowodzić? To już nie są czasy bitwy pod Grunwaldem, kiedy król stał na górze i za pomocą gońców uruchamiał kolejne oddziały. Dziś ten, kto pierwszy będzie miał szczegółowe informacje o rozmieszczeniu strategicznych systemów wroga, wygra wojnę. Nauczeni

tamtym doświadczeniem na kolejnym Air Show rozciągnęliśmy własną łączność wojskową. A jaką łączność rozwiną żołnierze WOT? Kiedy do Polski przyjeżdżają amerykańscy żołnierze, każdy pyta, gdzie są czołgi. A oni zawsze zaczynają od łączności. Rozstawiają czasy łączności satelitarnej i dopiero wtedy jest zielone światło do ściągania reszty sprzętu.

Najpierw rozkładają małe czasy systemów ochronnych łączności, blokując możliwość podsłuchu i zakłócania ich sygnałów. Czy my mamy takie systemy?

Poproszę o następny zestaw pytań. Finlandia ma wojska obrony terytorialnej, ale to jest właściwie regularna armia. Świetnie wyszkolona, doskonale uzbrojona, wyposażona w profesjonalną łączność. A nie robiona na pokaz i pod media zabawa w wojnę leśnych ludzi. Czy myśliwi, których mamy przecież ponad sto tysięcy, są wojskiem? Porównując ich z WOT, wypadają korzystnie. Mają broń. Z reguły potrafią się nią sprawnie posługiwać. Organizują się i wspólnie działają, noszą podobne stroje.

Są wojskiem?

Nie są, bo wojskiem trzeba skutecznie dowodzić, a myśliwymi nie można. Z WOT jest dokładnie tak samo. Nie wystarczy dać tym młodym ludziom karabiny, odebrać od nich przysięgę i mówić, że mamy pięćdziesiąt trzy tysiące żołnierzy. Jaka będzie ich wartość bojowa, jakie będą mogli zadawać straty, działając po omacku?

A Afganistan?

Talibowie mieli skuteczny system łączności. Z naszej perspektywy archaiczny, bo opierający się na przykład na przekazywaniu znaków lusterkiem albo na gońcach. Ja zresztą nie bardzo lubię ten przykład z Afganistanem. Chciałby pan, żeby Polska miała takie straty w ludności, jak to miało miejsce w Afganistanie? Chciałby pan być obywatelem kraju,

który uczestniczy w wojnie totalnej? Na ile milionów strat musielibyśmy być przygotowani przy tym rozwoju techniki i rozpoznania, jaki jest teraz? Jak pan sobie wyobraża partyzantkę w sytuacji, w której niebo kontrolowane jest przez aparaty bezzałogowe wyposażone w kamery termiczne i zdalnie sterowane pociski? W wysokich górach Afganistanu partyzancki ruch oporu może się sprawdzić. Na terenie względnie płaskiej Polski to byłoby ludobójstwo. Jeśli chcemy być bezpieczni, to musimy mieć profesjonalną i dobrze wyposażoną armię. Armie, która w połączeniu z sojusznikami będzie zdolna odstraszyć wroga. A jeśli okaże się to niemożliwe, to przenieść działania na obszar przeciwnika, bo każdy inny wariant będzie dla nas katastrofą.

Ale jak możemy stawiać na technikę, skoro Rosjanie mają dwieście różnych systemów zakłócających, a my chyba raptem dwa?

To niech nas ta sytuacja mobilizuje do zmian na lepsze, a nie na gorsze, bo budowanie partyzantki nie jest zmianą na lepsze. Rosjanie zawsze byli w tym dobrzy. Jeszcze kiedy u nas stacjonowali, przy 16 Armii Powietrznej w Legnicy mieli pułk śmigłowców, w którym była eskadra rozpoznawcza i eskadra śmigłowców stawiających zakłócenia. Mieli też naziemne stacje zakłócania.

Pan u nich studiował, więc pan wie, że przykładali do tego dużą wagę.

Na mapie, na której nanosiliśmy sytuację taktyczną czy operacyjną, rysowaliśmy linie, które nazywały się liniami przewagi i równowagi elektromagnetycznej. Trzeba było tak ustawić swoje źródła zakłóceń, tak analizować przeciwnika, żeby wytyczyć linię, do której jeszcze jest możliwość dowodzenia własnym lotnictwem. W Polsce takich linii nie rysowało się wcale.

A dziś gdzie byłaby taka linia?

Znowu pyta mnie pan o sprawy, o których nie mogę mówić ze szczegółami. Ale jeśli chodzi o naszego wschodniego sąsiada, to ta linia z pewnością nie pokrywałaby się z granicami naszego państwa.

Ile kilometrów w głąb terytorium przeciwnika bylibyśmy w stanie wlecieć?

Źle mnie pan zrozumiał. Pytanie powinno brzmieć: ile kilometrów naszego obszaru jest w bezpośrednim zasięgu środków rażenia przeciwnika? Nie chciałbym mówić o szczegółach, ale w razie konfliktu ja bym nie wysłał naszych samolotów zbyt blisko polskiej granicy.

Nie wchodząc nawet na nasz obszar, mogą częściowo kontrolować nasze niebo? Proszę mnie nie załamywać.

Ja pana nie załamuję, tylko informuję. Przecież to nie jest tak, że nic nie można zrobić. Powiem więcej, dokładnie wiadomo, co należy zrobić. Jeśli my wystawimy systemy, które będą mogły zagrozić ich systemom, to będą musieli je cofnąć w głąb własnego kraju, czyli przesunąć linię przewagi.

Mógłby pan to prościej wyjaśnić?

Jeśli ich system stoi 20 kilometrów od polskiej granicy i może razić na dystansie 100 kilometrów, to łatwo policzyć, że pokrywa 80 kilometrów obszaru naszego kraju. Ale jeśli my podciągniemy pod granicę artylerię, która strzela na 300 kilometrów, to oni będą musieli przesunąć swoje systemy o 301 kilometrów. Proste.

A mamy takie systemy artyleryjskie?

Oczywiście, że nie mamy. Minister Macierewicz miał je kupić dwa lata temu. Jak ich nie było, tak nie ma. Udało się kupić haubice Krab, które rażą na 40 kilometrów, więc przesunęliśmy tę linię o parę kilometrów. Ale to ciągle nie są odległości, o jakie nam chodzi.

A jak wreszcie kupimy ten system, który strzela na 300 kilometrów, to będziemy bezpieczni i wszyscy będziemy żyli długo i szczęśliwie?

Jak kupimy ten system, to będziemy musieli dokupić kolejny, żeby wskazywał nam cele, bo nie mamy tak dalekiego rozpoznania. To wszystko jest tam gdzieś zapisane w programie modernizacji technicznej, tylko że nikt już tego programu nie realizuje. Robimy jakieś zakupy. Tu kupimy karabinek, tam dokupimy trochę jeliczy. Ja to nazywam błyskotkami. Pięknie to wygląda w telewizji. Serce rośnie, ale to nic nie zmienia. Nic.

Czekam, kiedy pan powie, że zmieni się na lepsze, kiedy kupimy więcej myśliwców.

Oczywiście, że musimy kupić więcej myśliwców, ale ten zakup również nie zaspokoi wszystkich naszych potrzeb. Jak już mówiłem, wojnę wygra ten, kto będzie miał informacje. Skąd dziś naczelny wódz dowiedziałby się, że wybuchła wojna?

Z żółtego paska w TVN?

O ile jeszcze działałby jego telewizor. Może trochę przejaszkawiam, ale podstawową sprawą jest stworzenie systemu zarządzania obroną kraju. Dzisiejszy jest analogowy, opiera się na telefonicznych meldunkach od podwładnych. Najpierw porucznik, dowódca plutonu, przekaże dowódcy batalionu: „Widzę przeciwnika w krzakach”. Dowódca batalionu naniesie to na mapę i przekaże informację do dowódcy brygady. Dowódca brygady naniesie na swoją mapę i przekaże informacje do dowódcy dywizji. Ten do dowódcy generalnego. Każdy po drodze zmarnuje trochę czasu, zanim to pójdzie dalej. W Afganistanie już się nauczyliśmy, że można pracować na jednej mapie. Można ją zasilać wieloma źródłami. Informacjami z samolotu, z radaru, z drona. Mamy pełny obraz sytuacji, szybciej podejmujemy decyzje. Dziś każdy rodzaj sił zbrojnych widzi tylko swój obszar aktywności. A niektóre rodzaje sił zbrojnych nie widzą nawet

samych siebie. I tu muszę zamilknąć.

Przyjmijmy, że stworzymy taki system. Ale sam pan mówił, że wróg go nam zagłuszy.

Są różne poziomy zabezpieczeń systemów. Ten musi mieć po prostu najwyższy poziom. Bez tego nie można zarządzać obroną, nie można zarządzać państwem. Proszę mieć świadomość, że w przypadku zmasowanego ataku nie ma prądu, bo elektrownie są w gruzach. Nie ma telefonii komórkowej, bo jest sparalizowana. Nie ma internetu, bo jest blokowany. W takich realiach trzeba będzie prowadzić obronę. Dlatego podstawą jest system pozyskiwania informacji i przekazywania rozkazów. O realiach nie mogę mówić, ale proszę mi wierzyć, że plusem naszej sytuacji jest to, że możemy taki system stworzyć od zera. Mamy potencjał naszych polskich firm informatycznych. Nie mówię, że to będzie łatwe, bo to nie jest jak z cukrem – idziesz do sklepu, bierzesz z półki i płacisz. Ale zacznijmy chociaż nad tym pracować.

Czyli nic nie mamy?

Proszę nie ciągnąć mnie więcej za język. O szczegółach nie chcę i nie mogę mówić. I tak powiedziałem już dużo, bo szlag mnie trafia, że w Polsce poświęcamy wiele uwagi problemom drugorzędnym, a sprawy fundamentalne dla naszego bezpieczeństwa leżą odłogiem.

Ludzie nie mają o tym pojęcia. Nawet nie wiedzą, czego mają się domagać. Budżet MON rośnie, wydaje się, że wszystko gra.

Budżet MON musi rosnąć, skoro podwyżka goni podwyżkę. Sam byłem ich beneficjentem, ale głośno mówiłem, że budżet nie jest z gumy. Im więcej wydamy na pensje, tym mniej pójdzie na sprzęt. Proste. Już samo to powinno skłonić do zadawania pytań. To wszystko jest czysta matematyka. Nie trzeba się aż tak bardzo znać.

Rosjanie wydają na zbrojenia wielokrotność naszego budżetu, w życiu ich nie dogonimy.

Tym bardziej powinniśmy wydawać te pieniądze z głową. Polacy często okazują poczucie wyższości wobec Rosjan. A ja im zazdroszczę tego, jak zabezpieczyli swój kraj przed atakiem. Jeśli chodzi o samą przestrzeń powietrzną, mają kilka warstw obrony. Świetne systemy, świetnie zabezpieczone. Nie jestem zwolennikiem myślenia, że jesteśmy bezradni i już. I z tym można próbować jakoś sobie poradzić. Gdybyśmy mieli odpowiednie drony, można by ich użyć do obserwacji, ale też na przykład wzbudzania ich systemów obrony. Kiedy system się uaktywnia, można go namierzyć i próbować zniszczyć. I tu ponownie wracamy do punktu wyjścia. Zgodnie z PMT pierwsze średnie drony armia miała odebrać już w tym roku. Rok się kończy. Dronów nie ma.

Czekamy, aż przemysł wreszcie zrobi polskiego drona.

W Afryce miejscowi mieszkańcy mówili Amerykanom: „Wy macie zegarki, ale to my mamy czas”. Ja nie wiem, ile my mamy czasu. Nie sądzę, żeby ewentualna wojna z Rosją wybuchła w najbliższym czasie. Myślę, że Putin realizuje większość swoich celów bez użycia armii.

A jakie są jego cele?

Żeby było jak kiedyś, żeby Polska, Węgry, Czechy znowu były w strefie wpływów Rosji. Żeby to osiągnąć, musi osłabić, podzielić, a na końcu rozbić Unię Europejską. Z przykrością stwierdzam, że nikt mu w tym bardziej nie pomaga niż polski rząd. Mam nadzieję, że to tylko efekt krótkowzroczności, a nie czegoś więcej.

Koniec świata

Dlaczego przeszedł pan z myśliwców na transportowce?

Dzień, w którym dowiedziałem się, że muszę zejść z myśliwców, wydawał mi się końcem świata. Końcem mojego świata. To było jak wyrok. Tym bardziej że byłem szykowany na dowódcę pułku. Sprawdziłem się jako zastępca dowódcy tego pułku. Miałem tysiąc godzin nalotu na samolotach myśliwskich. I to liczone starą metodą, gdzie lot trwał nie tak jak dzisiaj, czyli od uruchomienia silnika do jego wyłączenia, tylko od oderwania do przyziemia kół. Zrobiłem wszelkie możliwe kursy, miałem studia zagraniczne. No po prostu wszystko. I gdy pojechałem na rutynowe badania do WIML-u [Wojskowy Instytut Medycyny Lotniczej], nagle wszystko legło w gruzach. Okazało się, że mam jakieś dodatkowe skurcze serca. Myślałem, że strzelę sobie w głowę.

Jak to możliwe, że nie wykryto tej wady wcześniej?

Stałem się, że tak powiem, ofiarą diagnostyki. Na EKG to nie wychodziło, musieliby rozciąć klatkę i zobaczyć, jak to wygląda. Kiedy wprowadzono ultrasonografy, zaczęła się komedia. Leżałem na sali z pilotem Su-22, któremu po trzynastu latach latania zdiagnozowali brak jednej nerki. Od razu zdjęli go z latania. Bronił się rękoma i nogami: „Słuchajcie, ale ja się świetnie czuję. Latam, jestem instruktorem w stopniu majora. Dajcie spokój”. Niestety, diagnostykę mieliśmy z XXI wieku, a przepisy z XX. Musiałem przejść na samoloty transportowe. Swoją drogą rok później znów pojechałem na badania i okazało się, że te skurcze zniknęły. Spokojniejszy tryb życia, to i serce się uspokoiło.

Ciężko było panu przejść na transportowce?

Mnie nie, bo poszedłem na samolot AN-26, a on miał wszystkie parametry jak Iskra, na której byłem instruktorem. W kwietniu 2000 roku byłem wyszkolonym drugim pilotem, a w czerwcu 2001 roku zostałem dowódcą załogi. Ja sobie radziłem. Natomiast muszę przyznać, że inni mieli ze mną ciężko. Pamiętam, że wykonywaliśmy jakiś lot z pasażerami.

Nawigator zadał mi kurs, to ja ciach, wykonałem. A on mówi tak: „Panie majorze. Ci, co siedzieli na prawej burcie, leżą na tych, co byli na burcie lewej. W lotnictwie transportowym lata się trochę bardziej majestatycznie”. W lotnictwie myśliwskim zmiana kursu to jest zmiana kursu.

I innych problemów pan nie miał?

Barierą nie do pokonania było wykonanie lotu na jednym silniku. Proszę sobie wyobrazić, że zrobiłem trzy kółka, zanim wyłączyłem silnik. Dla kogoś, kto niemal całe życie latał na jednosilnikowym myśliwcu, wyłączenie silnika to było coś niewyobrażalnego. Wyłączasz silnik i zaraz masz ochotę się katapultować.

Pana kłopoty ze zdrowiem zbiegły się w czasie z naszym wejściem do NATO.

Opowiem panu związaną z tym anegdotę, to w 100 procentach prawdziwa historia. Jest rok 1999. Wchodzimy do NATO, a NATO kończy właśnie operację w Jugosławii. I minister obrony narodowej mówi, że Polska się przyłączy. Co robią? Przysyłają do Krakowa decyzję, że AN-26 ma lecieć do Neapolu i wspierać tam operację.

Dowódca pułku, wtedy był nim Józef Kurczap, wyznacza pilotów, wsadza w samolot, i naprzód, do Neapolu. Dolecieli, wylądowali. Tylko że tam nikt na nich nie czeka. Nikt nic nie wie. Lotnisko podzielone było na dwie części, jedną włoską, drugą amerykańską. Najpierw zakołowali na amerykańską. Pojawił się jakiś Amerykanin, zaczął ich prowadzić i wyprowadził do części włoskiej. Włoch popatrzył na znaki i przeprowadził ich do części amerykańskiej. Cztery razy tak kręcili po lotnisku. Aż wreszcie chłopcy wyłączyli jeden silnik i powiedzieli, że za chwilę stanie im drugi, bo nie mają paliwa. No to warunkowo przyjęli ich Amerykanie. Dostali numer kontaktowy do oficera łącznikowego. Dzwonią, a on mówi: „Panowie, ja niewiele wiem, ale podam wam numer do gościa, który wie

wszystko”. I podał. Dzwonią. A w słuchawce odzywa się Józef Kurczap.

No i wiedział wszystko?

A skąd? Zaczął im tłumaczyć, że skąd on ma coś wiedzieć, skoro cztery godziny temu ich pożegnał i sam nic nie wie. Przyszedł telegram z Ministerstwa, że mają lecieć, to ich wysłał. Dwa tygodnie chodzili i pytali, co oni tam mają robić. Wreszcie tak naprawdę sami sobie te zadania wymyślili.

Jak już zaczęli latać, to okazało się, że nasze radiostacje są niekompatybilne z NATO-wskimi i się z nimi nie słyszemy. Jedna wielka prowizorka. Ale jak zawsze daliśmy radę. Rok byliśmy na tej misji. Samolot dużo nalatywał, bo robił trzy, cztery całodzienne misje w tygodniu. Prisztina, Skopje, bardzo się ten nasz samolot tam przydał.

Żałuje pan, że nie załapał się na F-16?

Mam taką zasadę, że niczego w życiu nie żałuję, bo szkoda mi na to energii. Fajnie byłoby polatać takim samolotem. Te maszyny przeniosły polskie lotnictwo w inny wymiar. Choć wielu ludzi zapłaciło za ten program wysoką cenę.

Co pan ma na myśli?

Nie chciałbym wchodzić w szczegóły, bo to są sprawy osobiste tych ludzi, ale proszę prześledzić, ilu pilotom samolotów F-16, którzy pojechali na kurs do Stanów Zjednoczonych, udało się utrzymać małżeństwo.

Ilu?

Nie chcę się zbyt zagłębiać, ale mniej niż połowie. I w zasadzie każdy z nich mógłby przyjść do MON i powiedzieć: „Bardzo państwu dziękuję za rozwód”.

Dlaczego do MON?

Jak można było wysłać na ponaddwuletni kurs pilotów bez rodzin? Pojechali sami, bo podobno Polski nie było stać na to, żeby wysłać z nimi rodziny. Płaciliśmy po kilka milionów dolarów za ich edukację, a nie było nas stać na te kilka tysięcy ekstra dla ich rodzin? Oni mieli tam bardzo ciężkie szkolenia. Właśnie po to jest rodzina, żeby wspomóc człowieka, który wraca o godzinie dwudziestej czy dwudziestej pierwszej. A tam wracał do pustego domu. No więc co można robić samemu wieczorami? A jeszcze kolejna pokusa, bo w Class Six, sklepie z alkoholem na terenie bazy, litr Smirnoffa kosztował 8 czy 9 dolarów.

Można kupować alkohol w bazach lotniczych?

Bez ograniczeń. I to dwa razy tańszy niż na mieście, bo bez podatku. Tylko trzeba okazać ID, bo niektórzy Amerykanie w wojsku nie mają dwudziestu jeden lat i nie mogą go kupić. I po tym wszystkim armia tak się odwdzięcza, że były dowódca 1 Skrzydła pułkownik Rościsław Stepaniuk, który jako pierwszy poleciał do Stanów, jest w rezerwie kadrowej. Wiadomo, że w armii trzeba się liczyć z tym, że poświęca się ludzi. Ale to wszystko musi mieć jakiś wyższy cel.

Może wystarczy, że tym celem będzie wywalenie tych, którzy kończyli studia w Moskwie.

Gdyby któryś z tych panów kończył studia w Moskwie, to może czegoś by się tam nauczył. Bo od Rosjan można się wiele nauczyć, na przykład tego, że zwyciężanie polega na tym, że dokonuje się rzeczy, które wydają się nieprawdopodobne. Ponieważ minęło już sporo lat, to o tym akurat mogę opowiedzieć. Będąc na studiach w Moskwie, uczestniczyłem w ćwiczeniach, których scenariusz zakładał atak ze strony Japonii. Obydwa państwa formalnie były w stanie wojny. Punktem spornym były Wyspy Kurylskie. Rosjanie bali się, że Japonia będzie chciała wykorzystać ich słabość, dokonać szybkiego desantu i metodą faktów dokonanych potwierdzić swoje prawa do tego obszaru. Kryzys zaczynał się, kiedy wywiad przekazał

informacje o przygotowaniach do desantu. Rosjanie mieli tam niewielkie siły lotnicze i policzyli, że przerzucenie dodatkowego sprzętu, który byłby w stanie osiągnąć sił przeciwnika, zajmie im zbyt dużo czasu, żeby ten sprzęt zdążył wejść do walki. Do tego dochodziła logistyka, zaopatrzenie, bomby; powiedzmy, że wychodziły im dwa tygodnie. Na miejscu mieli jeden pułk samolotów SU-24. Proszę sobie wyobrazić, że wariantem, który został zaakceptowany, było wysłanie pułku w jedną stronę.

Całkowita likwidacja pułku?

Tak. Wysyłamy samoloty, żeby zbombardowały okręty desantowe w japońskim porcie albo zaraz po wyjściu z portu. Obliczyli, że strata trzydziestu czy trzydziestu pięciu maszyn na tym etapie zatrzyma Japończyków, o ile w ogóle nie odbierze im chęci dalszej inicjatywy. A Rosjanom da zwycięstwo albo przynajmniej czas potrzebny na przerzucenie dodatkowych sił.

Piloci też do morza?

Tak. Z tym że zakładano akcję ratunkową. Na morzu wyznaczona była strefa katapultowania, skąd miały ich odbierać rosyjskie okręty. Trzeba pamiętać, że Morze Japońskie w tym rejonie wcale nie jest ciepłe, ale taki wariant przyjęto do realizacji. Zresztą Amerykanie swój pierwszy rajd nad Tokio również odbyli w jedną stronę. Stracili wielu pilotów, ale propagandowy sukces był ogromny. Wojny nie można wygrać samą propagandą, ale niszczenie morale przeciwnika jest równie ważne jak niszczenie jego czołgów, a czasem może nawet ważniejsze. Myślę, że minister Macierewicz ma wielkie sukcesy w niszczeniu morale polskiej armii.

[*] Prace nad projektem Irydy – dwumiejscowego, dwusilnikowego, odrzutowego górnopłata szkolno-bojowego – rozpoczęły się w latach 70. ubiegłego wieku. W 1980 r. zatwierdzono projekt, dwa lata później rozpoczęto budowę prototypu. Wyprodukowano 19 samolotów, ale maszyna nie

weszła do eksploatacji i ostatecznie MON zrezygnowało z produkcji. Samolot zawiódł pokładane w nim oczekiwania. Egzemplarze samolotu trafiły do muzeów lotnictwa i magazynów.

WOJNA SKORPIONÓW

Adama Dudę pierwszy raz spotkałem w dniu, w którym został generałem. Już wtedy dowiedział się, jak wygląda wojsko na kursie kolizyjnym z polityką. Jego nazwisko znalazło się liście oficerów, którzy 15 sierpnia 2015 roku, w dniu Święta Wojska Polskiego, mieli otrzymać nominacje generalskie. Tak się jednak złożyło, że prezydent Bronisław Komorowski, który zatwierdził nazwiska, ku swojemu zaskoczeniu przestał być prezydentem. A jego następca, który obejmował urząd 6 sierpnia, nie chciał wręczać nominacji ludziom, których nie wybierał. Koledzy żartem pytali pułkownika Dudę, czy się pokłócił z rodziną, że mu nie chce dać awansu, ale sytuacja daleka była od śmiesznej. Raczej tragiczna, zważywszy, że demokratyczne państwo charakteryzuje się ciągłością władzy. Ostatecznie tak zwani niechciani generałowie nominacje dostali z rąk ustępującego prezydenta Komorowskiego 1 sierpnia 2015 roku. Nie była to szczególnie wesoła uroczystość. Nie był to również najlepszy moment, żeby przedstawiać się świeżo upieczonemu generałowi.

Niewiele brakowało, byśmy poznali się dużo wcześniej – w 2007 roku podczas VIII zmiany PKW w Iraku. Uniemożliwił to jednak sam szef MON Aleksander Szczygło. Po artykule o karygodnym traktowaniu przez Ministerstwo i armię weteranów misji wypadłem z listy dziennikarzy akredytowanych na wyjazd do Iraku. Pamiętam złość, jaką to we mnie wywołało. Dla dziennikarza piszącego o wojsku wyjazd na misję wydawał się ukoronowaniem pracy. Męską przygodą ze świszczącymi kulami w tle. Romantyczną podróżą na wojnę w stylu Tomka Wilmowskiego z książek Alfreda Szklarskiego z domieszką Hemingwaya.

Do Iraku udało mi się polecieć dopiero pod koniec X zmiany. Dzień powrotu z misji był jednym z najszcześniejszych w moim życiu. Kiedy spotkałem w Sejmie ministra Szczyglę, podszedłem i szczerze podziękowałem mu za to, że wywalił mnie z listy i nie trafiłem do Iraku wcześniej.

Baza w Diwaniji, którą odwiedziłem w 2008 roku, miała jeszcze ślady po ostrzale z VIII zmiany. Takie mikropęknięcia. Wszystkie poważne zniszczenia usuwano na bieżąco. Tak doradzali wojskowi psychologowie, którzy w lejach po raketach widzieli śmiertelnego wroga dla żołnierskiego morale. Pewnie mieli rację, ale żołnierze niechętnie żegnali się ze śladami strat. Na jednym z murów, na uboczu bazy, mieli wyrysowaną mapę ostrzałów, obok zanotowany czas trwania tych największych. Daty i dane tych, którzy zginęli. Nazwiska bez twarzy, bo przecież zginęli na innej zmianie. Nigdy się nie poznali, ale dbali, żeby pamięć o tych ludziach przetrwała. Tak jakby miało to być obietnicą, że jak oni dostaną, to też ktoś będzie pamiętał.

W sierpniu 2008 roku baza rzadko była celem ataków raketowych. Wyposażono ją w nowoczesny system do detekcji ostrzału, który

automatycznie namierzał współrzędne odpalenia rakiety i pozwalał w ciągu kilku sekund zrównać to miejsce z ziemią. System nie dawał zwycięstwa. Raczej gorzki remis.

Wojna, na którą trafiłem, była już w fazie schyłkowego przepychu. Z jednej strony każdy wiedział, że jest przegrana, ale wojskowe samoloty regularnie dostarczały dawno zamówiony towar. Na bagdadzkim lotnisku co chwila podchodził do lądowania jakiś samolot. Z czeluści gigantycznych transportowców C-5 Galaxy nie wyładowywano już czołgów czy śmigłowców, tylko ogromne palety z muszlami klozetowymi, umywalkami i kabinami prysznicowymi. Wojna się cywilizowała.

A jednocześnie cały czas była tą samą bezsensowną jatką, w której ludzie ginęli równie głupio, co przypadkowo. Żebyśmy za szybko się o tym nie przekonali, transport do bazy odbywał się dwoma metodami. Ładunek ludzki – śmigłowcem. Plecaki – na kołach. Jedna ze ścian kontenera, do którego zapakowano nasze bagaże, poszatkowana była odłamkami. Kiedy głupio zapytałem, skąd te dziury, usłyszałem, że po kornikach.

Dystans pomiędzy Bagdadem a Diwaniją to zaledwie 160 kilometrów, ale mało kto pokonywał go na kołach. Gdyby w Księdze Rekordów Guinnessa była kategoria: najczęściej ostrzeliwana droga na świecie, iracka autostrada z pewnością znalazłaby się na podium. Na ciężarówkach, którymi nie chcieli jeździć już nawet kierowcy z trzeciego i czwartego świata, z każdym rokiem przybierały kolejne warstwy blachy. W 2008 roku ciężarówki były już małymi czołgami z maleńkimi okienkami. Za to zabezpieczenie polskich śmigłowców sprowadzało się do kilku rozłożonych na pokładzie kamizelek kuloodpornych. Piloci tańczyli więc w powietrzu wiedeńskiego walca, co chwila zmieniając wysokość, żeby przynajmniej nie ułatwiać zadania tym, którzy chcieliby do nas postrzelać. Akurat tego dnia nikt nie chciał. Zresztą nam też nic się nie chciało. Temperatura była zabójcza. Precyzyjniej nie dało się jej określić, bo termometr szlag trafił. Skala kończyła się na 70 stopniach Celsjusza.

Czasem śmigłowce schodziły naprawdę nisko. Wtedy można było dostrzec twarze ludzi tam na dole. Ale tylko dzieci i starców. Mężczyzn nie było widać wcale, a kobiety były szczelnie pozasłaniane chustami. Dzieci, nie zważając na upał, goniły chwilę za cieniem helikoptera. Jeszcze kawałek dalej pokazywały go sobie palcami. Jak pastuszkowie u Chełmońskiego. Czułem, że podróżuję nie helikopterem, ale kapsułą czasu. Zamiast przestawić zegarek o godzinę do przodu, wypadaloby cofnąć go o milion godzin.

Wszystkie tego typu myśli miała odpędzać baza, ze stołówką, klimatyzatorami i gigantycznymi telewizorami. Stołówka to serce bazy. Barak wielki niczym cyrkowy namiot, z kulinarną ofertą od McDonalda po homary. Kilka miesięcy przed moim przylotem do bazy wprowadzono siódmą porę

wydawania posiłków. Ostatniego świeżo usmażonego hamburgera można było dostać przed drugą w nocy. A o szóstej rano ustawić się w kolejce po następnego. Długie bufety z jedzeniem to jedyne miejsce na misji, gdzie coś tak naprawdę zależało od ciebie. Krewetki w sosie, kurczak, burrito, spaghetti. Za każdym razem piętnaście dań do wyboru. Do tego lody, owoce, ciasta, batony energetyczne, shaki, chipsy, gofry.

Za tą pozorną rozrzutnością kryło się działanie psychologiczne. W stołówce karmiono jedzeniem i ideologią. W wojskowych kanałach telewizyjnych wojna była już właściwie wygrana. Dzielni amerykańscy żołnierze wręczają biednym irackim dzieciom łakocie i butelki z wodą. Wdzięczni Irakijczycy machają patrolom na pożegnanie, a rumiany analityk wojskowy tłumaczy rumianym chłopcom z Idaho, jak wielkie znaczenie ma ich praca na rzecz demokracji w Iraku. W tej telewizji nie było scen śmierci, głodu i innych nieszczęść. Tak pewnie wyglądał Irak w oczach Waszyngtonu.

Stołówka była też czymś w rodzaju pubu. Tylko że zamiast whisky z colą była sama cola. Ale za to w nielimitowanych ilościach. Wszystko w stołówce było w nielimitowanych ilościach. Tak jakby miało to wynagrodzić limitowaną ilość miejsca, bo ludzie bardzo szybko orientowali się, że tak naprawdę baza jest luksusowym więzieniem, z którego coraz rzadziej wyjeżdżało się na patrole. Miejscem banicji, pod które podchodziły tylko irackie dzieci. Żołnierze lubili, gdy pod bazę podchodziły dzieci, bo to oznaczało, że ryzyko ostrzału jest znikome. Dzieci były barometrem wojny. Żołnierze rzucali im butelki z wodą i batoniki i udawali, że nie widzą, jak one w zamian pokazują im środkowy palec.

Baza oficjalnie nazywała się Echo. Powinna nazywać się Środa, bo każdy dzień wyglądał tak samo. Wstający rano żołnierze żartowali: „I znów mamy środę”. Środa – kompletnie nijaki dzień zawieszony pomiędzy pamięcią o jednym weekendzie a nadzieją na następny.

Jak każde porządne więzienie baza była samowystarczalna. Miała własną pralnię (chyba że trafiła w nią rakietą), pocztę, kościół, siłownię, kino, sklep, szpital, oczyszczalnię ścieków i fryzjera. Tyle że wszystko pochowane pod dziesiątkami worków, kilometrami siatek maskujących i pozastawiane t-wallami, czyli czterometrowymi prefabrykatami z betonu w kształcie odwróconej litery T. Jeśli gdzieś spadł granat, to jego odłamki miały zabić tylko tych bezpośrednio trafionych i zatrzymać się na t-wallu. Kolejny przejaw wojennej prostoty.

Baza była całkowicie niezależna od dostaw prądu z zewnątrz. Urządzenia były napędzane przez dziesiątki generatorów, które pracowały bez przerwy, do kresu swoich dni. Na miejsce spalonego agregatu wstawiało się nowy. Podobno Amerykanie obliczyli, ile kosztowałby serwis, i doszli do wniosku, że

nie opłaca się naprawiać. Generatory nie tylko buczały, ale wywoływały też mikrodrżania gruntu. Dlatego na terenie bazy nie było skorpionów. Zwierzę, które jest w stanie przetrwać promieniowanie radioaktywne w dawce śmiertelnej dla człowieka, nie było w stanie przetrwać w bazie wojskowej Echo. Szczecinki na jego kleszczach, które rejestrują drżania powietrza, przy tych wszystkich generatorach po prostu wariowały.

Po tygodniu w Iraku też zaczynałem wariować. Głównie z nudów. Wszystkie wyjazdy poza bazę były wstrzymane ze względu na informacje wywiadowcze o planowanym ataku. Poza bazę wyjeżdżali tylko żołnierze wojsk specjalnych. To dla nich smażyono te hamburgery po nocach. Jedli w milczeniu. Nie opowiadali.

Kiedy słuchałem irackich wspomnień generała Dudy, czułem, że mamy podobne refleksje. Odbyłem z nim kilka rozmów, które cenię sobie także dlatego, że w ogóle do nich dochodziło. Kiedy jego koledzy bali się nawet odbierać ode mnie telefon, on chętnie zapraszał, i to oficjalnie, do Inspektoratu. Rozmawiał na tyle otwarcie, na ile pozwalały mu klauzule tajności, i nie bał się krytykować błędów przełożonych, a nawet dostrzegał własne. Zacząłem odliczać czas, który został mu do końca kariery. Szczerze mówiąc, nie dawałem mu tak wielu miesięcy. Pod rządami ministra Macierewicza szczerłość podwładnych jest ciężkim grzechem. Z kategorii tych, z których nie można się nawet wypowiedzieć. Chyba że dziennikarzowi.

Rozmowa z generałem Adamem Dudą



Adam Duda, generał brygady rezerwy. Był szef Inspektoratu Uzbrojenia. Rocznik 1967. 31 lat służby.

Absolwent Wyższej Szkoły Oficerskiej Służb Kwatermistrzowskich i Akademii Ekonomicznej w Poznaniu. Doktor nauk ekonomicznych. Studiował podyplomowo na Narodowym Uniwersytecie Obrony w Waszyngtonie. Służbę rozpoczął na stanowisku szefa zaopatrzenia mundurowego w 42 Pułku Zmechanizowanym w Żarach. W 11 Dywizji Kawalerii Pancernej w Żaganiu doszedł do stanowiska szefa Sztabu. Brał udział w misji w Iraku. W 2012 r. po ukończeniu studiów w Stanach Zjednoczonych został wyznaczony na pierwszego zastępcę szefa Inspektoratu Uzbrojenia MON. W latach 2012–2015 był członkiem Rady Nadzorczej natowskiej agencji ds. zakupów w Luksemburgu (NSPA). Przez prawie półtora roku szef Inspektoratu Uzbrojenia. Ze stanowiska odszedł w grudniu 2016 r. W lutym 2017 r. pomimo młodego wieku odszedł ze służby na własną prośbę. Żonaty – żona Magdalena, dwoje dzieci: syn Bartosz i córka Katarzyna. Zapalony myśliwy. Wierny użytkownik samochodów marki mercedes. Innych podobno nie uznaje.

Juliusz Ćwieluch: Pan się zwolnił czy pana zwolnili, bo muszę przyznać, że się w tym pogubiłem.

Generał Adam Duda: Można powiedzieć, że jestem w tej wyjątkowej sytuacji, że sam się zwolniłem, a następnie zostałem zwolniony.

Nie rozumiem.

Już w sierpniu powiadomiłem Bartosza Kownackiego, wiceministra obrony narodowej odpowiedzialnego za modernizację armii, że odejdę ze stanowiska szefa Inspektoratu Uzbrojenia. Zgodnie z umową wypowiedzenie złożyłem na początku grudnia. A później wypadki potoczyły się błyskawicznie, bo moje odejście stało się sprawą medialną. I wtedy, chyba w geście rozpaczy, postanowili mnie spektakularnie zdymisjonować. To był trudny dla rządu dzień, piątek 16 grudnia 2016 roku.

Słynny „pucz”, który można było poznać po dużej ilości kanapek zamówionych przez opozycję na posiedzenie Sejmu.

Tak, blokowanie mównicy, tłum ludzi pod Sejmem, zamieszki...

...a w porannych gazetach news o buncie generałów i pana zdjęcie.

„Gazeta Wyborcza” podała informację, że wypowiedzenia złożyli najważniejsi dowódcy: generalny, czyli generał Mirosław Różański, szef Sztabu Generalnego generał Mieczysław Gocuł, no i ja. Kiedy sytuacja w Sejmie zrobiła się napięta, zaczęły się próby przekonania mnie, żebym zdementował informację o rezygnacji.

Kto próbował?

Pierwszy telefon wykonał minister Kownacki.

A drugi?

Bartek.

Jaki Bartek?

Też się zdziwiłem, kiedy odebrałem telefon i usłyszałem: „Bartek z tej strony”. To był Bartłomiej Misiewicz, szef gabinetu politycznego ministra Antoniego Macierewicza. Zdziwiło mnie, że zagajał, jakbyśmy się znali co najmniej ze sto lat.

Minister Kownacki powiedział wprost, z czym dzwoni?

Tak. Zaczął od tego, że minister Macierewicz jest wściekły na tę sytuację, ale też na mnie osobiście, że poszedłem do mediów z informacją o rezygnacji.

A poszedł pan?

O odejściu szefa Sztabu Generalnego mówiło się już kilka tygodni przed publikacją artykułu w „Gazecie Wyborczej”. Podobnie zresztą jak o moim. Ja nie zabierałem głosu. Zdaje się, że to sam Misiewicz potwierdził w mediach, że to była decyzja generałów, którzy sami złożyli wypowiedzenia. Mam wrażenie, że dopiero gdy informacja poszła w świat, zorientowali się, że strzelili sobie gola. Wtedy zaczęła się próba odkręcania.

Kownacki był miły?

Na tyle, na ile potrafił w tym zdenerwowaniu. Prosił, żebym wydał oświadczenie, że nie złożyłem wypowiedzenia. Najlepiej żebym zrobił to poprzez media. Nie wiedział, że jestem już w domu, 500 kilometrów od Warszawy. To był piątek wieczorem, a ja na weekendy zawsze wracałem do żony i dzieci. Później był kolejny telefon, żebym dementi o odejściu zamieścił na stronie Inspektoratu Uzbrojenia.

Coś obiecywał?

Nie musiał. Szczegóły mojego odejście były uzgodnione prawie pół roku wcześniej. Mieliśmy niepisaną umowę, że do końca roku pracuję na najwyższych obrotach i zamykam mu budżet. Później bez rozgłosu żegnam się ze stanowiskiem i wyjeżdżam na placówkę za granicę. Myślę, że wszystkim to było na rękę. Mnie już męczyła szarpanina i ciągłe odpieranie nacisków. A oni mieli mnóstwo stanowisk nieobsadzonych i mało kandydatów spełniających kryteria.

Czy Kownacki w czasie tej grudniowej rozmowy straszył pana?

Nie. Myślę, że czuł dyskomfort, bo nie był w tej sytuacji samodzielny. Działał pod presją ministra Macierewicza i atmosfery tamtego wieczoru.

A jaka była rozmowa z Misiewiczem?

Krótką. Powiedziałem mu, że rozmawiałem z ministrem Kownackim i on już zna moją decyzję. I że skoro on sam potwierdził, że złożyliśmy wypowiedzenia, to niech teraz sam dementuje. Dodałem: „Pół roku siedziałem cicho i teraz też nie będę się w tej sprawie wypowiadał”.

Z artykułu wynikało, że wypowiedzenie złożył pan na początku grudnia.

Tak jak mówiłem, pierwszą rozmowę o odejściu odbyłem z ministrem Kownackim dokładnie 2 sierpnia. Mam to zapisane w kalendarzu. Wiedziałem, że z tą ekipą współpracy na dłuższą metę nie będzie. Lojalnie powiedziałem, że mogę dociągnąć sprawy do końca roku. „A jeśli pan uważa, że trzeba mnie odsunąć wcześniej, to proszę bardzo, to jest pana decyzja. Ale deklaruję, że odpowiedzialnie zrealizuję budżet i chcę odejść bez rozgłosu”. On na to: „A co by pan chciał dalej robić?”. Powiedziałem, że mógłbym pojechać na placówkę. Skomentował jednym zdaniem: „Dobrze, przyjmuję to do wiadomości”. Formalny dokument o odejściu wraz z prośbą o skrócenie okresu wypowiedzenia do końca marca złożyłem 5 grudnia. To

też było uzgodnione. Chciałem zostać w Inspektoracie do końca corocznej kontroli Najwyższej Izby Kontroli. Dostać oficjalne *carte blanche* w postaci absolutorium NIK o wykonaniu budżetu zgodnie z przepisami. I wtedy odejść.

Jak pan się dowiedział o swojej dymisji?

16 grudnia w piątek, dokładnie o godzinie 21.50 zadzwonił do mnie zastępca dyrektora Departamentu Kadr MON. Znamy się osobiście, bo byliśmy razem na kursie językowym w Kanadzie, ale tym razem nie było uprzejmości. Bez żadnego wstępu przeczytał mi decyzję ministra obrony narodowej.

Osobiście było mi przykro, bo właśnie tego dnia została zatwierdzona ostatnia korekta planu modernizacji technicznej. Minister już wiedział, że po raz pierwszy w historii uda się wydać na wojsko ustawową kwotę 1,95 procent PKB. Absurdalne było też to, że w kadrach leżał mój wniosek o odejście, a minister w świetle kamer informował, że mnie odwołuje.

Po trzydziestu jeden latach wzorowej służby, krótko po tym jak minister Kownacki w ocenie rocznej pracy wystawił mi ocenę wzorową, zostałem zwolniony ze stanowiska przez telefon.

Rezerwa kadrowa?

Tak, rezerwa kadrowa. Ale sądzę, że nie wiązano ze mną żadnej przyszłości. Oficera przenosi się do rezerwy kadrowej wtedy, kiedy jest zamiar wyznaczenia go na inne stanowisko, a w przypadku zamiaru zwolnienia przenosi się go do dyspozycji. W moim przypadku już nie było woli wyznaczania, tylko zwolnienie. Po prawie roku pracy z tą ekipą już wiedziałem, na co ich stać. Przez weekend obdzwoniłem podwładnych i zarządziłem zbiórkę Inspektoratu na poniedziałek, na 7.30. Nie chciałem dopuścić do sytuacji, że znikam bez pożegnania i podziękowania moim ludziom za ciężką pracę. Widziałem, jak zwalniali innych, i nie liczyłem na przewidziane regulaminem pożegnanie przed frontem jednostki z udziałem

przełożonego. Miałem rację.

Jak się pan czuł, jadąc do pracy w poniedziałek?

W Iraku przekonałem się, że zagrożenie tylko mobilizuje mnie do działania. W poniedziałek okazało się, że decyzji o dymisji fizycznie nie ma. Za to w moim gabinecie jest już nowy szef Inspektoratu Uzbrojenia.

W jakim trybie przejął obowiązki?

W żadnym. Więc mówię: „Panowie, żeby przekazać obowiązki, muszę mieć decyzję. Jak będzie pisemna decyzja, to robię to natychmiast. Przecież ja odpowiadam za majątek, za pieniądze i tak dalej”. Musiałem poruszyć niebo i ziemię, żeby dostać formalne postanowienie, czyli pisemną decyzję MON.

Miał pan wtedy kontakt z ministrem Kownackim?

Nie. Mój sekretariat przekazał mi tylko, że był telefon z sekretariatu pana ministra z informacją, że nie jestem mile widziany na wigilii, którą organizuje pion sekretarza stanu. Dopiero kilka dni później udało mi się umówić z panem ministrem. Spotkaliśmy się 23 grudnia. Zniosłem mu wtedy opłatek i dokument z kilkoma tezami, jak usprawnić pracę Inspektoratu. To taki standard w USA, że osoba odchodząca zostawia swoje spostrzeżenia, które mogą poprawić funkcjonowanie instytucji. Przez pięć lat zdobyłem wiedzę i miałem sporo uwag. Uznałem, że szkoda, żeby się to zmarnowało. Na koniec spotkania minister Kownacki powiedział mi: „Pan nie był z mojej bajki, ale szanowałem pana za fachowość”.

Ministrant z prawem głoszenia religii katolickiej, żołnierz, który nie zapisał się do PZPR, oficer po najlepszej amerykańskiej uczelni wojskowej. Czego panu brakowało?

Sam nie wiem. Ale opowiem panu anegdotę. W swoim sekretariacie minister Kownacki zatrudniał przez chwilę znajomą, która działała z nim

w Katolickim Stowarzyszeniu Młodzieży. Na oko sześćdziesięcio-, siedemdziesięcioletnią panią, która do swoich obowiązków podchodziła poważnie. Pamiętam, jak bardzo się cieszyła, kiedy dowiedziała się, co to jest Storczyk.

Kwiatek?

Na początku też tak myślała. Ale Storczyk to również system łączności niejawnej, który w MON umożliwia dzwonienie między gabinetami ministrów.

To jest skomplikowane?

Wystarczy podnieść odpowiednią słuchawkę telefoniczną i wykręcić numer. Na początku tego wszystkiego nie wiedziała, bo sekretariat, tak samo jak całe Ministerstwo, był przejmowany w biegu. A tu telefon z MON i prośba, żeby minister Kownacki zadzwonił do ministra Macierewicza „po Storczyku”. Opowiadała mi, że zapytała z poważną miną: „A skąd mam storczyki wziąć? Tu żadnych kwiatów nie ma”.

Żartuje pan z niej czy ze mnie?

Z nikogo nie żartuję. Opowiadam prawdziwą historię. Tej pani już nie ma w sekretariacie, ale jak pracowała, to ucinaliśmy sobie długie pogawędki, bo do ministra nie wchodziło się z marszu. Kiedyś wspomniała mi, że działała z Bartkiem – była chyba po imieniu z ministrem Kownackim – w Katolickim Stowarzyszeniu Młodzieży. Wspomniałem, że również mam taki epizod w życiu. W młodości udzielałem się w środowisku oazowym. Opowiadaliśmy sobie o pielgrzymkach do Częstochowy z lat 80. i atmosferze tam panującej.

Był pan na pielgrzymce?

Trzy razy z rządu. Pierwszy raz w 1983 roku. Wejście do Częstochowy to było duże przeżycie, bo to była też manifestacja patriotyzmu. Razem ze

mną chodził na te pielgrzymki Kazik Drozd, dzisiejszy przewodniczący PiS-u w moich rodzinnych Żarach. Żartuję sobie, że jak minister Macierewicz będzie odbierał mi emeryturę, to wezwę Kazia na świadka. Wracając do sekretarki pana ministra, w czasie tych moich opowieści o pielgrzymkach powiedziała do mnie nagle: „To pan z naszych”.

Najwyraźniej jednak nie.

Szkoda, że polityczna lojalność okazała się ważniejsza od słowa, które zostało dane. Nowa ekipa odcięła się od nie swoich. W mojej ocenie styl przejęcia urzędu w listopadzie 2015 roku był nieelegancki. Bardziej przypominał przejmowanie kraju od okupanta niż demokratyczną zmianę warty. Teraz do części korytarza zajmowanej przez ministra Kownackiego dostęp mają tylko zaufani. Karty pozostałych pracowników nie otwierają drzwi. Wcześniej ten, kto miał przepustkę MON z odpowiednio wysokim dostępem, mógł wejść przynajmniej do sekretariatu.

Każda ekipa miała swoich.

Służyłem w wojsku ponad trzydzieści lat. Przeżyłem dwa systemy, kilka rządów – od lewicy do prawicy. Nawet za pierwszego PiS-u nie było takiego upolitycznienia, takiego podziału armii. My, jako żołnierze, nie powinniśmy być sympatykami jednych czy drugich.

Macierewicz

Rozmawiał pan z ministrem Macierewiczem?

Gdyby nie afera z caracalami, to nie wiem, czy w ogóle miałbym okazję się z nim spotkać. O moim istnieniu przypomniał sobie w październiku 2016 roku, kiedy rząd zerwał kontrakt z Airbusem. Wtedy dla odmiany zacząłem być częstym gościem w siedzibie MON przy Klonowej.

Macierewicz nie chciał spotkać się z człowiekiem, który w imieniu resortu obrony wydawał kilka miliardów złotych rocznie?

Nie miałem z nim kontaktu prawie rok. Kiedy wreszcie zostałem wezwany na Klonową, bardzo się zdziwiłem, bo okazało się, że sprzed wejścia do części zajmowanej przez ministra zniknął poczet zdjęć jego poprzedników po 1989 roku. Zamiast nich ustawiono tablicę smoleńską i pozostawiono miejsce na biało-czerwony bukiet.

Jeśli minister nie rozmawiał z panem o przetargu na caracale, to skąd miał wiedzę na ten temat?

Kiedy słuchałem pana ministra Macierewicza, to miałem wrażenie, że mówił językiem dwóch przegranych w tym przetargu oferentów.

Może znał dokumentację również dzięki Wacławowi Berczyńskiemu^[*]?

Nie wiem, czy znał ją sam Berczyński. Z mojego punktu widzenia historia jest krótka i dosyć klarowna. Chyba w grudniu 2015 roku dostałem informację od dyrektora Centrum Operacyjnego MON, że mam przekazać całość dokumentacji w sprawie caracali na Klonową. W tym czasie toczy się proces ze Świdnikiem o unieważnienie przetargu. Dlatego kategorycznie odmawiam. Mówię dyrektorowi: „Nie przekażę wam dokumentacji, ponieważ na każde żądanie sądu muszę być w gotowości do przekazania dokumentów. Jedyne, co mogę zaproponować, to kopie”.

Jaka była reakcja?

Z początku jest twarde „nie”, ale po jakimś czasie okej, mogą być kopie poświadczone za zgodność z oryginałem. Lojalnie uprzedzam: „Panowie, tylko czy macie świadomość, o jakiej ilości mówimy? Ponad sto tysięcy stron dokumentów. Czy na pewno chcecie wszystko?”.

Ile tygodni trzeba było to kserować?

Przez trzy tygodnie skserowaliśmy dwadzieścia jeden tysięcy stron. Od rana do wieczora pracowało przy tym kilku pracowników. Trzeba mieć świadomość, że to są dokumenty o różnych klauzulach poufności. Nawet złożone oferty były zastrzeżone i dodatkowo chronione tajemnicą przedsiębiorstwa. Każdą skserowaną stronę trzeba było opieczetować, nadać jej numer, rejestrować w ewidencji kancelarii tajnej. Nawet ksero musi być dopuszczone przez służby, to nie może być pierwsza lepsza kserokopiarka.

Szaleństwo.

Postępowanie trwało od 2012 roku. Tysiące stron stanowiła sama korespondencja z oferentami. Wszystko oklauzulowane, bo wszystko od początku prowadzone w trybie zastrzeżonym. Chodziło między innymi o to, żeby oferenci nie manipulowali postępowaniem poprzez przecieki do prasy, co wcześniej nagminnie zdarzało się przy ważnych przetargach.

Do 2015 roku nie wyciekł żaden dokument z postępowania. A po tym kserowaniu jeden z materiałów pojawił się w tygodniku „W Sieci”.

Ciekaw jestem, czy Żandarmeria w ogóle zajęła się tą sprawą. Boję się, że nie. Ale wróćmy do meritum. Po trzech tygodniach tego szaleństwa zadzwoniłem i powiedziałem: „Panowie, opanujcie się, bo moi ludzie nic nie robią, tylko non stop kserują te strony. Kancelaria tajna jest sparaliżowana”.

Opamiętali się?

Nie od razu. Dopiero jak dokumenty zalały ich kancelarię przyjmującą, przyszło otrzeźwienie. I wtedy na scenę wkracza pan Berczyński. Do Inspektoratu ponownie zadzwonił dyrektor Centrum Operacyjnego MON i zapowiedział, że przyjedzie Berczyński i będzie wskazywał moim

ludziom, co ma być kserowane. Oddzwaniam i pytam: „Panie pułkowniku, po pierwsze, czy pan Berczyński jest pracownikiem Ministerstwa Obrony Narodowej? Po drugie, czy posiada poświadczenie bezpieczeństwa?”.

Jaka była odpowiedź?

Ogólnie żebym nie robił kłopotów. Krótco po tym Berczyński przyjechał do Inspektoratu.

Jakie zrobił na panu wrażenie?

Nie mógł na mnie zrobić wrażenia, bo ja go nawet nie przyjąłem. Przyjął go mój zastępca, ale z tego, co pamiętam, i tak nie uzyskał wtedy wglądu w dokumentację. Rozpoczęło się tylko przesyłanie wybranych dokumentów na Klonową.

Słyszał pan o nim wcześniej?

Nie. Jedyne, co wiedziałem, to że jest człowiekiem od Misiewicza. Ministra podobno obowiązuje to samo prawo co mnie, ale Berczyński dostał glejt od ministra i dopiero wtedy mógł zacząć grzebać w przesyłanej dokumentacji. Nie sądzę, żeby ją dokładnie poznał. Musiałby spędzić nad nią kilka miesięcy.

Czyli od początku chcieli dostępu do dokumentów?

Wojna o wgląd do papierów toczyła się do samego końca mojej pracy w Inspektoracie. Nie godziłem się na dostęp do postępowań osób bez uprawnień. Minister Kownacki zgromadził wokół siebie zespół młodych oficerów, których z racji ich zachowania szybko ochrzczono „radą komisarzy ludowych”.

Ludzie do zadań specjalnych...

W większości młodzi pułkownicy, którzy awansowali w ciągu ostatniego roku. Błyskawiczne kariery. I ci ludzie zaczęli zarzucać Inspektorat

poleceniami o przekazywanie różnych dokumentów. Formuła była taka: „Proszę mi przesłać ofertę na Poprada. Proszę mi przesłać wymagania na Orkę”. Powiedziałem kategorię „nie”, wręcz poszedłem na udry. Zadzwoił do mnie radca koordynator i pyta, czemu ja im utrudniam pracę. Zacząłem tłumaczyć: „Ja wam nie utrudniam pracy, tylko proszę uregulować sytuację pod względem prawnym. Proszę, zapiszcie w decyzji 72., że szef Inspektoratu udostępnia pionowi sekretarza stanu dokumentację wszystkich postępowań, i po sprawie”. Na dziś to szef Inspektoratu jest depozytariuszem wiedzy i zaufania, które okazują firmy, składając swoje oferty. Składają je do inspektora uzbrojenia i oczekują, że zgodnie z prawem ich dane będą chronione.

Czyli chcieli jak Jarosław Kaczyński, „bez żadnego trybu”.

Jeśli minister chce dokumentację, to może ją dostać. Ale trzeba dopełnić formalności. Nie może być tak, że papiery krążą bez kontroli. Nie wiadomo, kto i w jakim celu je przegląda. Trzeba napisać upoważnienia, podpisać zobowiązanie o nieudostępnianiu osobom niepowołanym. Latami wypracowaliśmy te procedury po to, żeby przetargi odbywały się w przejrzysty sposób, bo to buduje zaufanie do instytucji.

A jak to teraz wygląda?

Nie wiem. Być może wraz z moim odejściem skończyły się problemy „komisarzy”.

A z Misiewiczem jak się panu układało?

Nie układało się. I to od samego początku. W drugim dniu swojego urzędowania przysłał mi listę rzeczy, które chce wiedzieć o Inspektoracie. Już z pytań wynikało, że w ogóle nie ma pojęcia o naszej pracy.

Ale taki szef gabinetu politycznego ministra to jednak jest święta krowa.

Niestety zawsze tak było, bo to ludzie, którzy mają ciągły dostęp do ministra i kształtują jego poglądy. Zakres wiedzy, którą chciał pozyskać Misiewicz, był ogromny. Dzwonię do niego i czuję, że mam do czynienia z ignorantem. Na dodatek w ogóle nie słucha, co do niego mówię.

I jak pan z tego wybrnął?

Wezwałem swoich ludzi i mówię: „Panowie, skoro on nie wie, czego chce, to dajemy, co mamy, ale nie robimy «głupizny», czyli sążnistego raportu, którego i tak nikt nie przeczyta. Jak będzie mało, to się uzupełni”. No i poszło. Zgodnie z moimi oczekiwaniami, bez echa, jak do studni. Nikt nigdy już o to nie zapytał.

Myśli pan, że on to przeczytał?

Nie sądzę. Później się okazało, że każdej jednostce kazał pisać takie raporty. To była próba zorientowania się, czym zajmują się poszczególne instytucje, bo po prostu tego nie wiedział.

Jakieś inne kontakty z Bartkiem?

Drobny incydent w czasie ćwiczenia Anakonda, kiedy w wąskim przejściu na wieży obserwacyjnej na poligonie drawskim nie przepuściłem go przed sobą, tylko jako generał wszedłem pierwszy. Najwyraźniej go to zirytowało. Kolejny kontakt to był październik 2016 roku na Klonowej, kiedy siedziałem w fotelu i oczekiwałem na audiencję u Macierewicza, ale to tylko kurtuazyjne „dzień dobry”.

Dlaczego minister obiecał, że kupi śmigłowce w Mielcu?

O tym, że minister obiecał kupić produkowane w Mielcu śmigłowce Black Hawk, dowiedziałem się tak samo jak pan w czasie konferencji prasowej. Pamiętam, że miałem w gabinecie włączony TVN24 i nagle to usłyszałem. Przyznaję, że mnie zamurowało. I utwierdziło w przekonaniu, że złożenie dymisji było jedynym możliwym rozwiązaniem.

TVN24? Przecież Inspektorat podlegał logistycznie Garnizonowi Warszawa, a jego dowódca generał Robert Głęb pisemnie rekomendował podwładnym czerpanie wiedzy o świecie z TVP Info.

U mnie w gabinecie najczęściej włączony był TVN24. TVP Info przestałem oglądać krótko po zmianie ekipy rządzącej, bo uznałem, że stacja przestała mieć związek z rzetelnym informowaniem. Krótko po przeniesieniu do rezerwy kadrowej, kiedy pojawiłem się w gabinecie, żeby zabrać swoje rzeczy osobiste, mój następca miał już włączone TVP Info.

Przetarg

Wróćmy do caracali. Ile trwały przygotowania do przetargu^[]?**

Przygotowanie postępowania zbiegło się w czasie z powstaniem Inspektoratu Uzbrojenia, czyli rokiem 2011. W maju 2012 roku ogłoszono przetarg w trybie postępowania kodeksowego. Zakup został wyłączony spod Ustawy Prawo zamówień publicznych, co pozwalało uniknąć niektórych formalnych ograniczeń. Pierwsze przymiarki do zakupu zaczęły się w 2008 roku, kiedy powstał Narodowy Program Śmigłowcowy. W zasadzie jeszcze wcześniej, kiedy rząd chciał wybrać jednego producenta do zaspokojenia potrzeb śmigłowcowych wszystkich służb. Pojawił się pomysł połączenia zakupu śmigłowców dla wojska z tymi dla Lotniczego Pogotowia Ratunkowego. LPR przekonało jednak decydentów, żeby ich zakup odbył się w innym trybie, i z koncepcji jednego producenta przeszliśmy do koncepcji jednej platformy, czyli jeden typ śmigłowca w różnych konfiguracjach, na przykład do zwalczania okrętów podwodnych, ale również do transportu żołnierzy.

PiS krytykuje dziś ten pomysł.

Ale to właśnie w czasach rządów PiS-u został on sformułowany. Przetarg od początku był bardzo trudny. Kłopot polegał na bardzo dużym zainteresowaniu mediów i silnych naciskach związków zawodowych. Moim zdaniem gra toczyła się nie o te dwadzieścia sześć, jak ustalono początkowo, czy siedemdziesiąt śmigłowców, jak zdecydowano później. Firma, która wygrałaby ten przetarg, właściwie zdominowałaby nie tylko dostawy dla wojska, ale pośrednio również rynek cywilny. Presja była tak niewyobrażalna, że postępowanie stało się nawet przedmiotem kampanii wyborczej, co ostatecznie doprowadziło do jego anulowania. Moim zdaniem, gdyby przetarg nie odbywał się podczas kampanii wyborczej, dzisiaj wojsko odbierałoby pierwsze nowe śmigłowce.

Minister Macierewicz mówi, że to wina Tuska, bo kupił sobie za ten przetarg stanowisko w UE.

Kiedy to słyszę, to po prostu się uśmiecham, bo byłem w samym środku wydarzeń i widziałem, jak zapadały decyzje. Czarnym koniem postępowania był Świdnik. Gdyby nie złożył wadliwej oferty, to walka konkurencyjna z Airbusem byłaby ciekawa.

W jakim sensie wadliwej?

Po pierwsze, oferowany śmigłowiec AW149 nie był jeszcze gotowym produktem, ale jego wizją zmaterializowaną w prototypie. Zaoferowali wyrób w trakcie rozwoju, więc nie mogli swoich śmigłowców dostarczyć na czas, to jest w 2017 roku. Stąd w ofercie pojawiła się propozycja, że pierwsze pięć sztuk, które nie spełniają jeszcze wszystkich wymagań, przekażą w 2017, a właściwe dostawy zaczną się od roku 2019. To w oczywisty sposób było niezgodne z warunkami przetargu.

Cały czas twierdzą, że mają ten śmigłowiec.

Dlaczego więc w nowym postępowaniu już nie oferują AW149, tylko AW101? Swoją drogą sprawdzony i cieszący się dużym uznaniem

śmigłowiec. Gdyby zaproponowali go od razu, postępowanie skończyłoby się pewnie inaczej. Pomijając kwestię zaoferowanej maszyny, oferta Świdnika nie spełniała kryteriów formalnych. Była tak zwaną ofertą alternatywną, a takiej warunki przetargu nie dopuszczały. Ponieważ nie spełniali naszych warunków, więc zaproponowali własne rozwiązania. Co ciekawe, w trakcie wielomiesięcznych negocjacji nie podnosili kwestii problemów z terminową dostawą. Wręcz przeciwnie, zapewniali, że wszystko jest okej.

Może nie było sensu upierać się przy tych dostawach od 2017 roku. Za chwilę koniec roku i wojsko jakoś może się obejść bez tych śmigłowców.

Wojsko może również obejść się bez czołgów, a nawet bez karabinów, po prostu nie będzie ich miało. Ale czy o takie wojsko nam chodzi?

Mielec ma maszynę i to sprawdzoną w boju. Dlaczego nie wybraliście śmigłowca Black Hawk?

Ideą przetargu jest kupowanie tego, co jest nam potrzebne, a nie tego, co ktoś chce nam sprzedać.

Amerykanie używają ich od lat i są zadowoleni.

Amerykanie używają również wielu innych typów śmigłowców. Stać ich na to, żeby do każdego zadania dedykować inny typ maszyny. My szukaliśmy platformy uniwersalnej. Firma Sikorsky uznała, że najlepszym rozwiązaniem dla polskiej armii będzie Black Hawk, choć śmigłowiec był po prostu za mały na nasze potrzeby i dobrze o tym wiedzieli. Z analizy rynku wychodziło, że w ofercie Sikorsky'ego istnieje śmigłowiec, który spełniał wymagania. Mogliby zaoferować S92. Maszynę nowej generacji. Nawet przywieźli go kiedyś na targi w Kielcach. Ale wycofali się z tego pomysłu, bo uznali, że jest drogi i z tym produktem nie wygrają albo nie będą mieli takiego zysku, jakiego oczekują. Wyszli z założenia: damy, co

mamy i co się nam najbardziej opłaca, i tak będą musieli wziąć. Oni też budowali presję za pośrednictwem prasy, związków zawodowych i lokalnych polityków.

Czy te kilka centymetrów w wielkości kabiny blackhawka powinno decydować?

Zacznijmy od tego, że zaoferowany przez Mielec śmigłowiec to nie jest ten sam Black Hawk, którego używają Amerykanie, tylko S70i. Black Hawk, czyli UH60, to wojskowy śmigłowiec, który za granicę sprzedawany jest przez rządowy program FMS. A śmigłowiec S70i podlega sprzedaży przez Direct Commercial Sales, czyli może je kupić właściwie każdy. Różnica wynika z wyposażenia. UH60 ma wiele systemów objętych ograniczeniami w dostępie do sprzedaży.

W Mielcu twierdzą, że to nieprawda, a Inspektorat się myli, bo nie przeprowadził uczciwych testów możliwości ich produktu.

Nie było testów, bo oferta Mielca również nie spełniała kryteriów formalnych. Przede wszystkim nie obejmowała całości wymagań. Na platformie, którą oferowali, nie byli w stanie zbudować śmigłowców morskich. A ideą tego postępowania było właśnie takie rozwiązanie. Dzięki jednej platformie mieliśmy oszczędzać na serwisie, szkoleniu personelu, a w czasie wojny mieć gwarancje, że będzie łatwo dopasować części, bez biegania po magazynach, bo w jednym śmigłowcu mamy taką przekładnię, a w drugim już inną. Dlatego co najmniej 50 procent części miało być takich samych. I nie więcej niż dwa typy silników.

W przetargu na dużego fiata zaproponowali małego fiata.

Tak mniej więcej to wyglądało. Liczyli, że uda im się nas zmusić do zmiany wymagań. Związki nacisną, zaprzyjaźniona prasa pomoże i MON się ugnie. Zresztą Świdnik robił to samo. Naciskali, zamiast dostosować się do wymogów przetargu. AW101 był większą i dużo droższą maszyną, więc

go nie oferowali.

Airbus też nie jest święty, caracali w wersji morskiej też nie było.

Tak, to prawda. Nikt nie posiadał dokładnie takiego śmigłowca, jakiego potrzebowaliśmy. Wszyscy musieli dostosowywać swoje wyroby. Realność wymagań to głębszy problem systemu zakupów. Ale trwały już nad nimi zaawansowane prace. Zobowiązali się, że zostaną dostarczone na czas. Koszty kar za nieterminową dostawę były tak wysokie, że jestem przekonany, że dotrzymaliby zobowiązania. Ja nie jestem tu adwokatem Airbusa, tylko strażnikiem przejrzystości postępowania i środków publicznych.

Skoro widział pan te problemy, to dlaczego nie próbował ich rozwiązać przed składaniem ofert?

Dość długo obserwowałem ten przetarg jako bierny uczestnik. Jako zastępca szefa Inspektoratu byłem odpowiedzialny za inny pion i inne postępowania. Spadkobiercą problemu zostałem dopiero w kwietniu 2014 roku, kiedy musiałem czasowo zastępować szefa Inspektoratu, a od lipca 2015 roku zostałem jego szefem.

Czy caracale to dobre śmigłowce?

Nie jestem ekspertem w zakresie śmigłowców i moja opinia opiera się głównie na wypowiedziach pilotów, z którymi rozmawiałem. W tym tych dwóch, którzy byli w składzie komisji przetargowej, oraz kilku innych, którzy mieli kontakt z tą maszyną. Nie spotkałem się z negatywną opinią o caracalu od pilotów, choć prasa branżowa wskazywała też na jego ograniczenia.

Co się stało z pilotami, którzy zasiadali w komisji?

Chyba nic złego, to znaczy nie dotknęła ich ręka sprawiedliwości

ludowej, jak to było w przypadku niektórych osób pracujących przy tym przetargu. Na przykład szefa techniki lotniczej skierowano do jednostki wojsk pancernych w Żaganiu. Został tam asystentem dowódcy do spraw lotnictwa.

Przecież w Żaganiu nie ma żadnego lotnictwa, chyba że po godzinach kleją latawce.

A co mieli z nim zrobić w dywizji pancernej? Człowiek po WAT, świetny specjalista od zakupów, po wielu kursach w Stanach Zjednoczonych. Jak mało który oficer naprawdę przygotowany do pozyskiwania sprzętu. Sam nie wiem, czy ten Żagań to była „nagroda” za caracale czy za udział w przetargu na remont tupolewa, bo i takie były plotki. Pod koniec pracy w Inspektoracie udało mi się go ściągnąć z powrotem do Warszawy, bo potrzebowaliśmy pomocy w nowym przetargu na śmigłowce.

Czy to prawda, że jedna z osób pracujących przy tym projekcie poszła pracować do Świdnika?

Prawda. Ale chyba nie na długo. (śmiech)

Pomijając fakt, że to etycznie wątpliwe, to chyba niezgodne z prawem?

Mnie jako żołnierza obliguje art. 122a Ustawy o służbie wojskowej żołnierzy zawodowych, który mówi, że przez trzy lata, od kiedy zakończę pracę w Inspektoracie, nie mogę podjąć pracy w przedsiębiorstwach zbrojeniowych. Osoba, o której rozmawiamy, była pracownikiem cywilnym i nie miała takich ograniczeń. To pokazuje, że brak jest rozwiązań prawnych, które chroniłyby pracę instytucji wydającej prawie 8, a w bliskiej przyszłości 11 miliardów złotych rocznie.

Caracali nie ma. Blackhawków nie ma. To co będzie?

Pamiętam, że jak po unieważnieniu przetargu na caracale usłyszałem

w Mielcu ministra Macierewicza mówiącego, że za chwilę kupimy black hawki, to poczułem zażenowanie. Już wtedy wiedziałem, że to jest blef. To tak samo nierealne, jak niedawna deklaracja ministra, że do końca roku będzie umowa na okręt podwodny.

Dlaczego minister to mówi?

Nie mam pojęcia. Zasada zawsze była taka, że minister przed ogłoszeniem planu jakichś zakupów najpierw uzgadniał to z Pionem Modernizacji, w tym z IU. Myślę, że minister Macierewicz nie bierze odpowiedzialności za swoje słowa. Nauczył się funkcjonować tak, żeby mówić to, co ludzie chcą usłyszeć.

Paradoksy

Dlaczego wojsko?

Z pasji, chęci sprawdzenia się, samorealizacji, ale też z potrzeby hierarchii, działania w grupie. Trochę też z przyczyn prozaicznych. Ale raczej nie dla pieniędzy. Tata był pracownikiem nadleśnictwa. Nie byliśmy jakoś szczególnie bogaci, ale stać nas było na więcej niż średnio. Zresztą wtedy w wojsku nie było kokosów.

Lubi pan hierarchię?

Wydawało mi się, że tak. Do czasu, aż zajrzałem do swojej teczki personalnej. W opinii, która decydowała o przyjęciu mnie do wojska, specjaliści z pracowni psychologicznej w Zielonej Górze jako jedyny kontrargument na „nie” wskazywali moje problemy z uznawaniem autorytetów.

Niezależność?

Psycholog stwierdził, że mam problemy z adaptacją i uznawaniem przełożonych. Krótko mówiąc – buntownik. Muszę przyznać, że pociągała mnie praca w służbach specjalnych, takie szpiegowskie klimaty. Po latach, kiedy zobaczyłem, jak od środka wygląda praca służb, zrozumiałem, że moje postrzeganie wywiadu było romantyczne. Dziś uważam, że ludzie ze służb są odpowiedzialni za wiele złych rzeczy w siłach zbrojnych. Nie rozumieją swojej roli, a nawet często świadomie wypaczają sens swojej pracy.

Jak decyzja o wstąpieniu do wojska miała się do pana zaangażowania w Kościele?

W tamtym systemie były dwie rzeczywistości. Oficjalna i nieoficjalna. Niby był komunizm, a kościoły pękały w szwach. Byłem wychowany w rodzinie katolickiej, praktykującej i dość blisko Kościoła. Przez siedemnaście lat, czyli przez prawie całe dzieciństwo i młodość, byłem ministrantem. Angażowałem się w ruch oazowy. Wszystko to razem doprowadziło do tego, że w 1984 roku biskup Wilhelm Pluta, ówczesny ordynariusz zielonogórsko-gorzowski, nadał mi misję kanoniczną do głoszenia religii katolickiej. Mam na to świadectwo.
[Generał idzie do swojego gabinetu i wraca z dokumentem].

Teologia dogmatyczna – bardzo dobry, Pismo Święte – bardzo dobry. Zna pan Pismo Święte na pamięć?

Na tyle, na ile trzeba było, znałem. Zaangażowanie w Kościół, wychowanie w domu dawały mi taką siłę, żeby na przykład odmówić wstąpienia do partii, choć właściwie taki był w wojsku wymóg. Nigdy nie ukrywałem, że noszę medalik.

Jeden paradoks mamy z głowy. Przejdę do drugiego. Jak marzenia o szpiegowskich misjach mają się do pana ostatecznego wyboru, czyli szkoły dla kwatermistrzów? W wojsku nazywają was

„gaciowi”.

Szkoła kwatermistrzowska to był pragmatyczny wybór. Kolega taty był szefem zaopatrzenia mundurowego w Wojskach Ochrony Pogranicza i przekonywał ojca, że to dobra robota. Mój chrzestny też był po szkole kwatermistrzowskiej. Namówili mnie. Nie żałuję tego wyboru. Uważam, że szkoła kwatermistrzowska w Poznaniu była naprawdę dobra. Teraz już jej nie ma. Nawet ulicy nie ma, bo za patrona miała Świerczewskiego. Byliśmy jedyną szkołą wojskową, może samochodówka była drugą, które nie miały u siebie kierunku politycznego.

Ale indoktrynacja była.

A u pana w szkole nie indoktrynowali? Nie miał pan lektur o wspaniałych sowieckich bohaterach? U nas raczej nie było wielkiego ideologicznego przegięcia. Raz tylko miałem ścięcie w związku z religią. To była końcówka PRL-u, rok 1988. Pułkownik Cieślak, mój opiekun na kierunku mundurowym, przychodzi na zajęcia, widzi u mnie medalik i mówi: „Obywatelu podchorąży, czas byłoby się zdecydować, opowiedzieć, po której pan jest stronie. Przepisy ubiorcze nic nie mówią na temat medalika”. A ja na bezczelnego: „Obywatel pułkownik ma na ręku zegarek i obrączkę, na ten temat też nic nie ma w przepisach”. Tak go zirytowałem, że wyrzucił mnie z zajęć. Na korytarzu spotkałem wykładowcę, z którym działałem w naukowym kole podchorążych. Usłyszałem od niego słowa, które okazały się prorocze: „Nie martw się, to już długo nie potrwa”. Nie wiem, co miał wtedy na myśli – czy to, że Cieślaka wyrzucą, czy że system upadnie. W każdym razie system upadł.

Minęły dwa lata. Mój rocznik ma promocję. Dumnie odbieram świadectwo ukończenia szkoły i dodatkowo dyplom magistra ekonomii. Podchodzi do mnie Cieślak i mówi: „Adam, chciałem cię przeprosić, takie były czasy”. Ta historia utwierdziła mnie w przekonaniu, że w życiu trzeba iść za tym, w co się wierzy, a nie za czasami.

Karp

Do jakiej armii pan trafił?

Sprawnej. Ciągłe szkolonej. Jako prymus na swoim kierunku miałem możliwość wyboru jednostki. Większość prymusów szła do urzędów centralnych. Lepsze pieniądze, mniej pracy. Ja wybrałem 42 Pułk Zmechanizowany w Żarach. Taka wielka fabryka, tylko wojskowa. Pułk, który non stop ćwiczył na poligonach. To oczywiście odbywało się kosztem życia rodzinnego, ale dawało poczucie siły i pewności, że daje się radę.

Ze wszystkim?

Najsłabszym ogniwem zawsze jest człowiek. Armia była z poboru, ze wszystkimi wadami tego systemu. W jednostce funkcjonowały areszty, na porządku dziennym była fala. Nie wszyscy dobrze znosili rozłąkę z rodziną, bo pobór był eksterytorialny. Ci z południa jechali na północ i odwrotnie. U nas w większości służyli żołnierze ze Śląska i górale. Dwie kompletnie różne nacje. Łączyło ich jedno – w większości to byli pechowcy, którzy nie dostali się na studia albo nie udało im się wymigać, albo mieli wyroki i woleli już pójść do wojska. Nie okłamujmy się, procent chętnych do wojska był niski. Większość szła, bo musiała.

A wy musieliście poddać ich obróbce.

To była szkoła życia. Dla mnie również, bo ja musiałem ich ubrać, nakarmić. Żeby mieli gdzie i pod czym spać. A czasem nawet pochować na koszt państwa. No jak w domu, tylko że w tym domu mieszkało i pracowało tysiąc pięciuset ludzi. Do obowiązków kwatermistrzostwa należało też prowadzenie gospodarstwa rolnego, w którym hodowaliśmy świnie, żeby było czym wojsko wykarmić. Gospodarstwo było tak duże, że po wśłodki do cukrowni jechało się w konwoju trzydziestu ciężarówek.

Piękna, choć ryzykowna fucha.

Dokładnie. Nie dla każdego, bo wymagała dużej odporności na różnego rodzaju propozycje korupcyjne typu: „Weź mi tu napisz, że przywiozłem dwanaście ton ziemniaków, a będzie sześć ton zdrowych i sześć ton zgniłych, to się później protokół napisze i nikt się nie zorientuje”. Wiele karier na takich ziemniakach się złamało.

Niezbyt dobrze wspominam te czasy. Wojsko nie powinno hodować świń, tylko szkolić się do obrony kraju.

Dziś stołówki wojskowe są pozamykane, a na poligon trzeba brać catering. W czasie wojny też zamówicie catering?

No niestety przegięliśmy w drugą stronę. Wszystko jest fajnie, kiedy jesteśmy w garnizonie. Schody zaczynają się w momencie, kiedy brygada czy pułk idzie w pole. Mam poważne wątpliwości, czy ludzie, którzy są dziś na etatach kucharzy, potrafiliby cokolwiek sami ugotować. Przyzwyczaili się, że muszą tylko wydać przywiezioną rację. A w czasie wojny... Strach się bać. Żołnierz na suchej racji wytrzyma tydzień, dwa. Po dwóch tygodniach albo zastrzeli kucharza, albo sam zacznie gotować.

Które lata z pana perspektywy były najgorsze dla wojska?

Środek 90. Tak gdzieś od 1993 do 1998 roku. Wszystkiego brakowało. Wszystko trzeba było załatwiać. Nawet oficjalnie był to okres „przejściowych niedoborów”. Rząd uznał, że wojsko można utrzymać metodą niskonakładową. Stawki żywieniowe były na granicy minimum socjalnego. Jakbyśmy nie mieli własnych tuneli foliowych, to zieleninę oglądalibyśmy tylko na zdjęciach.

Albo na kotlecie.

Aż tak źle nie bywało. Przynajmniej nie u nas. Może nie zawsze było smaczne, ale nigdy nie było zepsute.

Mój sąsiad był w tym czasie w wojsku. Co dwa tygodnie dostawał przepustkę do domu po wałówkę.

Pieniądzy było tak mało, że trzeba było prowadzić jednostkę „metodą gospodarczą”. To kolejny oficjalny eufemizm. W praktyce wyglądało to tak, że jeśli w obieralni ziemniaków był grzyb, to namawialiśmy dostawcę ziemniaków, żeby ufundował jednostce płytki. A żołnierze, jak nie chcieli iść ćwiczyć się w polu, to mogli ćwiczyć się w układaniu tych płytek. Jak się trafił jakiś sprytniejszy żołnierz, to załatał dach, odmalował hol. Zawalił się garaż, to żołnierze szli i odbudowywali.

Bez żadnych papierów, bez pozwoleń?

Dokładnie tak. Jak trzeba było zrobić miejsca parkingowe pod czołgi, to brało się batalion szkolny i wysyłało na drogę, gdzie były ponemieckie trelinki. Jak poszło ośmiuset elewów i każdy przyniósł pięć trelinek, to na rano cztery tysiące kostek już było. Siatka się przechylała, a nie było pieniędzy na nową, to jechaliśmy do prezesa lokalnej firmy i proponowaliśmy: „Jak nam płot wymienisz, to będziesz mógł tam sobie porozwieszać reklamy”. Wszystko odbywało się na pograniczu sponsoringu nierejestrowanego. Wtedy wydawało się to naturalne, że jak jest święto brygady, to wędliny, wódkę przywiezie za darmo dostawca. Cały ten system ocierał się o patologię.

A narkotyki kiedy się pojawiły?

Nie doświadczyłem narkotyków. U nas długo tego problemu nie było. Ślązacy potrafili dać w kość, wypić, ale z narkotykami był spokój, choć mieliśmy tych najgorszych ze Śląska. Sporo po wyrokach, z przeszłością. Górali też nie ciągnęło do narkotyków. Górale to w ogóle byli najlepsi żołnierze. Jak siedziałem w komisji poborowej, to górali wybierało się na przykład do straży pożarnej. Straż pożarna to zawsze oczko w głowie szefa sztabu w jednostce. Tacy ludzie do specjalnych poruczeń, od podlewania kwiatków, umycia samochodu dowódcy.

**Dziś jeszcze by nie wyschła woda na samochodzie dowódcy,
a już byłby telefon z mediów.**

Wiadomo. Inna armia, inne relacje. Dzisiaj za te same rzeczy dowódca dostałby zarzuty, a wtedy nikt nawet nie zwracał uwagi, choć wszystko działo się na oczach ludzi. Bo jak ukryć, że pięciuset żołnierzy sprząta po Przystanku Woodstock? Nikt nie widział w tym nic złego.

Korupcję widzieli?

Jak mówiłem, to nie była korupcja. Kiedy na budowę w jednostce wchodziła firma budowlana, to robotnicy mieszkali na terenie koszar, by obniżyć koszty, bo na rynkowe ceny nie było nas stać. Później ludzi, którzy podejmowali takie decyzje, ciągnano po sądach za przysporzenie korzyści dla przedsiębiorcy.

Takiej armii już bym nie chciał, bo to nie było normalne. A na koniec jedną decyzją zlikwidowano garnizon i cały ten majątek od lat niszczeje. Zostawiłem tam jedenaście lat swojego życia. Serce pęka, ile razy przejeżdżam obok koszar w Żarach.

Dużo się zmieniło od tamtych czasów?

Tych dwóch rzeczywistości nie można nawet próbować porównywać. Dzisiaj jest nie do pomyślenia, żeby żołnierz nosił buty po poprzednikach. W latach 90. to był standard. Trzy, cztery roczniki chodziły w jednych butach. Na przysięgę żołnierz dostawał nowe, żeby rodzina widziała, że nie jest źle. Po przysiędze oddawał je do szatni, a na co dzień chodził w używanych. W tamtych czasach funkcjonowało pojęcie magazynu wymiennego. Do takiego magazynu przynosiłeś swoje zużyte buty i nie dostawałeś nowych, tylko stare, ale naprawione.

Majtki też się nosiło po kimś?

A dlaczego nie. Przecież prane. Mundury się cerowało. A w „strategicznych” sytuacjach wojsko zamiast na ćwiczenia szło na grzyby.

Z głodu?

Nie, z lizusostwa. Najczęściej był to eksport grzybów do Warszawy, dla jakichś oficjeli. Przyjeżdżała ważna komisja z Warszawy i szła informacja, że są na autostradzie na takim a takim kilometrze. I o określonej godzinie ma tam być umyślny z grzybami.

Haszek umiera z zazdrości.

Niejedna historia pachniała Szwejkiem. Pamiętam, że mieliśmy kiedyś ważne ćwiczenie z forsowania Odry. Dla podniesienia rangi ćwiczenia obok punktu obserwacyjnego zbudowano oczko wodne i wpuszczono wielkiego karpia, żeby ważny generał widział, że wojsko się nie tylko ćwiczy, ale potrafi wyjść z „inicjatywą estetyczną”. Po tego karpia trzeba było jechać kawałek. Pamiętam, że kupiliśmy go gdzieś pod Krosnem.

Brzmi jak żart.

Dziś też tak to widzę. Już nie pamiętam, co się stało z tym karpem. Generalnie dla dodatkowego uatrakcyjnienia ćwiczeń w kulminacyjnym momencie nadleciał śmigłowiec, z którego ze spadochronem wyskoczył skoczek. Wykonał popisowy manewr i wylądował koło tego oczka.

Armia była duża, na awans czekało się chyba dłużej niż teraz?

Niektórzy wręcz nie mogli się doczekać. Mieliśmy takiego oficera, Burkot się chyba nazywał. Dość długo nie awansował z porucznika na kapitana. Wreszcie skierowali go na tak zwaną akademię polową do Centrum Doskonalenia Oficerów. Ale też go nie awansowali. Aż któregoś dnia pochwalił się, że mu kapitana dali. Kadrowiec Rysiek Jończak mówi: „Kurde, żadne kwity nie przyszły”. A Burkot pokazuje książeczkę z „wbitym” kapitanem. Przez parę miesięcy w jednostce wszyscy byli przekonani, że awansował. Na koniec okazało się, że tego kapitana sam sobie zrobił – napisał stopień w książeczce i podbił dwudziestogroszówką. Ostatecznie usunęli go ze służby.

Armata

Zawsze mówię, że studia skończyłem dzięki armii. Wizja, że mnie wezmą w kamasze, dawała mi ogromną motywację do nauki.

Jak pomyślę, że w takich warunkach miałby służyć mój syn, to też bym nie chciał, żeby poszedł do wojska. Wtedy naprawdę czasy były ciężkie. Jak się młode wojsko schlało, to lekarz postanowił ich leczyć roztworem wodno-solnym. Cud, że żadnemu się krzywda nie stała. Rzygali jak koty.

Szorstka terapia.

Ogólnie było szorstko. Warunki trudne. Poranną zaprawę żołnierze robili w zwykłych butach. W jakim były stanie, już panu mówiłem. Jak komuś obtarły nogi, to lekarz przepisywał mu trampki.

To jakieś lekarstwo?

Na lekarstwach też się oszczędzało. Żołnierz dostawał oficjalny wpis do książeczki: „Zwolnienie z obuwia twardego, obuwie miękkie”, czyli mógł na zaprawie biegać w trampkach. I to była cała recepta, jaką lekarz wojskowy przepisywał żołnierzom. Może nie poprawiał im się stan stóp, ale samopoczucie na pewno.

Onuce jeszcze wydawaliście?

Onuce wychodziły z wyposażenia stosunkowo szybko. Żołnierzowi należało się dziewięć par na okres służby. Z czasem dostawał część skarpet, część onuc. Aż wreszcie zaczęliśmy wydawać tylko skarpety. Z takich reliktywów zaczerpniętych ze wzorców Armii Czerwonej najdłużej utrzymał się pas ze skrótem WP, czyli Wojsko Polskie. Nasi nowi sojusznicy odczytywali to jako Warsaw Pact [Układ Warszawski] i to ostatecznie przypieczętowało los pasów. Z użycia wyszły bodajże jesienią 2002 roku.

Fala to też wschodnia praktyka.

Był taki moment, że fala była straszna i wielu żołnierzy przypląciło to zdrowiem. Dochodziło do prawdziwych dramatów. Mieliśmy nawet przypadek zastrzelenia jednego wartownika przez drugiego. Były samobójstwa, kradzieże broni.

Przy broni żarty się kończą.

Z bronią to jeszcze pal łącho. Nam wyszło przy jednej inwentaryzacji, że brakuje materiałów wybuchowych. Pamiętam jak dziś, bo to było 15 sierpnia 1999 roku. Podchodzi do mnie mój zastępca i mówi: „Szefie, jest problem, Żandarmeria przyjechała i mówią, że brakuje nam pięćset kilo plastiku”. Dostali cynk i przyjechali. Od razu wiedzieli, co sprawdzać: „Otwórzcie magazyn, wyciągajcie trumny”.

Trumny?

Ładunki wydłużone, które nakłada się na czołgi idące na przeprawę minową. Pudła na ładunki z wyglądu trochę przypominają trumny. Przed polem minowym pojemnik się otwiera i ładunek jest wystrzeliwany raketowo.

I jak się pan z tego wywinął?

Okazało się, że saperzy odpalili materiał luzem bez pudła, ale w ewidencji tego nie odnotowano. Jedna pusta trumna została i ciągle była liczona. Byliśmy już w erze gospodarki ograniczeń, materiałów używało się od święta. Magazynier, który się zorientował, że ma braki, schował tę pustą trumnę pod spód i miesiącami nikt się nie połapał. Dopiero przed inwentaryzacją chciał przenieść odpowiedzialność wyżej i doniósł o tym Żandarmerii.

Zgubić pół tony plastiku to kryminał.

Proszę pana, to jest nic. Jako materiałowiec przeszedłem

rozformowywanie jednostki do zera. To jest dopiero doświadczenie. Armatę nawet zgubiliśmy. D-44, ciągnioną.

To taka, na której woziło się trumny oficjeli?

Taka sama. Przeciwpancerna, jeszcze z czasów drugiej wojny światowej. Kaliber 85 mm. Kiedyś to była bardzo dobra armata właśnie dla dywizjonów przeciwpancernych. Miała długie płozy stabilizacyjne, więc nawet długi nieboszczyk się mieścił. W komplecie do każdej armaty był ponton do przepraw przez rzekę. Ale oczywiście przez tyle lat każdy, kto jechał na wczasy, na ryby, pożyczał ponton, i w efekcie wszystkie pontony w pułku wyginęły jak mamuty. Wszystko było fajnie aż do momentu pełnej inwentaryzacji. Zaczyna się szukanie...

...i pontonu nie ma.

Magazynier wyciąga dokumentację i mówi, że do armaty przysługuje ponton, a tu całe pokolenia bez tych pontonów funkcjonowały. W związku z tym jest już szkoda. Kłopot jak cholera, ale za chwilę wychodzi większy, bo okazuje się, że nie tylko nie ma pontonów, ale brakuje jednej armaty.

Grubo.

Grubo. Okazało się, że jednej armaty chemicy od lat używali do ćwiczeń z dezaktywacji broni chemicznej. Stara armata, pozbawiona cech używalności, więc szef szkolenia, do niedawna dowódca 34 Brygady, Krzysiu Prokopowicz, przy robieniu porządków kazał wywieźć ten złom. Wywieźli, sprzedali, pieniądze wzięli, nie wiadomo, co z nimi zrobili. Ja likwiduję brygadę, a w ewidencji armaty nie ma. Co z tego, że funkcjonuje w piątej kategorii, ale dalej to jest uzbrojenie.

Co to znaczy piąta kategoria?

Piąta kategoria, czyli niezdatna do użytku. Gdyby była pozbawiona cech bojowych, byłby mniejszy problem. Niestety w papierach nie było

adnotacji, że jest pozbawiona cech bojowych, na przykład ma zaspawany zamek albo przewierconą lufę. Kilka segregatorów kwitów trzeba było wyprodukować, żeby to odkręcić.

Na pontonach i jednej armacie się pewnie nie skończyło.

No gdzie tam. Mieliśmy dziewięćdziesiąt bojowych wozów piechoty [BWP]. Trzy bataliony. Jeden był na chodzie, a dwa dogorywały w magazynach. Ale na papierze wszystko działało. Miała je przejmować 17 Brygada z Międzyrzecza. Przyjechali ludzie od Różańskiego, który dowodził 17 Brygadą, z jasną instrukcją, że mają brać tylko sprawne albo wcale.

A połowa nie działa.

A połowa nie działa. Sprzęt był eksploatowany przez batalion szkolny, maksymalnie zajeżdżony. Myśmy mieli po ośmiuset, po tysiąc elewów na jednym turnusie. Ciągłe coś psuli, a jak zepsuli, to się dogadywali z kim trzeba, wykręcali sprawne części z tych BWP-ów z magazynów i po paru latach stała tam już tylko kompletna ruina.

Gdyby Różański wziął zepsute, sam miałby problem.

Dlatego trzeba to było mądrze rozwiązać. Jak przyjechali do mnie, zaprowadziłem jednego z ich techników do pomieszczenia, w którym zgromadziliśmy wszystko, czego nie było nigdzie w kwitach. Hełmofony, noktowizory, taki dorobek pułku, można powiedzieć. W każdej jednostce był taki nieoficjalny magazyn. Jak zobaczył te wszystkie skarby, oczy mu się zaświeciły. Umowa była taka: „Ja ci daję cały nieoficjalny magazyn, a ty bierzesz BWP-y i nie wnikasz w ich stan techniczny”. Tak temat BWP-ów przestał istnieć. Śmieję się czasem, że jestem łysy, bo przy reformowaniu brygady garściami rwałem sobie włosy z głowy.

Kiedy brakuje jakiegoś elementu uzbrojenia, to jest kłopot. Ale jak jest czegoś za dużo, kłopot jest podwójny, bo coś trzeba przecież z tym zrobić.

W czasie rozformowywania brygady znaleźliśmy karabin czołgowy WKM zagubiony chyba dwadzieścia lat wcześniej. Już nawet najstarsi w pułku nie pamiętali dokładnie okoliczności. Był okres, że WKM-y były na stałe zamontowane na czołgach. Później była komenda, że nie mogą być w garażach, bo nie ma właściwej ochrony. Należało je przenieść do magazynów broni i pewno wtedy trafił na strych nad garażami. Za ten karabin ludzie podostawali wyroki, a on sobie spokojnie leżał pod dachem.

Sam się tam nie schował.

No nie. Schowali go szeregowcy, którzy chcieli zrobić dowódcy na złość. Oni poszli do cywila, a dowódca pod sąd. Takie historie pokazują relacje międzyludzkie. Jeśli dowódca nie umiał pociągnąć za sobą żołnierzy, ci potrafili mu bardzo uprzykrzyć życie. Zdarzało się, że pozamieniali zamki do broni w całej kompanii, spuścili mu powietrze z opon. Praca z poborowymi wymagała specyficznych predyspozycji. Nie wszyscy je mieli.

Służby

Mało brakowało, a zrealizowałby pan swoje marzenia o pracy w służbach.

Na szczęście byłem w nich tylko jedną nogą i w ostatniej chwili wyskoczyłem z tego pociągu. Uważam, że była to jedna z najlepszych decyzji w moim życiu. Na pomysł zmiany pracodawcy wpadłem w czasie likwidacji garnizonu w Żarach. Byłem wtedy bardzo zmęczony wojskiem. Zainteresowała się mną Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego, która szukała szefa logistyki do nowo tworzonego oddziału w Zielonej Górze. Sprawdzili mnie i moją rodzinę od podszewki, przeczytali przez wariograf. Wszystko było już uzgodnione, nawet zacząłem dobierać sobie personel, i w tym momencie dostałem telefon od mojego poprzedniego szefa. „Adam –

mówi – a co jakbyś został szefem wydziału planowania w dywizji?”

Czyli awans.

Awans, bo od razu masz etat podpułkownika. Robota ciekawa. Wojsko jest, jakie jest, ale przy służbach to oaza stabilności, bo tam co wybory, to przychodzi polityczna miotła i wymiata. W ABW się na mnie wkurzyli, że im zawracam głowę, ale puścili, bo jeszcze nie wszystkie papiery były podpisane. Poszedłem na szefa wydziału planowania. Ukoronowaniem mojej pracy miało być stanowisko szefa logistyki dywizji. Sprawy potoczyły się jednak w zaskakujący sposób. Wbrew utartym zwyczajom poszedłem na szefa, ale nie logistyki, tylko Sztabu. Sam byłem w szoku. Szef Sztabu Dywizji to stanowisko liniowe dające wyjście na etat generalski.

„Gaciowych” na takie stanowiska nigdy się nie wyznaczało.

Teoretycznie nie. Za piękne oczy tego stanowiska nie dostałem. Generał Waldemar Skrzypczak, który kończył wtedy dowodzenie 11 Dywizją, podjął to ryzyko i myślę, że się nie zawiódł.

Jak się pracowało ze Skrzypczakiem?

Bardzo dobrze. Po pierwsze, bardzo skracał dystans między przełożonym a podwładnym. Proszę nie myśleć, że to brat łata, którego poklepuje się po plecach. On po prostu nie znosił wojskowej celebry. Jego interesowało meritum. Muszę powiedzieć, że Skrzypczak nas wszystkich urzekł. Nie bał się dawać ludziom odpowiedzialności, ale też rozliczał z efektów. Miał wielką charyzmę. Rozmawiał z szeregowcem, za chwilę z pułkownikiem, z generałem i wszystkie relacje były takie same. Jak trzeba było, opieprzył tak, że w pięty szło. Ale potrafił też pochwalić i docenić. Żołnierze go pokochali, mimo że w dywizji był ciałem obcym. Wcześniej zawsze mieliśmy dowódców „wyhodowanych” u nas. A Skrzypczak miał dużo kontaktów w Sztabie Generalnym, w dowództwach.

W odróżnieniu od poprzedników?

Poprzedni dowódcy byli tacy, że cokolwiek przyszło z Warszawy, należało rzucić wszystko i robić właśnie to, bo przyszło z Warszawy. Skrzypczak brał telefon, dzwonił do Sztabu i mówił: „Nie dostaniesz tego jutro, dostaniesz za tydzień”. Zawsze stawał murem za swoimi ludźmi. Dla nas, żołnierzy z 11 Dywizji, to było naturalne, że on tak walczył o honor oskarżonych o ostrzał wioski Nangar Khel. Nieważne, że to nie byli jego bezpośredni podwładni. W jego odczuciu każdy żołnierz, któremu dzieje się krzywda, zasługuje na obronę.

Brzmi jak laurka.

Proszę nie oczekiwać krytyki, bo generała Skrzypczaka znam tylko z dobrej strony. Jestem mu również wdzięczny, że dał mi szansę, ale też wpuścił od razu na głęboką wodę. Na stanowisko wyznaczył mnie w trakcie ćwiczeń Anakonda i już w jego zastępstwie poprowadziłem ostatni element ćwiczenia – koordynację powrotu do garnizonu wszystkich sił transportem kołowym i kolejowym. On sam musiał jechać do Warszawy, bo właśnie się dowiedział, że zostanie dowódcą wojsk lądowych. Prosto z poligonu pojechał do prezydenta. Myślę, że był pierwszym generałem, który pojechał po nominację w ubłoconych butach.

Wówczas, w 2006 roku, w MON trwała wielka wymiana kadr.

Pana też wzięli na casting?

Tak. Jakies trzy, cztery dni po rozmowie ze Skrzypczakiem dostałem polecenie, że mam się stawić w Ministerstwie. Wymiana kadr to eufemizm. To była kadrowa rzeź. Wchodzili oficerowie i po chwili wychodzili bez słowa. Dla mnie to był świat, którego kompletnie nie znałem. Wchodzę do sali. Stół. Za stołem minister Szczygło i chyba dziesięciu albo dwunastu generałów, dyrektor Departamentu Kadr MON, komendant Akademii Obrony Narodowej, szef Sztabu Generalnego. Już nie pamiętam, kto jeszcze. Wchodzę. Ledwo siadłem, a już zaczynają mnie maglować, i to na

ostro. Szczygło się nie odzywał, tylko przeglądał moje papiery i w pewnym momencie powiedział: „Widać generał Skrzypczak wie, co robi. Dziękuję, panie pułkowniku, gratuluję”.

Drugim ważnym momentem w mojej karierze było wyznaczenie na zastępcę szefa Inspektoratu Uzbrojenia, krótko po tym, jak wróciłem ze studiów w Waszyngtonie.

Myślałem, że drugim ważnym momentem był Irak?

Irak, proszę pana, jest poza konkurencją, bo tak się składa, że miałem przyjemność być na najgorszej zmianie w historii tego kontyngentu i wiem, jak smakuje wojna.

A jak smakuje przegrana wojna?

Bardzo gorzko.

Schron

Dlaczego VIII zmiana była porażką?

Sam pomysł ataku na Irak był błędem, który generował kolejne. Mnóstwo błędów popełnili Amerykanie, a my dołożyliśmy jeszcze swoje. Im dłużej trwała misja, tym działa się gorzej. A że nasza zmiana była VIII z kolei, to mieliśmy pecha załapać się na kumulację tych błędów. Jakby tego było mało, w sam środek wojny pojechaliśmy kontyngentem stabilizacyjnym. To nie mogło dobrze się skończyć.

To prawda, że cała wasza artyleria składała się z dwóch moździerzy 60 mm?

Prawda. Więcej panu powiem, mieliśmy te dwa moździerze, ale nie było do nich obsługi. W efekcie, choć nie jestem artylerzystą, razem z szefem

artylerii dywizji strzelaliśmy z tych moździerzy, żeby choć trochę napędzić stracha łobuzom, którzy walili do nas z rakiet kaliber 107 mm, a czasami nawet 240 mm. Na szczęście zawodnych i odpalanych prymitywną metodą.

Byłem tam po waszej zmianie i widziałem jeszcze ślady zniszczeń. Liczba pocisków, która weszła w cel, była imponująca.

Szybko doszli do takiej perfekcji, że potrafili się wstrzeliwać w konkretne miejsca. W trakcie wizyty w bazie irackiego premiera wstrzelili się niemal idealnie. Zresztą takich bolesnych dla nas strzałów mieli więcej. Osobiście zasmakował tego nawet minister Szczygło. Strzelali do nas też z moździerzy 120 mm, co było jeszcze mniej przyjemne niż te rakiety.

Baza była na wyciągnięcie ręki od miasta Diwanija.

I stamtąd regularnie leciały na nas pociski, a myśmy nie mieli czym odpowiedzieć. Po prostu ktoś w Ministerstwie uznał, że w Iraku jest już spokój, i pojechaliśmy jak na spacer. Na miejscu wylądowaliśmy 17 stycznia. Pierwszy ostrzał dostaliśmy już dwa dni później. Ładowali do nas jak do kaczek. Trzecia w nocy – pierwszy atak. Piąta nad ranem – drugi. I tak cztery dni z rzędu. To był dramat. Przede wszystkim ze względu na naszą bezradność. Siedzieliśmy w bazie i chowaliśmy się po schronach jak szczury. Ja osobiście chowałem się do metalowej szafy, jeśli nie zdążyłem do schronu.

Dlaczego do szafy?

Bo była metalowa i dawała jakąś namiastkę ochrony. Oni atakowali głównie nocą, wiedząc, jak destrukcyjnie wpływa to na psychikę. Cały dzień zasuwasz w upale, a w nocy dwa, trzy ataki, więc o spokojnym śnie nie mogło być mowy. Ludzie szybko się załamywali w takich warunkach. Ja wyszedłem z założenia, że sen jest najważniejszy. Kładłem się spać, a jak zaczynał się atak i po gruchoczących o dach odłamkach orientowałem

się, że nie dobiegnę do schronu, to chowałem się do szafy.

Każdy miał inną strategię. Widziałem pułkowników, którzy zamiast we własnych barakach funkcjonowali w schronach: robili sobie posłania, zapalali lampki choinkowe.

Żyli na co dzień w schronach?

Niektórzy budowali dodatkowe schrony w biurach, bo nie byli w stanie psychicznie wytrzymać strachu przed kolejnym atakiem. Jeden z poważnych oficerów kontyngentu poprosił, żeby moi żołnierze zbudowali mu schron nad biurem. Opowiadał mi, że przyjechał do Iraku, bo chciał coś odłożyć. „Córka się hajta. Ja nie przyjechałem ginąć” – mówił. Obstawili mu biuro blockami betonowymi, dach obłożyli workami. Nawet mu sprejem szyld zrobiłem.

Podobało mu się?

Z początku to się pogniewał na mnie, bo uznał, że za mało worków jest na wierzchu położonych. Ale potem po prostu brał laptopa i szedł tam popracować, bo wiadomo było, że na pewno coś poleci w naszą stronę, a tam się czuł bezpieczniej.

Z kolei nasz kapelan, bardzo porządny żołnierz, taki z krwi i kości, sprawę swojego bezpieczeństwa rozwiązał za pomocą dwunastu ryz papieru do ksero.

Nosił je zamiast kamizelki kuloodpornej?

Inaczej to sobie wymyślił. Ustawił swoje łóżko na ryzach papieru – pod każdą nogą trzy ryzy. „Podczas ataku chowam się pod łóżko, a że nie mieszczę się w kamizelce, to sobie podwyższyłem” – wyjaśniał.

Jedni znosili stres lepiej, drudzy całkiem źle, ale takie sytuacje u każdego zostawiają piętno na psychice. Dla mnie najbardziej dramatyczny był 2 lipca, kiedy w czasie jednego ataku w bazę weszło siedemdziesiąt rakiet, a jedna o mało co mnie nie zabiła.

Co pana uratowało, szafa?

Rakiety szły jedna za drugą i szybko się zorientowałem, że to nie przelewki i szafa mnie nie uratuje. W drodze do schronu kolejna rakietka uderzyła w betonową zaporę tuż obok mnie. Siła podmuchu była tak duża, że rzuciło mną o ziemię. Szczęśliwie skończyło się na częściowej utracie słuchu. Czasem, jak się zapominam, to zaczynam bardzo głośno mówić. To dlatego, że siebie nie słyszę.

A innych?

Innych tym bardziej, ale nauczyłem się rozumieć z ruchu warg. Jeśli widzę rozmówcę, to sobie radzę. Ubytek jest tak duży, że chyba będę musiał pomyśleć o aparacie. Taką pamiątkę przywiozłem sobie z Iraku.

Funkcjonowanie w bazie musiało być koszmarem.

Był taki okres, kiedy ponad siedemdziesiąt osób wyjechało z powodów medycznych. Na własne oczy widziałem, jak się łamią charaktery. I to nie tylko szeregowcy pękali. Były momenty, kiedy ludzie w stopniu pełnego pułkownika po prostu nie byli w stanie funkcjonować.

Mieliśmy świadomość, że celują w nas. Koledzy ze zmiany, Sylwek Fabicki i Stasiu Marczyński, zrobili mapę, gdzie trafiały rakiety. Nie wiem, gdzie się podziała, ciekawy dokument. Po każdym ataku nanosili nowe punkty. Cała baza była zryta, ale ostrzał koncentrował się wokół Zatoki Świń.

Czego?

Miejsca, gdzie mieszkał dowódca kontyngentu i wszyscy pułkownicy z command grupy. Żołnierze nazwali ten zakątek bazy Zatoką Świń. Jak się popatrzy na mapę, to po prostu cud, że nic nie weszło w ten kwadrat. Obok wszystko posiekane, a tam, gdzie były te cieniutkie kontenery, nic nie spadło.

Wiedzieliśmy, że terroryści mieli na terenie bazy swoich ludzi, którzy

niby sprząтали, a tak naprawdę ustawiali im cele. Za każdym razem jak chcieliśmy się ich pozbyć, to robili raban, że zabieramy im pracę, że to ucziwi ludzie. Z drugiej strony czynnik oficjalny naciskał, żeby ich nie usuwać, bo wizerunkowo dobrze wygląda, że wciągamy do współpracy lokalną ludność...

...która, idąc do pracy, odmierza krokami miejsca upadku pocisków od ważnych obiektów i podaje korektę terrorystom. A ci walą do was w nocy.

Dokładnie tak było. Do pracy w pralni przyjechała młoda Amerykanka. Zwykła robota. Odbierasz worek z brudnymi mundurami, piszesz kwitek, oddajesz worek z czystymi. Zero wychodzenia poza bazę. Siedzisz jak w biurze. Dwa dni była w bazie i rakieta rąbnęła w pralnię. Mierzone było obok, w teatr.

Jaki teatr?

Budynek z czymś w rodzaju małej sali widowiskowej. W czasie ataku odbywała się tam odprawa z dowódcami. Gdyby rakieta weszła w zaplanowany cel, to tam byłaby rzeźnia. Od samego podmuchu wyleciały drzwi, a generała Antczaka przewróciło na ziemię. Dziewczynę z pralni nasze pielęgniarki kawałek po kawałeczku zbierały do worka. Twardziele wymiękali na widok tego rozkawałkowanego ciała, a one szły i zbierały.

**Pamiętam, że każda śmierć w bazie podnosiła adrenalinę.
Ludzie z nożem w ręku poszliby na wroga.**

W końcu stwierdziliśmy, że nie ma innego wyjścia i musimy prosić o pomoc wojska amerykańskie, bo nas wystrzelają w tej bazie.

Amerykanie byli wkurzeni, bo sami mieli kłopoty, a tu jeszcze musieli ratować nam skórę.

W Niedzielę Palmową przyjechał dowódca amerykańskiej brygady, żeby

porozmawiać o naszej sytuacji. Kiedy on był w dowództwie, jego kierowca siadł na masce humvee, którym przyjechali, i sprawdzał sobie coś w telefonie. Poszła rakietą, odbiła się od betonowego muru i trafiła prosto w niego. Jest Niedziela Palmowa, a dowódca, który przyjechał robić porządki, w pół godziny nie miał już kierowcy.

Kolacja

Dlaczego nic nie robiliście?

A co mogliśmy zrobić? W Diwaniji aż roiło się od rebeliantów, których Amerykanie swoimi ofensywami zepchnęli do tej części Iraku. Mieli małą, nieźle wyposażoną armię, a my dwa moździerze 60 mm i w szczytowym momencie trzystu ludzi do walki.

Kontyngent liczył prawie dwa tysiące osób?

Mnóstwo sztabowców, szkoleniowców i tym podobnych profesji, bo politycy uznali, że misja będzie stabilizacyjna. Decyzja była polityczna, dokonana, moim zdaniem, bez analizy zagrożeń. Nie popisały się również służby, które powinny bić na alarm i pokazać realną skalę zagrożenia. W szczytowych momentach mogliśmy wysłać cztery lub pięć patroli.

Czyli?

Pięć hammerów, w każdym czterech, pięciu ludzi. Na dodatek priorytetem było zabezpieczenie konwojów z Basry, bo musieliśmy przecież coś jeść. Do realnej walki pozostawało osiemdziesięciu ludzi.

Istnieje coś takiego jak posiłki, dowieszenie sprzętu.

Na początku ciężko było się przebić z komunikatem, że my tam naprawdę dostajemy w dupę i to się może źle skończyć. Dopiero jak

generał Skrzypczak zapakował do samolotu i przywiózł do nas ministra Szczygłę, który na własnej skórze odczuł stres ataku mózdzierzowego, nastawienie Warszawy diametralnie się zmieniło. Ale to już była końcówka misji.

Aleksander Szczygło niechętnie opowiadał o szczegółach tamtej wizyty.

Nie było się specjalnie czym chwalić. Pierwsza część dnia po przylocie poszła nawet sprawnie. Minister trochę prężył mięśnie i ogólnie był dosyć bojowo nastawiony, że trzeba działać, na ogień odpowiadać ogniem. Na wieczór zaplanowano kolację w wąskim gronie. Biskup Tadeusz Płoski przyszedł w białej koszuli, bez hełmu, bez kamizelki. Siedzimy, rozmawiamy, wreszcie podali zupę. Kilka sekund później słyszymy świst i gigantyczną detonację. Ochrona rzuca ministra na ziemię. Biskup rzuca się na hełm Skrzypczaka, bo, jak wspominałem, swojego nie zabrał. A Skrzypczak siedzi i spokojnie wachluje zupę, bo on bardzo lubi zupy, a ta była wyjątkowo dobra.

Scena jak z komedii *Bękart wojny*.

Wbrew pozorom sytuacji komediowych nie brakowało. Projektami pomocowymi i szkoleniem irackiej armii zajmował się w kontyngencie pułkownik z Danii. Powiedzmy, że miał duże poczucie własnej wartości i uznał, że koniecznie należą mu się jakieś insygnia władzy.

To znaczy?

Coś, czego nie mają inni, coś, co podnosi status. Czymś takim był na przykład własny samochód. Zresztą tylko do jeżdżenia po bazie, bo poza nią w tych samochodach nie wolno było wyjeżdżać. Baza była mała, a samochód kompletnie zbędny, ale dawał jakąś namiastkę normalności. Poczucie władzy. I ten Duńczyk cały czas pisał do dowódcy kontyngentu, że samochód jest mu niezbędny, a ciągle go nie ma.

Nie mogliście go, brzydko mówiąc, olać?

Nie. Po pierwsze, był bardzo konsekwentny w składaniu kolejnych pism. Po drugie, był nam bardzo potrzebny, bo równie wielką determinacją wykazywał się w pozyskiwaniu środków na odbudowę Iraku.

W kontaktach z Amerykanami, którzy finansowali projekty, nie miał barier językowych i mentalnych. Wyklócał się o każdy traktor. Dowódca uznał, że pan pułkownik nie odpuści. Niemal wyzebrałem ten samochód dla niego, ale załatwiłem. Jak tylko dostał kluczyki, zaraz pojechał na myjnię. Dał obsłudze w łapę, żeby mu też wyczyścili wnętrze. Odebrał auto czyściutkie, wyprane. No igielka. Pojechał na odprawę, zaparkował pod dowództwem. A pół godziny później centralnie w dach jego auta uderzyła rakietą 107 mm. Tylko mu kluczyki zostały na pamiątkę.

Bał się pan?

Tak. Ale wydaje mi się, że całkiem nieźle nad tym strachem panowałem, bo potrafiłem funkcjonować i zarządzać ludźmi. Byli tacy, którzy w tym strachu całkowicie się zatracili. Do niedawna toczył się proces przeciwko sanitariuszom, którzy, jak zobaczyli, że jadący przed nimi humvee wyleciał w powietrze, nie wyszli z wozu, żeby udzielić pomocy.

Jak to nie wyszli?

Widok śmierci, widok rozerwanego samochodu spowodował, że się zablokowali. Nie wykonali rozkazu. Postawiono im zarzuty, bo mieli obowiązek udzielenia pomocy. Od tego byli w kontyngencie. Nie pamiętam, jak skończył się proces. Ale wiem, że potrzebujemy żołnierzy, którzy są przygotowani do tego, żeby walczyć. Misje to najlepszy sprawdzian. Moim zdaniem ten, kto nie był na misji, nie powinien dostawać najwyższych stanowisk, bo nie został poddany próbie. Nie potrzebujemy żołnierzy, którzy potrafią tylko pięknie zrobić defiladę albo wydawać grochówkę na pikniku militarnym.

Woreczek

Sytuacja na misji musiała być frustrująca.

Dla mnie najbardziej frustrujące było to, że oprócz wroga zewnętrznego mieliśmy jeszcze wroga wewnętrznego. W wyniku działań Żandarmerii byłem dwukrotnie przesłuchiwany w prokuraturze na okoliczność wyłudzenia 3 złotych i 50 groszy. Całe poważne śledztwo toczyło się o mniej niż dolara.

Nie wierzę.

Ja na początku też nie mogłem uwierzyć. Zresztą prokurator, który przyjechał z naszym kontyngentem, odmówił wszczęcia śledztwa. Ale ambitni żandarmi go pominęli i puścili kwity do kraju. A tam już się znalazł chętny, żeby zająć się sprawą, a nawet pchnąć śledztwo w kierunku zorganizowanej grupy wśród wyższych oficerów sztabowych.

Wynosili masowo coca-cole ze stołówek?

Gorzej. Wyłudzili siatkowy worek do pakowania brudnych rzeczy. Pamięta pan, jak opowiadałem o pralni, w którą walnęła rakietą? No więc pralnia spaliła się do cna, a wraz z nią całe pranie. Głównie mundury, tradycyjnie zapakowane w siatkowe worki. Amerykanie bez mrugnięcia okiem wypłacali wszystkim poszkodowanym rekompensatę w wysokości bodajże 180 dolarów. Nic nie musisz udowadniać, tylko przyjdź, napisz, że miałeś rzeczy w pralni, i już, bo wraz z pralnią spaliła się również ewidencja. Kwity napisało około trzydziestu oficerów.

Pan też napisał?

Ja nie, ale ci, którzy napisali, bez problemu dostali te pieniądze. Ale żeby ponownie móc oddawać brudy do prania, zgłosili się do magazynu mundurowego i pobrali po jeszcze jednym siateczkowym worku. Bez

takiego worka pralnia nie przyjmowała ubrań. I jakiś Sherlock Holmes z Żandarmerii wpadł na trop tej zorganizowanej grupy przestępczej i złapał ich na wyłudzeniu worków, bo, jak wydedukował, za worek również dostali zwrot pieniędzy.

I tym się zajmowała Żandarmeria na misji?

Tak, zdroworozsądkowy człowiek pomyślałby, że to jest niemożliwe, że to jakiś sen wariata. Ale śledztwo poszło pełną parą. Przesłuchania, protokoły, raporty do kraju. To się idealnie wpisywało w klimat czasów. To był ten moment, w którym służby wiceministra Macierewicza ścigały się na sukcesy z Żandarmerią ministra Szczygły.

Polowanie na brązowe buty.

Tak. Brązowe buty nosili w czasach PRL-u oficerowie, a nowa władza chciała się ich pozbyć z armii. Nie dość, że się obłowili na misji, to jeszcze chcieli po dolarze wyłudzić. Po powrocie do Polski wydawało mi się, że jest po sprawie. Jednak po kilku miesiącach okazało się, że nie. Dostałem z prokuratury w Zielonej Górze wezwanie jako świadek. Ja i wielu innych. Same koszty mojego dojazdu przekroczyły kwotę domniemanego przestępstwa. Wszyscy dostali zarzut wyłudzenia. Na szczęście w końcu nikt nie został skazany, rozsądek jednak zwyciężył.

Zbrodnia i kara.

Ci oskarżeni, jeszcze będąc na misji, jak tylko się dowiedzieli, że są groźnymi przestępcami, to poszli oddać te worki do magazynu. Ale nic z tego. Prokurator uznał, że fakt wyłudzenia miał miejsce. To pokazywało mi, jaką schizę mają ci ludzie na punkcie niszczenia własnych kolegów. Jaką mają mentalność.

Po Iraku byłem przesłuchiwany również w innej sprawie. Najpierw w charakterze świadka, ale sprawa szła w kierunku podejrzenia wyłudzenia należności zagranicznej. Raz w miesiącu lataliśmy na odprawy

do Bagdadu. Na pokładzie śmigłowca najczęściej leciał dowódca kontyngentu, jego dwóch ochroniarzy i ja. Okazjonalnie ktoś, kto miał jakieś zadanie do zrealizowania w Bagdadzie.

Już wiem, wyłudzał pan delegacje.

Gorzej. Według Żandarmerii bezprawnie pobierałem dodatek wojenny. Prokurator, który mnie przesłuchiwał, realia misji znał chyba z opisów w „Polsce Zbrojnej”. Prokurator na misji nie dopatrywał się znamion przestępstwa, ale jego kolega w kraju wyciągnął regulamin ogólny i przeczytał definicję konwoju. Wynikało z niej, że skład konwoju powinien wyznaczać dowódca grupy powietrzno-szturmowej. A ja nie byłem podawany w rozkazie dowódcy konwoju, tylko w rozkazie dowódcy dywizji. W związku z tym pan prokurator próbował wywodzić, że pieniądze mi się nie należały, bo...

...bo według niego pan był tylko pasażerem.

Dokładnie. Oni uważali, że ja byłem konwojowanym, a nie konwojentem. Tłumaczyłem, że po to leciałem z karabinem, żeby w razie ataku bronić siebie i pozostałych członków załogi. I że na wojnie bardzo trudno jest wychylić się z helikoptera i krzyknąć: „Panowie, nie strzelajcie do mnie, bo ja nie biorę dodatku, ja tu na wycieczce jestem”.

Miliard

Co czuje człowiek, który podpisuje przelew na miliard złotych?

Ogromną odpowiedzialność.

Ile to zer, siedem?

Nie wiem, nie liczyłem.

Żartuje pan?

Oczywiście. Ale swoją drogą rzeczywiście mógłbym nie liczyć, bo oprócz mnie każdy przelew muszą zaakceptować jeszcze dwie, trzy osoby. Przelew można zrobić tylko z użyciem karty weryfikacyjnej, sprawdzane są też wzory podpisów. Każdy przelew idzie przez NBP, gdzie jest dodatkowo kontrolowany. Przy takich sumach trzeba do minimum ograniczyć ryzyko przelewu na nieautoryzowane konto.

Ile miliardów miał pan do wydania w 2016 roku?

7,5 miliarda złotych. Jeśli chodzi o sumę przeznaczoną do dyspozycji jednej instytucji, to mogła z nami konkurować tylko Generalna Dyrekcja Dróg Krajowych i Autostrad. Choć też nie jestem pewien, bo oni chyba jednak rozdzielają fundusze na poszczególne dyrekcje regionalne.

Paradoks polega na tym, że Inspektorat Uzbrojenia obraca miliardami, a zakupy dla armii ciągle są robione metodą chałupniczą. Brakuje specjalistów, przepisy są kulawe, pensje za niskie. Długo można by wyliczać mankamenty.

Ilu miał pan ludzi w Inspektoracie?

Etatowo czterystu. Ale do prowadzenia postępowań jakichś dwustu osiemdziesięciu. Z czego około czterdzieści etatów było nieobsadzonych, więc konkretnie dwieście czterdzieści osób, które obsługiwały trzysta osiemdziesiąt aktywnych umów. A tak naprawdę osiemset, bo część była w przygotowaniu albo w fazie analitycznej. I jeszcze projekty, które musieliśmy nadzorować w innych instytucjach, na przykład w Narodowym Centrum Badań i Rozwoju.

A jak to jest w innych krajach?

We francuskiej Agencji do spraw Zakupów Wojskowych po ostatnich cięciach kadrowych pracuje jedenaście tysięcy ludzi, ale to nie ta skala zakupów i inwestycji, żeby się z nimi porównywać. Szwedzi przy podobnym

do nas budżecie i przy znacznie mniejszej liczbie programów zatrudniają tysiąc specjalistów od pozyskiwania sprzętu. Nie wiem, jak to wygląda teraz, ale przed moim odejściem w Inspektoracie Uzbrojenia programem Orka zajmował się jeden człowiek, który miał pojęcie od strony technicznej o okręcie podwodnym. Mógł liczyć na pomoc proceduralną innych, ale dysponentem wiedzy był tylko on.

Mówimy o programie o szacunkowej wartości minimum 10 miliardów złotych.

Takie są realia świata zakupów dla polskiej armii. Ani mój szef generał Sławomir Szczepaniak, ani później ja, nie mogliśmy się doprosić znacznego zwiększenia liczby etatów, mądrzejszych rozwiązań prawnych. Choć muszę przyznać, że za czasów generała Skrzypczaka jako podsekretarza stanu do spraw modernizacji udało się utworzyć kilka dodatkowych zespołów programowych. Taki program stworzyliśmy dla Spike'a, AJT, śmigłowców, OPL i innych. Proces budowy instytucji zakupowej dla Sił Zbrojnych RP nie jest zakończony i powinien być kontynuowany.

Kiedy powstał Inspektorat?

W 2011 roku, i od tego czasu istnieje właściwie w niezmienionej formule. Kiedy atmosfera wokół Inspektoratu zaczęła się psuć, to ludzie po prostu zaczęli stamtąd odchodzić. Po co się szarpać, skoro w wojsku jest wiele spokojnych etatów i nie trzeba się martwić, że człowiek stanie się elementem jakiejś politycznej przepychanki. Prawda jest taka, że mając służby i cały aparat państwa, żołnierza można zdmuchnąć jak świeczkę.

Nie przesadza pan?

Nie. Opowiadam panu konkretne historie. Każda podlega weryfikacji. Alfą i omegą pod względem wiedzy i doświadczenia w Inspektoracie Uzbrojenia był pułkownik Jerzy Pikuła. Zęby zjadł na zakupach dla armii. Fachowiec niepchający się do pierwszego szeregu. Ciężką pracą doszedł do

stanowiska dyrektora Departamentu Zaopatrywania Sił Zbrojnych. Później został zastępcą szefa Inspektoratu. Jakiś miesiąc przed tym, kiedy miał dostać generalską gwiazdkę, wyciągają mu zarzuty. Nie pamiętam szczegółów, ale sprawa dotyczyła kontraktu na rosomaki. Dostaje zarzuty i w związku z tym honorowo postanawia odejść do cywila. Na tydzień przed formalnym odejściem dostaje informację, że prokurator umarza to postępowanie z powodu braku znamion czynu zabronionego. „Przecież nic się nie stało” – usłyszał od prokuratora. Tylko że on już w wojsku pozamykał za sobą wszystkie drzwi, zaczął układać sobie na nowo życie. To tylko jeden z przykładów niszczenia ludzi przez służby.

SKW odebrała generałowi Skrzypczakowi dostęp do informacji niejawnych w związku z podejrzeniami korupcyjnymi. Prokuratura umorzyła postępowanie, bo nie dopatrzyła się znamion przestępstwa. A Skrzypczak w międzyczasie został rozjechany w mediach, uniósł się honorem i odszedł ze stanowiska wiceministra.

Jestem za tym, żeby do żywego mięsa wycinać wszystko, co ma podłoże korupcyjne, złodziei wyrzucać na zbity pysk. Ale nie może być tak, że publicznie się kogoś opluwa, a później w zaciszu prokuratorskiego gabinetu mówi: „Głupia sprawa, wydawało się nam”. W takich warunkach nie można liczyć, że ludzie będą wykazywać inicjatywę.

Doceniam, że mi pan to mówi, ale czy przełożonym też pan o tym mówił?

Do znudzenia. Nawet odchodząc z Inspektoratu, przecież w niezbyt miłej atmosferze, zacisnąłem zęby i napisałem dokument, co należy zmienić w systemie zakupów. Gdzie są rafy tego procesu, na których utknęło ładnych parędziesiąt milionów złotych. Staralem się również walczyć o swoich ludzi, dawać im poczucie, że szef jest po to, żeby brał na siebie

ataki, a oni mogli spokojnie pracować.

Co pan zrobił?

Napisałem do ministra Kownackiego, że proszę o przydzielenie 4 milionów złotych na podwyżki. Na kontrakcie na armatohaubice Krab ścięliśmy cenę o miliard złotych. Miliard na innym kontrakcie, i w tej sytuacji...

...jakoś się pan prześlizgnął nad tym drugim miliardem.

To postępowanie jest w toku. Nie mogę zdradzać szczegółów. No więc minister Kownacki, za co mu jestem wdzięczny, zrozumiał moje argumenty i dopisał żołnierzy Inspektoratu do listy tych, którzy dostają dodatki specjalne. Nie za samą służbę w Inspektoracie, dostają je tylko ci, którzy są członkami komisji przetargowych. Ten dodatek waha się od 300 do 1500 złotych miesięcznie, ale to jest zawsze coś.

Dlaczego zakupy dla armii pełne są tylu nonsensów?

Jak ma pan czterdziestu dwóch gestorów, czyli współdecydujących o tym, co ma być kupione, nie może być inaczej.

A skąd mamy czterdziestu dwóch gestorów, skoro jest tylko pięć rodzajów sił zbrojnych?

Z przepisów, które doprowadziły do rozdrobnienia kompetencji. W czasie przygotowywania postępowania na zakup okrętów Czapla zidentyfikowaliśmy dwunastu gestorów.

Czyli dwanaście instytucji będzie decydowało, w co ma być wyposażony ten okręt?

Tak.

Przecież to absurd.

Od dawna to mówię. Napisałem o tym również w tym piśmie, które zostawiłem ministrowi Kownackiemu. Odszedłem w styczniu, a z tą sprawą jest, jak było. I ja to nawet rozumiem, bo w ten sposób rozmywa się odpowiedzialność. Mój pomysł był taki, żeby zintegrować decyzje w jednej instytucji, najlepiej w Agencji Uzbrojenia.

Czy Inspektorat powinien się też zajmować kwestią badań i wdrażania nowych technologii?

Jak najbardziej. Uważam, że to powinno być w jednym ręku. Dziś kompetencje rozbite są na różne komórki, które słabo ze sobą współpracują. Dlatego jestem zwolennikiem powołania Agencji Uzbrojenia.

I co to zmieni?

Skończy się wymyślanie złotych klamek. Rozmywanie odpowiedzialności. Potrzeby będzie można wreszcie dopasować do możliwości. Sterować zdolnościami tak, żeby przygotowywać polski przemysł pod nowe kierunki rozwoju.

Takie rzeczy można robić i teraz.

Teoretycznie tak. A w praktyce wygląda to tak, że Narodowe Centrum Kryptologii – które kompletnie za nic nie odpowiada, z wyjątkiem wytycznych co do standardów – ustala, że w technologii przesyłu danych w systemach teleinformatycznych obowiązującym ma być standard SCIP. Nowoczesny standard, który NATO dopiero zamierza wdrażać.

Wydaje się, że ma to sens.

Do momentu, kiedy trzeba znaleźć producenta z gotowym produktem. A tych właściwie jeszcze nie ma, bo większość ma urządzenia w fazie prototypu. Z kolei prototypy nas nie interesują.

Dajecie im proste zadanie: wskażcie dostawcę systemu.

Oni mówią, że to wy [Inspektorat Uzbrojenia] jesteście od tego, żeby szukać dostawcy. Nas interesuje tylko standard przesyłu i właśnie taki ma być. Do tego dochodzą okoliczności pozamerytoryczne. Dyrektor Narodowego Centrum Kryptologii to bliski przyjaciel ministra obrony, w związku z tym każde zwarcie wygląda jak kopanie się z koniem – przyjemność z tego żadna, a ryzyko duże.

Co zmienić?

Po pierwsze, przemodelować prawo. Maksymalnie upraszczać procedury. Nie tracić czasu na uzgodnienia do uzgodnień. Stawiać zadania z wyraźnie określonym terminem. BMS, kluczowy system łączności, rzecz absolutnie niezbędną, kupujemy już od jakichś ośmiu lat. Właściwie wciąż jesteśmy w fazie uzgodnień. Sztab Generalny w zasadzie torpeduje ten przetarg od lat, powołując się na technologię, której ciągle nie ma. Z kolei brak BMS blokuje wiele innych przetargów. Rozumiem zarzuty, że postępowania się ślimaczą, że zapadają sprzeczne decyzje, ale przy takiej konstrukcji systemu niektóre pomyłki są nieuniknione.

Do tego dochodzi polski przemysł zbrojeniowy, który ma wielkie ambicje i małe możliwości.

Typowy prezes polskiej zbrojeniówki w ciemno zapewni pana, że jego firma zrobi, cokolwiek pan zechce, tylko dajcie mu zamówienia i wpiszcie jego zakład na listę offsetową. Polski przemysł porywa się na najbardziej zaawansowane technologie, a bardzo często nie ma możliwości ich wdrożenia. Oczekiwania i możliwości kompletnie się rozjeżdżają, bo nikt nie ma politycznej odwagi realnie ocenić, co możemy zrobić, a czego nie damy rady osiągnąć przez najbliższych dziesięć lat i kropka.

Mieliśmy kupować licencje, polonizować produkty. Jakoś tego nie widać.

Tak miało być, ale niestety brakuje determinacji, żeby budować

potencjał właśnie poprzez zakup licencji. Inspektorat Uzbrojenia nie jest instytucją, która ma się opiekować przemysłem, bo tego nie ma w statucie ani w zakresie działania. Politycy naciskają, żeby taką pomoc polskim firmom dawać, ale nawet palcem nie kiwnęli, żeby urząd odpowiedzialny za zakupy zabezpieczyć przed ewentualnymi oskarżeniami albo postępowaniem prokuratorskim za nieuprawnione wspieranie przemysłu.

Po to stworzono Polską Grupę Zbrojeniową, żeby reprezentowała interesy zbrojeniówki.

PGZ w pierwszym wydaniu daleka była od ideału, ale próbowano tam zbudować jakiś potencjał i zespół. Później zmieniła się władza i właściwie wymieniono cały zespół. Dziś jest to zbiór mniej lub bardziej przypadkowych ludzi dobranych z klucza politycznego. O zatrudnieniu Misiewicza szkoda nawet mówić, bo każdy wie, jak to wyglądało. Komisja w składzie trzech kluczowych polityków PiS musiała się zająć jego dymisją.

PGZ trwa dzięki armii, dzięki ogromnym kwotom, które płacimy za ich produkty. Nawet prasa pisała, że jestem jednym z bardziej znienawidzonych ludzi w Hucie Stalowa Wola, bo na kontrakcie na dostawę krabów ściąłem im cenę o miliard.

Przestrzelić kontrakt o miliard to sztuka.

Jako zakład wdrażający produkt dostali zamówienie bez przetargu i postanowili nie zmarnować takiej okazji. Kiedy zobaczyłem pierwszą kalkulację ceny, to powiedziałem: „Dobrze, zapłacimy, ale wcześniej proszę udowodnić mi wszystkie podane przez was koszty. Jeśli twierdzicie, że poddostawca jakiegoś systemu chce 500 milionów złotych, to chcę zobaczyć umowę, w której ta kwota jest zapisana”. Okazało się, że – jak pan powiedział – pierwotna cena była przestrelona.

Brawo, ale jestem pewien, że podobny zabieg moglibyście zrobić

na większości zamówień. Za podstawowy nabój do karabinka przeplacamy kilkakrotnie w stosunku do cen rynkowych.

W każdym państwie działają mechanizmy wspierające budowanie rodzimego przemysłu zbrojeniowego. I jestem przekonany, że tak powinno być. Tylko że u nas działają mechanizmy utrzymywania nie tylko potencjału obronnego. Rozumie pan różnicę?

Przeplacamy, bo jak przestaniemy, to zakłady zbrojeniowe upadną?

Mniej więcej. Branża cały czas mówi, że zaraz stanie na nogi. Tylko że z roku na rok jest gorzej. W produkcji wspomnianej przez pana amunicji ciągle nie jesteśmy samodzielni, a to przecież nie jest jakaś super skomplikowana technologia. Chciałbym, żeby moja siła decyzyjna była taka, że mógłbym do nich przyjechać i powiedzieć: „Panowie, nie kupuję od was, dopóki nie usamodzielnicie produkcji”. Ale niestety tak nie było, bo oni szli do ministra i za chwilę i tak to musiałem kupić. Ogólny kierunek jest taki, żeby polonizować, to jednak wymaga czasu.

Czy to nie jest tak, że część firm po prostu oszukuje państwo, udając, że utrzymuje potencjał, a tak naprawdę nie kontrolują produkcji komponentów?

Dobrze, że pan poruszył ten temat. Kłopot polega na tym, że nie ma jasnych kryteriów. Nabój formalnie powstaje w Mesku, ale proch jest z importu, a łuska od podwykonawcy. Nie ma ustawy o potencjale obronnym. Nie zdefiniowaliśmy, co to znaczy i co dzieje się z pieniędzmi budżetowymi wydanymi na utrzymanie lub ustanowienie potencjału.

Przecież tak naprawdę to podatnik utrzymuje te zakłady.

Jakby się temu uważnie przyjrzeć, to można by dopatrywać się znamion ukrytej pomocy publicznej. I szczerze mówiąc, jestem w stanie godzić się

na takie rozwiązanie, bo stosują je również inne państwa Unii Europejskiej. To naturalny i zdrowy mechanizm zabezpieczania kluczowych zdolności produkcyjnych. Kłopot polega na tym, co w zamian otrzymujemy. Jaka jest wartość tej produkcji, zaawansowanie technologiczne, przydatność w czasie kryzysu i wojny. To jest największy problem, jaki wojsko ma ze zbrojeniówką.

Zakład w Pionkach produkuje proch na linii technologicznej z czasów pierwszej wojny światowej, sprzedanej nam przez Francuzów w 1922 roku.

Polski przemysł zbrojeniowy ma na szczęście wyspy nowoczesności, które w większości powstały dzięki kupionym licencjom. To jest kierunek, w którym powinniśmy iść. Kupować licencje i na ich bazie rozwijać własne produkty. Inaczej nigdy nie dogonimy świata, bo nakłady na innowacyjność w Polsce są ciągle za małe.

Tylko że najnowocześniejszej technologii nikt nie sprzedaje.

Dokładnie. Nikt nie da wszystkiego, zawsze zostawi sobie taki element, żebyś musiał po niego przyjść, na przykład przy zmianie oprogramowania. Dlatego podkreślam, że licencja to początek drogi. Następnie na bazie licencji należy rozwijać własną konstrukcję. Potrafimy to robić. Pokazuje to przykład Rosomaka, którego mądrze modernizujemy. Tylko trzeba stworzyć program, dobrze go finansować, zatrudnić kompetentnych naukowców, a nie uprawiać techniczną partyzantkę. A my zamiast wybrać kilka kluczowych zagadnień i całą energię i finanse skupić na ich realizacji, łapiemy wiele srok za ogon, prowadzimy jednocześnie dziesiątki projektów. Jest ich tak dużo, że finansowanie jest na poziomie przetrwania.

Na świecie projekty zbrojeniowe też ciągną się latami.

Świat jest już w kompletnie innym miejscu. Mierzy się z zupełnie

innymi technologiami, które z naszej perspektywy są kosmiczne. Nasze problemy bardzo często są banalne. Kilka lat temu postanowiliśmy w ramach programu Fenix zmodyfikować poradziecką raketę BM21, której zasięg, jak sama nazwa wskazuje, wynosił 21 kilometrów. Chcieliśmy wydłużyć go do 40 kilometrów.

BM21, czyli córka starej katuszy.

W uproszczeniu można tak powiedzieć. Dokupiliśmy silnik nowej generacji. Zamieniliśmy ten rosyjski na francuski i niestety od pięciu lat nie możemy sobie poradzić z integracją. Ciągłe nie jesteśmy w stanie doprowadzić do tego, że rakietę będzie leciała w sposób kontrolowany, bo leci, gdzie chce, poza granice poligonu, poza granicę stref bezpieczeństwa, spada na cywilnym terenie. Wypraszają nas z kolejnych poligonów. Dwukrotnie strzelaliśmy w Szwecji, ale Szwedzi powiedzieli, że już więcej nas nie przyjmą. Pieniądze nie rekompensują ryzyka, jakie to ze sobą niesie. Mam nadzieję, że te problemy już rozwiązano. Artyleria czeka na rakiety.

A może to sukces, po prostu jeszcze bardziej wydłużyliśmy zasięg.

Przecież świat widzi, co robimy. Rosjanie mają satelity i obserwują takie testy. Później się z nas śmieją, że Polacy po raz kolejny byli na testach i znowu strzelili poza poligon.

Czyli nawet mając gotowy produkt i wzbogacając go o inny gotowy produkt, nie jesteśmy w stanie tego zintegrować?

Dokładnie, i robi to najbardziej wyspecjalizowana w technice raketowej polska firma, czyli Mesko. To pokazuje, gdzie jesteśmy w kwestii technologii raketowych. Dlatego mówię: nie napinajmy się, nie pompujemy się przekonaniem o swojej wielkości. Rozwiązaniem jest praca u podstaw. Uczciwa, zmusna robota bez chodzenia na skróty w ramach dobrze

przygotowanych i mądrze finansowanych programów, które muszą się kończyć wdrożeniem, a nie tylko pracą badawczą.

Jak to możliwe, że odcięta od świata Korea Północna ma tę technikę, a my nie?

Nie wiem, czy to jest odpowiedni model do powielania. Wiem tylko, że u nas szwankuje skupienie na celu. Zmienia się minister, zmieniają się priorytety. Zaczyna się totalne wywracanie do góry nogami programów, zwalnianie ludzi, bo nie „swoi”. Ich miejsce zajmują „swoi”. Z apteki do zbrojeniówki, a dlaczego nie?, w końcu się nauczy. Obrażanie partnerów zagranicznych, brak współpracy resortów. Niewyciąganie wniosków z błędów. Po prostu polskie piekło.

[*] Dr Wiesław Berczyński, od 2016 r. przewodniczący Podkomisji ds. Ponownego Zbadania Wypadku Lotniczego, czyli katastrofy w Smoleńsku, oraz szef rady nadzorczej Wojskowych Zakładów Lotniczych w Łodzi. Wiosną 2017 r. w wywiadzie dla „Dziennika Gazety Prawnej” powiedział, że to on „wykończył caracale”. Mówił też, że Macierewicz poprosił go, by był jego pełnomocnikiem w sprawie śmigłowców. Kilka dni po wywiadzie Berczyński zrezygnował zarówno z pracy w podkomisji, jak i w radzie nadzorczej. Według opozycji jego działania były nieetyczne, bo Berczyński działał na korzyść innego producenta śmigłowców – firmy Boeing, w której był zatrudniony przez prawie 20 lat. Boeing wydał oficjalne oświadczenie, że nie powierzał panu Berczyńskiemu wykonywania żadnych zadań w imieniu firmy.

[**] Przetarg na wielozadaniowe śmigłowce dla wojska rozpisano w 2012 r. Wartość kontraktu opiewała na 13,5 mld zł. W kwietniu 2015 r., pod koniec rządów PO, MON wstępnie wybrało ofertę europejskiej grupy Airbus Helicopters z maszyną H225M Caracal. Odrzucono oferty WSK-PZL Świdnik (własność włoskiego koncernu Leonardo Helicopters, który proponował śmigłowce AW149) oraz PZL Mielec (amerykańska firma Sikorsky z maszyną S70i Black Hawk). Decyzję krytykowali szefowie i związkowcy zakładów, których ofert nie przyjęto, a także PiS. Antoni Macierewicz podkreślał, że śmigłowce powinny być produkowane w polskich fabrykach. Jesienią 2015 r., już za rządów PiS, rozpoczęły się negocjacje w sprawie umowy offsetowej, której podpisanie było warunkiem zawarcia kontraktu. Rok później ofertę Airbusa uznano za „niezadowalającą” i rozmowy zerwano, choć Airbus zapewnia, że zaoferował produkcję w polskich zakładach oraz transfer technologii wartęj niemal tyle samo co śmigłowce. PiS złożył zawiadomienie do prokuratury o możliwości popełnienia przestępstwa przy przetargu przez wymagania preferujące śmigłowiec Caracal.

OSTATNIE ZADANIE

Pierwszy rzut generałów Ludowego Wojska Polskiego to ludzie wojny. Szlak bojowy zaczynali jako szeregowcy, a pod Berlinem byli już majorami. To oni wychowywali dowódców z lat 70., racząc ich w przypiływach nostalgii okopowymi opowieściami w stylu: „Siedzimy pod sztyletowym ogniem faszystów, a mój dowódca mówi: «Wychoy się i zobacz, co się dzieje». A ja mu na to: «Sam się wychoy!»». No i chwilę potem zostałem dowódcą”.

Większość miała twardą rękę, mocna głowę i ogromne doświadczenie wojskowe, ale w sprawach sztabowych myśleli kategoriami drugiej wojny światowej. O tym, jakie mieli zdanie o armii, najlepiej świadczy fakt, że sami nie wysyłali swoich dzieci do wojska. Na początku roku 2000 jedynie generał Piotr Makarewicz mógł się pochwalić, że jest generałem w drugim pokoleniu. Za kilka lat, o ile nie wmiecha się w to minister Macierewicz, w polskiej armii będzie kilku generałów w drugim pokoleniu. Duże szanse i niezłe notowania ma syn generała Waldemara Skrzypczaka – Renart. Jeśli jest choć trochę podobny do ojca, to warto trzymać za niego kciuki.

Współczesnych generałów należałoby podzielić na tych sprzed i po Iraku. Żadna inna misja nie złamała tyłu karier. I nie oszlifowała tyłu świetnych dowódców. Na IV zmianie zabłysnął właśnie Skrzypczak. IX należała do generała Tadeusza Buka, jednego z najlepszych generałów, jakiego miała polska armia.

Generała Skrzypczaka spotkałem, gdy opisywałem jego sylwetkę do „Przekroju”. Zadzwoiłem do niego, kiedy został dowódcą Wojsk Lądowych. Zachęcił mnie jeden z weteranów z Iraku; był na misji, którą dowodził Skrzypczak. Nie mógł się nachwalić, jaki to świetny gość. Drapieżny w dowodzeniu, dla żołnierzy jak ojciec i to taki, który zawsze pomoże. Po prostu skrzyżowanie Pattona ze Świętym Mikołajem. Ze zdjęć bardziej wyglądał na księgowego. Postanowiłem się przekonać, jak jest naprawdę. Umawiając spotkanie, zagrałem va banque. Powiedziałem, że jeśli sylwetka ma być prawdziwa, chciałbym spędzić z nim trzy dni, od rana do wieczora. Liczyłem na trzy godziny, bo takie były wtedy standardy współpracy z generałami. Skrzypczak zastanawiał się jakieś dwie sekundy: „Jutro o dziewiątej rano u mnie w Cytadeli”.

Dotrzymał słowa w 100 procentach. Po tych trzech dniach przekonałem się, że żeby być generałem, trzeba mieć żelazne zdrowie i taki sam tyłek, bo albo siedzi się na naradach, albo gania od jednostki do jednostki po 400 kilometrów dziennie. Generał Skrzypczak lubił dodawać do tego szczyptę żołnierskiego romantyzmu. Potrafił niespodziewanie wprosić się załozde do czołgu albo po żołniersku skomentować jakoś szkolenia ze strzelań, a następnie samemu sięgnąć po broń i władować cały magazynek w tarczę. Otwarcie mówił o problemach armii. W czasie objazdu po jednostkach

mogłem wchodzić tam gdzie on. Jeśli spotkanie dotyczyło tajemnic państwowych, wysyłano mnie na kawę, której wypijałem wtedy pół wiadra.

Notorycznie się spóźnialiśmy, bo generał ciągle spotykał różnych żołnierzy i okazywało się, że nie tylko pamiętał ich imiona, ale kojarzył historyjki z ich udziałem. Podpytywał, jak się służy, czy niczego im nie brakuje, zapisywał uwagi. Szczerze mówiąc, myślałem, że Skrzypczak gra na laurkę, a nie na sylwetkę. Generałowie, których miałem okazję wcześniej opisywać, nie rozpieszczali ani dziennikarzy, ani podwładnych. Niektórzy traktowali żołnierzy jako kłopotliwy dodatek do nużącej pracy. Na pierwszych misjach w Iraku nie mogli się nadziwić, że ich amerykańscy koledzy jadają w tej samej stołówce co szeregowi. A nawet stoją w kolejce, co traktowali jako objaw totalnego upadku i frajerstwa. Skrzypczak takich kardynalnych błędów nie popełniał. Szybko skracał dystans. Swoich najbliższych współpracowników, w większości generałów, tradycyjnie witał słowami: „Czołem nieroby!”. Na co chóralnie odpowiadali: „Czołem, panie generale!”. Naprawdę trudno było go nie polubić.

Z socjologicznego punktu widzenia typowy generał początku lat 90. przypominał polskiego biskupa. Może poza rozbieżnością w masie ciała – generałowie z reguły byli szczuplejsi. Najczęściej pochodzili z małych miejscowości, raczej z rodzin chłopskich, wielodzietnych, niezbyt bogatych. Czasem nawet skrajnie biednych. Dla większości z nich wojsko było nie tyle wymarzoną zawodem, ile szansą na wyrwanie się z biedy. Trampoliną do awansu społecznego. Jeden z generałów w przypiływie szczerości wyznał swoim kolegom, że jego matka nie nakładała sobie na brwi henny, ale z biedy czerniła je pastą do butów. Z trzyhektarowego gospodarstwa musiała utrzymać prawie dziesięć osób. Dzięki wojsku został generałem. Miał pod sobą tysiące ludzi. Większości jego rodzeństwa nie udało się dojść dalej niż do stanowiska głównej księgowej w mleczarni.

Generała Tadeusza Buka pierwszy raz zobaczyłem na ekranie telewizora, mignął mi w serialu dokumentalnym *Kawaleria powietrzna*. Ale dopiero po latach skojarzyłem, że ten mały, ciągle podminowany oficer to on. Moja ulubiona scena z Bukiem to ta, kiedy testuje symulator do strzelań Czantoria. System nie działa, a Buk rzuca karabinem i bluzgami: „K..., tak nie może być!”.

Kiedy w 1999 roku Jacek Bławut robił *Kawalerię*, kończyłem studia i ze zgrozą oglądałem kolejne odcinki, bojąc się, że za chwilę przeczolągają mnie tak jak żołnierzy w tym serialu. Do głowy mi nawet nie przyszło, że będę miał zaszczyt poznać generała Buka. Człowieka, który, jak sam o sobie mówił, „z nudy i przypadku” miał okazję wprowadzać polską armię do NATO. Z nudy, bo z tego powodu zaczął uczyć się angielskiego, a następnie został czołowym

tłumaczem instrukcji obsługi magnetowidów w całej jednostce w Żaganiu. Przypadku, bo kiedy wchodziliśmy do NATO, był akurat na studiach w Stanach. Polska delegacja zapomniała zadbać o kogoś w wojskowym mundurze do oprawy uroczystości, ściągnięto więc jego.

Kiedy w 2009 roku Buk zostawał dowódcą Wojsk Lądowych, uważnie prześledziłem wojskowe fora internetowe. Wyglądało na to, że miał dar zapadania ludziom w pamięć: „Pamiętam pana z Żagania. Niezły skur... z pana był. Myślę, że wielu ma o panu taką opinię, zwłaszcza pobór 1986–1988, 4 Kompania Czołgów. Pozdrawiam”. Ja również go zapamiętałem, ale zupełnie inaczej. Oczytany, inteligentny, z dużym dystansem do siebie i jeszcze większym do armii, którą krytykował za intelektualną miałkość: „Wiem, dlaczego nie uczyli nas myśleć, ale nie wiem, dlaczego nam tego zakazywali?”. Szlag go trafiał, kiedy na biurku miał komputer z zabezpieczoną siecią i spokojnie mógł wysyłać z niego maile, a przełożeni domagali się dokumentów faksem. Skręcało go, że w każdej jednostce stoją komputery, a na ćwiczeniach mapy rysuje się ręcznie jak pięćdziesiąt lat wcześniej. Notorycznie podpadał przełożonym, bo otwarcie krytykował nietrafione zakupy dla armii. Trzeba przyznać, że miał dar wpadania w kłopoty. Na szczęście jeszcze lepiej mu szło cudowne z nich wychodzenie. Przynajmniej do 10 kwietnia 2010 roku do godziny 8.41.

Byłem wtedy na porannych zakupach. Snułem się po sklepie nieświadomy tego, co się stało. Zapakowałem zakupy do samochodu i odruchowo włączyłem radio. Nie mogłem uwierzyć w to, co usłyszałem. Dzwoniłem na jego numer kilka razy, ale abonent był poza zasięgiem. Siedziałem w samochodzie i płakałem.

Po tych, którzy zginęli, przyszli następcy. Politycy postawili na doświadczenie. W wojsku komentowano, że to krok do przodu w latach służby i krok do tyłu w mentalności. Co najmniej w jednym przypadku się mylili.

Generała Mieczysława Cieniucha poznałem krótko po tym, jak został szefem Sztabu Generalnego. Poznałem – to duże słowo. Miałem okazję przyglądać mu się dwie, trzy godziny, kiedy towarzyszył prezydentowi podczas wizyty w jednej z jednostek specjalnych. Pod koniec spotkania znajomy pułkownik zapytał mnie, co sądzę o generale. Odpowiedziałem, że lubi ciasteczka, bo zjadł już trzy i znowu krąży wokół stołu. Chwilę się z tego pośmialiśmy. Na odchodnym znajomy powiedział mi, że pracował dla Cieniucha dwa lata w Brukseli, kiedy ten był przedstawicielem Polski przy NATO i UE: „Ten facet był najlepszą wizytówką naszego kraju, jaką tam poznałem”. Pułkownicy raczej nie chwalaą generałów.

Na osobiste spotkanie z generałem Cieniuchem musiałem poczekać kilka miesięcy. Jako szef Sztabu Generalnego nie miał łatwego zadania. Armia

długo podnosiła się z kolan po katastrofie smoleńskiej. Historia nie zna drugiego przypadku utraty całego dowództwa armii w czasie pokoju. Spotkanie umówiono późnym wieczorem. Pamiętam, że na biurku generała leżała *Biała gwardia* Bułhakowa. Rozmowa była długa. I rozczarowująca. Mile rozczarowująca. Generał Cieniuch miał w sobie spokój człowieka, który wiele przeszedł i jeszcze więcej przetrwał. Podczas wywiadu powiedział: „Wolę widzieć sprawy takie, jakimi są”. I faktycznie nie pudrował rzeczywistości, którą sam przecież tworzył jako szef Sztabu Generalnego. Największy szacunek wzbudziło u mnie nie to, co się ukazało w rozmowie, ale opowieści wtedy poboczne. Zamarzyło mi się, że kiedyś jeszcze o tym z nim porozmawiam. Wywiad zakończyłem pytaniem: „Podobno jest pan uzależniony od słodyczy?”. Odpowiedział, że faktycznie je lubi, ale jest w stanie się opanować. „Żeby nie psuć panu wizerunku żołnierza, to kiełbasę również lubię” – dodał. Wtedy jeszcze nie mogłem wiedzieć, że kiełbasa stanie się tak ważnym elementem naszej kolejnej rozmowy.

Rozmowa z generałem Mieczysławem Cieniuchem



Mieczysław Cieniuch, generał w stanie spoczynku, były szef Sztabu Generalnego. Rocznik 1951. 43 lata służby.

Absolwent kierunku dowódczego Wyższej Szkoły Oficerskiej Wojsk Pancernych w Poznaniu w 1974 r. Studia II stopnia ukończył w Akademii Wojsk Pancernych w Moskwie. Podyplomowo studiował na uniwersytetach w Moskwie, Waszyngtonie i Monterey w Kalifornii.

W wojsku przeszedł wszystkie szczeble dowodzenia: od plutonu do dywizji. Nie ominął też żadnego szczebla w strukturze sztabowej. W 2003 r. został wyznaczony na pierwszego zastępcę szefa Sztabu Generalnego. Przez pierwsze 25 lat był związany z jednostkami Pomorskiego Okręgu Wojskowego. Z sentymentu do tych jednostek do końca swojej służby zakładał niebieski beret, który nosili żołnierze tamtej formacji.

W latach 2006–2009 był przedstawicielem wojskowym przy Komitetach Wojskowych NATO i Unii Europejskiej w Brukseli. Planował przejść na emeryturę, ale po katastrofie smoleńskiej, w której zginęło całe najwyższe dowództwo polskiej armii, jako jeden z najbardziej doświadczonych żołnierzy został

wyznaczony na stanowisko szefa Sztabu Generalnego. Oczytany, spokojny i bardzo inteligentny – tak mówią o nim żołnierze. Starał się trzymać armię z dala od politycznych wpływów. Po zakończeniu kariery wojskowego objął stanowisko ambasadora w Turcji. Od kilku miesięcy nie pełni oficjalnych funkcji.

Juliusz Ćwieluch: Człowiek rodzi się dowódcą?

Generał Mieczysław Cieniuch: Człowiek rodzi się noworodkiem.

Chodzi mi o predyspozycje. Czył pan, że zostanie kiedyś najwyższym dowódcą w polskiej armii?

Żartuje pan. Kiedy byłem porucznikiem, to pułkownik wydawał mi się kimś odległym jak inny kontynent. Jak już zostałem pułkownikiem, to szef Sztabu Generalnego był odległym kontynentem. Później trafiłem na wiele lat do Sztabu, a nawet zostałem pierwszym zastępcą szefa Sztabu Generalnego. Przez kilka miesięcy pełniłem też obowiązki szefa Sztabu Generalnego. Ale muszę przyznać, że nie miałem pokusy zajęcia stanowiska szefa Sztabu. Widziałem, jaka to ciężka i niewdzięczna praca. Nie mogę powiedzieć, że ktoś mi coś proponował, ale w tamtym czasie świadomie poszedłem inną ścieżką kariery. Chciałem zobaczyć, jak to wszystko wygląda za granicą. Bardzo pouczająca lekcja.

W armii miał pan posłuch. O to pytam: czy człowiek się z tym rodzi?

Muszę się przyznać, że na początku nie byłem dobrym dowódcą. Raczej surowym, wymagającym, nieakceptującym żadnych słabości. Chyba mogę nawet powiedzieć, że momentami bezwzględny. Mówię o tym już spokojnie, bo życie mnie wiele nauczyło. To jest odpowiedź na pana pierwsze pytanie – do bycia dowódcą się dorasta. Do każdego kolejnego stanowiska żołnierz powinien dojrzeć. Życie nas po drodze ociosuje i sprawdza. Każdy żołnierz powinien w życiu najeść się trzech rzeczy: strachu, wstydu i kiełbasy. I ja, proszę pana, przez czterdzieści trzy lata służby najadałem się tego wszystkiego po same uszy.

A jak smakuje wstyd?

Jest gorzki. Długo pozostaje w ustach.

Opowie pan o tym?

Od której historii mam zacząć, bo długo można by opowiadać?

To pana wstyd. Proszę samemu wybrać.

Opowiem panu historię, której wstydzilibym się bardziej, gdyby zakończyła się inaczej. Jako młody porucznik dostałem kolejnych ludzi z poboru i trzeba było ich wdrożyć do służby. A służba to regulaminy. W piątek zostawiłem im jeden z regulaminów i zapowiedziałem, że w poniedziałek będą odpytywał. Jak już mówiłem, miałem opinię surowego, więc w zasadzie wszyscy się przyłożyli. Jedni wyuczyli się na pamięć, inni brali na rozum. Lepiej, gorzej, ale umieli. Trzech żołnierzy ze Śląska nie było w stanie odpowiedzieć na żadne moje pytanie. No kompletnie nic. Wziąłem ich na poligon i przećwiczyłem za wszystkie czasy.

Konkretnie.

Dwie godziny ostrego ganiań w gumowanych ogólnowojskowych płaszczach OP-1 chroniących przed skażeniem chemicznym. Do tego maska przeciwgazowa, i biegniemy. Wszystko w pełnym oporządzeniu. Dałem im czas do wtorku, żeby jednak przyswoili sobie ten materiał. We wtorek odpytuję i znowu zero. Żadnego postępu. Wtedy dopiero ich docisnąłem, żeby zachęcić do entuzjastycznego wykonywania rozkazów. Mało ich nie wywróciłem na drugą stronę, taką im dałem szkołę. W tamtych czasach dużą rolę odgrywali podoficerowie, na których oficerowie w większości mogli polegać. Miałem takiego kaprała. Poprosił o rozmowę na osobności i powiedział mi, że bym im odpuścił, bo oni po prostu nie potrafią czytać, tylko wstydzą się przyznać. Zajeżdżę ich na tym poligonie, a oni i tak się tego regulaminu nie nauczą, bo jak.

Głupio.

Nie będę ukrywał, że tak właśnie się czułem.

I co pan zrobił?

To samo, co powinien zrobić każdy dowódca na moim miejscu. Wziąłem pierwszą lepszą gazetę i kazałem im czytać. Z trudem składali literki, ale żeby przeczytać coś ze zrozumieniem, to już nie było szansy. Kupiłem trzy elementarze i co weekend przychodziłem do jednostki, żeby uczyć ich czytać. Brałem ich do kancelarii, żeby nie robić z tego sprawy, i lecieliśmy najpierw z alfabetem, później szły czytanki. Zaczęli łapać i chyba im się spodobało. Nawet można powiedzieć, że zmarnowałem tych ludzi, bo później tylko czytali. Co przyszedłem do jednostki, to widziałem ich z jakąś gazetą albo książką w kieszeni. Wtedy były takie serie literackie, które mieściły się w żołnierskiej kieszeni. Nie sądzę, żeby były specjalnie projektowane pod wojsko, ale tak było.

I czego mamy się nauczyć z tej historii?

Zostawmy czytelnikowi trochę przyjemności, żeby sam odpowiedział sobie na to pytanie. Jak mówiłem, ludzie nie rodzą się dowódcami. Dorastają do funkcji. Trzeba im również dać szansę i czas na to dorastanie. Oczywiście były również sprawy, których wstydzę się do dzisiaj.

Czy to prawda, że pan zablokował awans generała Mirosława Różańskiego, kiedy pierwszy raz był przymierzany do stanowiska dowódcy generalnego?

Prawda.

Czym panu podpadł?

Zaczęliśmy rozmowę od tego, co to znaczy być dowódcą. Dla mnie oznacza to odpowiedzialność. Odpowiedzialność za armię. Ale też za podwładnych. Uznałem, że w tamtym czasie ten awans byłby szkodliwy, zarówno dla niego, jak i dla armii. Ludzi trzeba dostosowywać do zadań. Dowództwo dopiero się tworzyło. Struktura powinna okrzepnąć, a Różański chciał gnać z nowymi pomysłami. Uznałem, że za mało najadł

się tego wstydu i strachu, że musi jeszcze poczekać. Na kilka dni przed wyznaczeniem go na to stanowisko byłem u pana prezydenta i przedstawiłem mu swoją opinię. To nie było nic personalnego.

On to odbierał inaczej.

To tylko potwierdza moje słowa. Dowódca musi mieć w sobie też dużo pokory.

Generał Patton nie miał jej za grosz, ale trudno powiedzieć, że był złym dowódcą.

Nieprzypadkowo na głównodowodzącego siłami alianckimi wybrano generała Dwighta Eisenhowera, a nie Pattona. Patton spełniał się w walce. Eisenhower był bardziej zachowawczy, dzięki czemu lepiej szacował ryzyko. Obserwując dziś generała Różańskiego, dostrzegam, że również lepiej ocenia ryzyko, choć nie stracił zapału do jego podejmowania. Zresztą ostatecznie został dowódcą generalnym i najpełniej mogą go ocenić jego przełożeni i podwładni. Oficer liniowy powinien umieć dwie rzeczy: być dobrym przełożonym i dobrym podwładnym. Reszta cech w tym się zawiera.

Skoro miał pan wątpliwości co do człowieka z jego doświadczeniem, to ciekaw jestem, co by pan powiedział o awansach ludzi, którzy ostatnio zostali generałami.

Nic bym nie powiedział. W normalnych czasach nikomu nawet nie przyszłoby do głowy przedstawić niektórych z nich do awansu. Po pierwsze, byłoby to niezgodne z przepisami. Kryteria awansu na stopień generalski są jasne. Trzeba mieć odpowiednie wykształcenie. Przejść pewne szczeble kariery. Nieformalnym kryterium awansowania na ten stopień powinno być również dowodzenie na misji. Zarówno generał Różański, jak i generał Marek Tomaszycy [dowódca operacyjny Rodzajów Sił Zbrojnych] byli na misjach. To działało na ich korzyść, kiedy zapadały

decyzje o powierzeniu im najwyższych stanowisk.

General Mieczysław Gocuł, którego forsował pan na swojego następcę, w zasadzie nigdy niczym nie dowodził, nie był na żadnej misji.

Człowieka dobiera się do czasów i zadań. W myśl założeń reformy systemu dowodzenia rola Sztabu Generalnego diametralnie się zmieniała. Miał być organem ściśle planistycznym. Reforma wyklarowała również kwestię dowodzenia na czas wojny i jednoznacznie wskazywała, że nie będzie to szef Sztabu Generalnego. General Mieczysław Gocuł to utalentowany planista, dobry dyplomata, biegle posługujący się językiem angielskim. Charakterologicznie stanowił również przeciwwagę dla wymienionych przez pana dowódców. To przesądziło o moim poparciu.

Nie ma pan uczucia porażki? General Gocuł odszedł z armii po angielsku i to w środku kadencji. Od szefa Sztabu Generalnego można oczekiwać więcej w obliczu demolowania armii.

Myślę, że niesprawiedliwie tak to oceniać. Czasy są wyjątkowo trudne dla szefów Sztabu Generalnego. Uważam, że general Gocuł zrobił bardzo dużo dla sił zbrojnych. Jeśli pan oczekuje, że publicznie przyznam się do porażki, to mogę powiedzieć, że jeśli ktoś nie naje się wstydu w armii, to czasem musi odrobić tę lekcję po zdjęciu munduru, ale to zdecydowanie nie jest ten przypadek.

Skoro już porozmawialiśmy o najedzeniu się wstydu, to porozmawiajmy o najedzeniu się strachu.

W czasie, kiedy bezpośrednio dowodziłem pododdziałami i oddziałami, realia ćwiczeń były zupełnie inne. Gdy był ostrzał, to strzelano z ostrej amunicji. Miało być jak na wojnie i było. Margines na popełnianie błędów był bardzo mały.

Jak to, strzelali do was?

Z reguły strzelali przed nami. Czasem, niestety, strzelali i w nas. Jechało się z zamkniętymi włazami, więc ryzyko było małe. W czołgu odbijające się od pancerza odłamki było słychać tak, jakby ktoś obrzucał nas kamyczkami i tyle, a nasza duma z bycia pancerniakami rosła. Gorzej by było, gdybyśmy wjechali pod ostrzał artyleryjski i leciałaby amunicja przeciwpancerna. Wtedy to już byłoby po nas. Jak strzelali ze zwykłej, to nam się nic nie działo. Chyba że musiałeś się wychylić. Pamiętam, jak prowadziliśmy natarcie w nocy, a noktowizja była wtedy jeszcze bardzo niedoskonała. Bałem się, że pogubiłem te swoje czołgi, i chciałem się wychylić, aby je lepiej zobaczyć. Artyleria kładła ogień na pozycje 200 metrów przed nami i w miarę naszego poruszania się przesuwała go do przodu.

Ostrą amunicją?

Inną nie miałyby to żadnego sensu. Otworzyłem właz, żeby zorientować się w sytuacji, ale okazało się, że artyleria zamiast przenieść ogień 200 metrów do przodu, puściła salwę 200 metrów do tyłu, czyli prosto w nas. W życiu tak szybko nie chowałem się do czołgu. Sprawdziłem tylko, czy jestem cały, i już nigdy więcej się tak nie wychylałem.

Z jakiego kalibru strzelali?

Nie jestem pewien, ale chyba 122 mm.

I to nie rozwała czołgów?

Jakby rozwalało, tobyśmy nie rozmawiali, bo miałem i taką sytuację, że dostaliśmy bezpośrednio trafienie w czołg. Nie jest to przyjemne, ale jeśli amunicja nie jest przeciwpancerna, to krzywdy załodze nie robi. Tylko przez jakiś czas nie słyszy się przełożonych. Jak się robiło ćwiczenia na bojowo, wszystko musiało działać jak w zegareczku. No a u mnie kiedyś nie zadziało. Miałem z moją kompanią forsować rzekę Piławę w okolicy

Nadarzyc na poligonie Okonek. Uchwycić przyczółek na przeciwległym brzegu i zabezpieczyć wejście do walki kolejnego pułku. Wszystko było zgrane z uderzeniami lotnictwa i artylerii. Oczywiście na bojowo, więc każdy musiał działać naprawdę precyzyjnie co do minuty. Manewr w sumie szkolny, ale skomplikowany technicznie, bo forsowało się, jadąc po dnie rzeki. Jak na dnie zgasł silnik, to bardzo często nie dało się go powtórnie odpalić.

Na ile wystarcza tlenu?

Czołg miał zamontowaną rurę dostarczającą powietrze. Przyjmijmy, że oddychanie nie było problemem. Ale przecież jakoś trzeba było się z tego czołgu wydostać i wtedy zaczynały się schody. Różnica ciśnień powoduje, że pod wodą nie da się tak po prostu otworzyć wjazdu. Trzeba było najpierw zalać czołg wodą, a dopiero później przejść całą procedurę ewakuacyjną.

Stres jak cholera. Ciemno, zimno, czujesz, jak woda sięga ci do ust, a musi zalać czołg po korek. Straszne.

Mówi pan tak, jakby tam był. Procedura była trudna, dlatego ćwiczyliśmy ją na sucho. To znaczy na mokro, ale w warunkach kontrolowanych. W ośrodku ćwiczebnym była makieta czołgu, którą zamontowano w basenie. I na niej ćwiczyliśmy ewakuację. Nawet w takich warunkach stres był ogromny.

Przechodził pan to na bojowo?

Przechodziłem, ale wróć do tamtej sytuacji. Do ewakuacji mieliśmy aparaty ewakuacyjne. Trudne w obsłudze, awaryjne, ale takie były. To nawet nie były aparaty tlenowe, tylko wzbogacające powietrze. Przed użyciem trzeba było do nich nadmuchać powietrza, które w wyniku reakcji chemicznej było uzdatniane do oddychania. W zależności od jakości aparatu i zużycia powietrza przez konkretnego człowieka zapas wystarczał na pięć do piętnastu minut oddychania.

Mało miejsca na błąd.

W sumie żadnego, bo procedura, jak już mówiłem, była taka, że najpierw trzeba było zatopić czołg za pomocą przeznaczonego do tego luku technicznego. Woda napełniała czołg pod dużym ciśnieniem. Ludzie marzli, więc zużywali więcej powietrza. Dopiero jak cały czołg był zalany, można było próbować otworzyć właz. I wtedy zaczynała się ewakuacja. Właz był wąski. Jakby doszło do przepychanki, to wszyscy by się potopili. Niestety było mieć w załodze kogoś otyłego.

I na tym forsowaniu zgasł panu silnik?

Nie. Sytuacja była inna. Aparaty ewakuacyjne zajmowały tyle miejsca, że w czasie strzelania nie byłoby jak obsługiwać armaty. Radzieccy inżynierowie nie rozpieszczali załóg. Czołg miał być niski, żeby trudno go było trafić, więc miejsca było jak na lekarstwo. Maski pobieraliśmy bezpośrednio przed forsowaniem. Doszliśmy „w boju” do rzeki, a wozu z maskami nie ma. Miał je dowieźć szef kompanii, ale nie dowiózł.

No to miał problem.

Ja byłem dowódcą kompanii i to ja miałem problem. Nikt z przełożonych nie przejmowałby się, że to on zawalił. Skoro to mój podwładny, to znaczy, że to moja wina. Stoję w czołgu przed rzeką, za mną czeka piętnaście innych, a ja nie wiem, co mam zrobić. Radiostacja już prawie czerwona od krzyków prowadzącego ćwiczenie, a ja stoję. Ludzie za mną wiedzą, co się dzieje, bo to było oćwiczone wojsko i od razu się zorientowali, że miały być aparaty, a nie ma. Czekają, co też zrobi ich porucznik.

Zameldował pan to dowódcy?

Dowódca mało ze skóry nie wyskoczył, tak się darł, żebym nie stał, tylko forsował: „Dlaczego stoisz?! Do ataku! Nacieraj! Przez ciebie cały pułk zawali wielodniowe ćwiczenie!”. Udane ćwiczenie to wielka sprawa, więc jak miałem mu to powiedzieć?

I co pan zrobił?

Zamknąłem właz. Podałem komendę: „Silniki w ruch”. Ustawiłem czołgi w szyku i poszliśmy pod wodę. Żołnierze wiedzieli, że idziemy bez zabezpieczeń, ale nikt nie odezwał się nawet słowem. Dopiero jak szesnasty czołg wyjechał na drugi brzeg, kamień spadł mi z serca. Powiedziałem sobie wtedy, że już nigdy w życiu takiej decyzji nie podejmę. Szczęśliwie do końca służby nie musiałem. Niepotrzebnie ryzykowałem życie tych żołnierzy.

Ale ćwiczenie zaliczone.

W moim wypadku skończyło się na karze, bo dowódca pułku dowiedział się, że robiliśmy forsowanie bez aparatów.

Przecież pan mu uratował ćwiczenie.

Źle pan na to patrzy. Może i to konkretne ćwiczenie odbyło się zgodnie z terminami, ale niezgodnie ze sztuką. Podjąłem za duże ryzyko. Ryzykowałem życie innych ludzi.

Tak jak w Smoleńsku?

W Smoleńsku również ryzykowano życie innych ludzi. Tam się nie udało. Doświadczony dowódca od niedoświadczonego różni się tym, że wie, kiedy się zatrzymać. Ta pozornie mała różnica wszystko zmienia. Napatrzyłem się, jak giną ludzie. Nic tak nie uczy szacunku do procedur i świadomości własnej omyłności.

Zginęli z pana winy?

Nie. Ale ginęli moi ludzie. Albo nie moi, ale na moich oczach. Jak już panu mówiłem, wtedy ćwiczyło się z rozmachem. Ludzie ginęli przez własną głupotę, przez cudze błędy. Z reguły były to drastyczne historie. Widziałem ludzi przepołowionych na pół, bo akurat stali na drodze zderzenia dwóch czołgów.

Zderzenia czołgów?

W latach 70. był zakaz jeżdżenia w otwartych włazach. Dziś jeździ się w otwartych, wtedy bezwzględnie za to karali. Przecież w czasie wojny jeżdżenie w otwartym włazie to proszenie się o śmierć. A my byliśmy ćwiczeni na wojnę. Ale przy zamkniętym włazie widoczność jest mocno ograniczona. W czołgu gorąco, hałas. Ludzie byli przemęczeni. Różne rzeczy się zdarzały. Przód kolumny nagle stanął. Kierowca nie załapał i gnał. Pech chciał, że między wozami ktoś przebiegał. Nie zdążył uciec i miazga.

Dużo ludzi ginęło?

Dużo. W liczbach panu nie powiem, bo wojsko się nimi nie chwaliło. Pewnie można je gdzieś odnaleźć. Armia była duża i z poboru. Różni przychodzili do wojska. Ogólnie poziom wykształcenia był niski. Zdarzało się, że ludzie nie mieli nawet ukończonej podstawówki. Łatwo się nimi nie dowodziło. Działo się w stresie. Nietrudno wtedy popełnić błąd. Najtragiczniejszy wypadek, jaki pamiętam, zdarzył się w 1986 albo 1987 roku. Wtedy też robiliśmy forsowanie. Tym razem na jeziorze Zły Łęg na poligonie drawskim. Scenariusz był taki, że przeprawa jest zaminowana. Dowódca zrzucił ze śmigłowców nurków i rzeczywiście odnaleźli miny. Podjął decyzję, że będzie je detonował z lądu za pomocą ładunków wydłużonych przeznaczonych do wykonywania przejść w zaporach minowych.

Jak się robiło te przejścia?

Ładunek odpalany był raketowo. Na stalowej sprężynie przytwierdzono tonę materiału wybuchowego. Przy zetknięciu z gruntem dochodziło do detonacji trotylu, a przy okazji ukrytych min, i można było forsować. Przygotowali chyba z pięć takich ładunków. Odpalili. Walnęło, huknęło, pół rzeki w górze, i naprzód. W momencie, kiedy rozpoczęła się przeprawa, jeden z ładunków odpalił się samoczynnie. Wtedy zrozumiałem, dlaczego

mówi się, że ktoś wyleciał w powietrze. Nawet teraz, kiedy panu o tym opowiadam, to w głowie mam obrazy, jak podrzuca ich do góry, jak koziołkują w powietrzu. Wszystko w zwolnionym tempie. Obracają się powoli i padają jak szmaciane lalki. Zginęło wtedy kilku ludzi. Drugie tyle było rannych.

Mniej więcej tyle, co na kilku zmianach w Afganistanie.

Zależy od zmiany. Pamiętam, że jeden z tych żołnierzy leżał częściowo na brzegu, a częściowo w wodzie. Jak żeśmy go złapali, to jedna część ciała przepłynęła nam w drugą.

Jak to przepłynęła?

Skóra była nienaruszona, a w środku miazga, i te wszystkie pomiażdżone organy wewnętrzne przelewały się z jednej części ciała w drugą. Jak go złapaliśmy od góry, to całe ciało płynęło do nóg.

Masakra.

(cisza)

Nie pamiętam, żebym czytał o takim wypadku.

Nie o wszystkim się wtedy pisało. Zresztą teraz też nie. I będzie się pisało jeszcze mniej. Armia znowu zmierza od sukcesu do sukcesu.

Czyja to była wina?

Człowieka. To najczęściej jest wina człowieka. Jeden z ładunków nie odpalił. Użyto więc zapasowego. Jakiś młody porucznik nie dopilnował i nie rozłączyli niewypału. Zapalarka była aktywna, start naciśnięty. Poszły czołgi, ciężki sprzęt i w wyniku drgań w zapalارce coś zaskoczyło i tona trotylu poszła prosto na ludzi. Na oczach wszystkich, bo ćwiczenie było instruktażowo-metodyczne. Ćwiczyło tam kilka pułków z całego okręgu.

Był wstyd, był strach. Została nam kielbasa.

Kielbasa to taki cudowny wynalazek, że wszystko się w niej zmieści, trzeba tylko dobrze zmielić. W stanie wojennym nie było mnie w Polsce, byłem na studiach w Moskwie. Koledzy mi opowiadali, że kiedy w wojsku nastroje szły w dół, to zaczęli im wydawać dodatkową porcję kielbasy i ekstra paczkę papierosów. Nie można mieć za wielu złudzeń co do ludzkiej natury.

I to już cała historia z kielbasą?

Tylko część. Tak jak nie mam złudzeń co do ludzkiej natury, tak nie mam też złudzeń, że kielbasę dają za darmo.

Amerykanie mówią, że nie ma darmowych lunchów.

Z tym się zgadzam. Obecnie wojsko zyskało pensje, o jakich wcześniej nie śniło. Nie powinienem narzekać, bo to oznacza, że moi koledzy, którzy zostali w armii, będą bogatsi. Tylko trzeba mieć świadomość konsekwencji, a te są takie, że już dziś na wydatki osobowe przeznaczamy ponad 50 procent budżetu na obronność. Jeśli zwiększymy armię dwukrotnie, a takie są plany, to te kwoty również wzrosną, co negatywnie odbije się na budżecie na modernizację. Sprawna armia może funkcjonować tylko w oparciu o bardzo zaawansowany sprzęt. Bez niego dowódcy w naszej części świata będą musieli ponosić zbyt wysokie ryzyko, a straty będą ogromne.

Wojsko przejada pieniądze?

Oczekuje pan, że będę głosił skrajnie niepopularne w wojsku opinie, że podwyżki były błędem. Moim zdaniem wojsku należały się podwyżki, ale nie kosztem modernizacji.

A jakim kosztem?

Ministrowi proszę zadać to pytanie, on to powinien wiedzieć. Ja mogę

panu powiedzieć, że przy obecnym poziomie obciążeń na wydatki osobowe nie uda się zmodernizować armii. Coś tam się dokupi, uroczą wręczy i ładnie pokaże w „Wiadomościach” z odpowiednim komentarzem, ale to nawet na centymetr nie podniesie naszego bezpieczeństwa.

Kategoryczny sąd.

Po czterdziestu trzech latach służby chyba mogę sobie na taki pozwolić.

Jak najadł się pan kielbasy, to czego się pan nauczył?

Armia, do której wstępowałem, nazywana była ludową, ale podziały między kadrą a resztą wojska były silne. Systemowo dbano, żeby nie dochodziło do fraternizacji. Podoficerowie mieli trzymać pieczę nad wojskiem, a nimi mieli rządzić oficerowie. I kropka. Poza czołgiem to jeszcze działało. W czołgu przywileje oficerów się kończyły. Kiedy przywozili konserwy, to po jednej na dwóch. Jadło się na spółkę z szeregowym. On zaczynał z jednej strony, ja z drugiej. Jak się w życiu zjadło odpowiednio dużo takich konserw, to człowiek nabierał pokory i dystansu. Już mu się nie wydawało, że jest taki bardzo ważny i tak bardzo wyjątkowy. Kiedyś trzeba było naprawdę najeść się do syta wstydu, strachu i kielbasy, żeby być dowódcą.

Pożar

Jaka była tamta armia?

Która?

Ta, w której pan zaczynał.

Zdyscyplinowana, oćwiczona, dobrze wyposażona, nieznosząca sprzeciwu, ciężka; teraz jeszcze mówi się, że niepotrzebna. Wie pan, ja bym

drugi raz do wojska już nie poszedł.

Przecież zaszedł pan na samą górę.

Jak już panu mówiłem, nie pchałem się na tę górę. Gdyby nie tragedia smoleńska, nigdy bym nie został szefem Sztabu Generalnego. Byłem już niezłe zmęczony służbą i chciałem odpocząć. Pożyć wreszcie jak normalny człowiek.

Kokietuje pan. Dzięki armii zwiedził pan kawał świata, oglądał z bliska, jak się robi światową politykę na najwyższych szczeblach, został pan ambasadorem. Bez armii niczego takiego by pan nie osiągnął.

Ani nie kokietuję, ani się nie żalę. Pan mnie pyta, ja odpowiadam. Lista zysków, które pan wymienił, jest prawdziwa. Wiele zawdzięczam armii, ale też nie zmarnowałem czasu i z siebie też sporo jej dałem. Chodzi mi o to, że każdej liście zysków towarzyszy lista strat. Tych realnych i przypuszczalnych. Mam wspaniałego syna, ale tylko jednego. Doszliśmy z żoną do wniosku, że jeśli z wychowaniem jednego dziecka jest kłopot, to jak decydować się na drugie. Były takie lata, że nie było mnie w domu osiem miesięcy w roku. Jechało się na poligon w styczniu i miesiąc żyło w czołgu. Albo obok czołgu.

Jak to w czołgu?

Zdarzało się, że z jednego elementu ćwiczenia płynnie przechodziło się do drugiego, więc ani nie było czasu, ani sensu pakować się do namiotów. Czasem byłem tak zmęczony, że widziałem podwójnie. Raz mało nie spłonąłem żywcem ze zmęczenia.

Nie nadążam.

Zimą mieliśmy jakieś ćwiczenia i znów się okazało, że trzeba będzie odbyć nocleg w warunkach przygodnych, czyli w czołgu. Żebyśmy nie

pozamarzali, żołnierze rozpalili ognisko. Widzieli, że już ledwo stoję na nogach, bo kiedy oni mają chwilę odpoczynku, ja siedzę w mapach i planowaniu. Postanowili o mnie zadbać i z gałęzi sosny umościli mi posłanie. Przykryli je czołgowym brezentem i miałem łóżeczko. Zasnąłem chyba w sekundę. I po jakimś czasie pomyśleli: „No, zamarznie nam porucznik”. I obłożyli mnie po bokach mniejszymi ogniskami.

Kochani.

Gałęzie, na których spałem, wyschły od tych ognisk i też się zapaliły. Ja tego w ogóle nie zarejestrowałem. Pamiętam tylko, że obudziłem się z twarzą w śniegu. Zgarnęli mnie z tym płonącym brezentem i rzucili w zaspę. Pytam: „Co się stało?”. A oni zupełnie spokojnie, że nic, tylko „mało brakowało, a spalilibyśmy pana porucznika”.

A co się stało ze śpiworem?

Jakim śpiworem? Formalnie oficerowi śpiwór się należał, ale to wszystko szybko się niszczyło. Żołnierze nawet tego nie dostawali. Spać mieli pod kocami. Nie wiem, czy kiedykolwiek były prane. Śmierdziały tak, że trzeba je było wyrzucać poza namiot, bo nie dało się zasnąć. Jak się było w wojsku tak długo jak ja, to się dużo pamięta. Rzeczy, które dziś wydają się czymś oczywistym, kiedyś były nie do przeskoczenia. I na odwrót. Pamiętam, że potraćiliśmy kiedyś czołgiem sarnę. Żołnierze szybko ją oskórowali i było piecyste.

I myśli pan, że dziś już takie rzeczy się nie zdarzają?

Mam nadzieję, że jednak trochę romantyzmu jeszcze w armii zostało. Takie sytuacje powodowały, że łatwiej było tę służbę znieść. Ledwo człowiek wrócił z poligonu, trzeba było zająć się sprzętem, bo zawsze wracało się z jakimiś stratami. Udało się wyprowadzić sprzęt na prostą, okazywało się, że trzeba pakować wojsko na samochody i jechać odgarniać śnieg, bo kraj zasypało. Wróciliśmy, a przełożeni na to, że szkolenie leży

i trzeba iść w pole. Chwila odpoczynku i żniwa. Jedziemy na żniwa. Wracamy. „Nawyki potracone”, to na poligon. I tak w kółko.

Trzeba było przepracować piętnaście lat, wziąć emeryturę i zaczynać życie od nowa.

Życie od nowa zaczynałem siedemnaście razy, bo tyle razy się przeprowadzałem, często z rodziną. Mówię tylko o tych sytuacjach, kiedy przeprowadzaliśmy się na dłużej niż rok. Zapytaliśmy kiedyś syna, dlaczego nie przyprowadza do domu kolegów, dlaczego nie ma przyjaciół. A on na to: „Tata, nie opłaca się zaprzyjaźniać, bo przecież pewnie zaraz stąd wyjedziemy”.

W moim zawodzie mówi się: „Najależ się na psa, to szczekaj”.

Szczekałem czterdzieści trzy lata. Nie narzekam. Opowiadam o cenie, żeby ci, którzy zastanawiają się nad pójściem do armii, mogli oszacować ryzyko. Nigdy nie powinniśmy służyć na pół gwizdka. W wojsku nie było wolnego po godzinie 15.30.

Panie generale, pan chyba bardzo dawno już nie był w żadnej jednostce. Oni sobie tam teraz mało nóg nie połamią na bramie o godzinie 15.30.

Rzeczywiście dawno już nie byłem. Zresztą nie sądzę, żebym był tam mile widziany. Skoro z izb pamięci usuwa się zdjęcia byłych dowódców, to i były szef Sztabu Generalnego nie ma tam czego szukać. Rzeczywiście dochodzą mnie słuchy, że wymagania spadają. Ćwiczy się mniej, pracuje się mniej.

Za to za więcej.

Ktoś może powiedzieć, że skoro mam generalską emeryturę, to nie mam prawa krytykować, ale nie mogę nie zauważyć, że matematyka jest bezwzględna i jak się powiększa budżet po stronie wydatków osobowych, to

automatycznie się pomniejsza po stronie zakupów. Pytanie, czy nasza armia ma już wszystko, co jest jej potrzebne do działania, pozostawiam otwarte.

Pan wie, że nie ma i długo nie będzie mieć, bo armia ma teraz podnieść z kolan polski przemysł. Armia ma zagwarantować bezpieczne loty VIP-om, ma siedzieć cicho, a to wszystko kosztuje.

Ministrowi udało się uspić czujność żołnierzy sowitymi podwyżkami i obniżeniem wymagań. Szeregowi, żyjący problemami dnia codziennego, mają inną perspektywę niż ich dowódcy. Z ich perspektywy w wojsku z pewnością jest lepiej, bo mniej trzeba – mniej umieć, mniej robić. I ta bylejakość sięga najwyższych stanowisk. Kurs generalski można zrobić zaocznie. A nawet nie trzeba go ukończyć, a już się dostaje gwiazdkę. Tylko że to nie będzie trwać wiecznie, bo po prostu się zawali. Każda fikcja ma określony termin przydatności. Dostyc długo można pudrować rzeczywistość, zonglować cyferkami. Pamiętam moje zdziwienie, kiedy pod koniec lat 80. okazało się, że w magazynie na czas wojny były buty tylko w bardzo dużym albo bardzo małym rozmiarze. W papierach wszystko się zgadzało, tylko że w razie wojny nie byłoby w czym chodzić. System gnił po cichu, ale nieubłaganie.

W tym roku lotnicy nie ogłosili przetargów na zakupy paliwa, czyli latają na tym, czym zalali zbiorniki na czas wojny.

Jeżeli tak jest, to na krótką metę takie działania mogą się udać, ale to jest okradanie samych siebie.

W armii się kradło?

A gdzie się nie kradło? Wojsko słabo płaciło, a miało zasoby, więc pokusa była większa. Ale też kontrola była większa, kary dotkliwsze. Mimo to paliwo wyparowywało w sposób niemalże cudowny.

A co się kradło w wojskach pancernych?

Największym moim przekleństwem jako dowódcy kompanii było przydzielenie skórzanych kombinezonów dla czołgistów.

Nawet nie wiedziałem, że takie mieliście.

Skąd mógł pan wiedzieć, skoro zaraz były rozkradzione. Można było na nich spać, a i tak ginęły. Wsadzali żołnierzy do paki za te kombinezony, ale nic to nie pomagało, bo wtedy skóra była chodliwym towarem. Na dodatek te były z porządnej skóry, w ładnym kroju. Spodnie na szelkach. Kurtka krótka, z dużą liczbą kieszeni. Jak tylko kompania dostała skórzane komplety, zaraz się zaczynało kombinowanie.

A dlaczego wam dawali skórzane kombinezony?

Dla ochrony przed ogniem. Kiedyś sprzęt był awaryjny, często dochodziło do pożarów. Za moich czasów to już nie był taki problem, ale kombinezony zostały. Dziś są specjalne tkaniny trudnopalne. W tamtych czasach takich nie było, a przed ogniem najlepiej izolowała skóra. No i nie było tak bardzo na niej widać tych wszystkich smarów i brudów. Tego trudno było uniknąć, bo załogi w dużym stopniu same dbały o sprzęt. Kombinezony chroniły też przed zimnem, bo zimą w czołgu było albo skrajnie zimno, albo skrajnie gorąco. Tyle że na motocyklu też się w takiej kurtce ładnie wyglądało, więc pokusa kradzieży była duża, zwłaszcza jak ktoś chciał płacić w alkoholu.

Pili?

Po co pan pyta. Pilnowałem, żeby nie handlowali, bo nie dość, że było postępowanie za brak kombinezonu, to jeszcze kłopot z pijanym wojskiem. System był wtedy hierarchiczny. Wszystkie przewinienia podwładnych szły na moje konto. Każdy dowódca był rozliczany nie tylko ze strzelań czy ćwiczeń, ale też z dyscypliny. Dwóch ludzi w pudle i od razu wskaźniki dowódcy leciały w dół. Z premią czy awansem od razu można było się pożegnać.

Ma pan taki kombinezon?

Nie mam. Ale nie dlatego, że sam też sprzedawałem, tylko wtedy nie można było sobie zostawiać używanych sortów mundurowych. Wszystko trzeba było zdawać i koniec. Proszę pamiętać, że w tamtym systemie ubrać i nakarmić trzeba było prawie czterysta tysięcy ludzi.

Teraz armia liczy sto tysięcy żołnierzy. Według zapowiedzi MON ma być dwieście tysięcy: sto trzydzieści tysięcy zawodowych, a reszta to Wojska Obrony Terytorialnej. Budżet ma wzrosnąć do poziomu 2,5 procent PKB.

Nie jesteśmy w stanie realizować programu modernizacji przy prawie dwuprocentowym budżecie, to w jaki sposób przy tak niewielkim wzroście kupimy sprzęt dla dwustu tysięcy żołnierzy? Przyjmijmy zupełnie teoretycznie, że zwiększymy budżet armii do 15 procent PKB. Byłby to zabójczy wysiłek dla polskiego podatnika. Jednak dalej nawet nie zbliżylibyśmy się do kwot, które na zbrojenia wydaje Rosja. Stutysięczna, świetnie uzbrojona i wyszkolona armia będzie stanowiła większe wyzwanie dla potencjalnego wroga niż dwieście tysięcy żołnierzy bez nowoczesnego sprzętu i dobrego wyszkolenia. Proszę mi nie mówić, że żołnierzem można zostać w dwadzieścia osiem dni, bo tyle ma trwać szkolenie w WOT. Armia to zespół, a nie pojedynczy człowiek. Kiedyś pół roku orało się w poborowych od rana do wieczora i ciągle nic z tego nie było. Dopiero pod koniec służby nie była to kupa pojedynczych żołnierzy, a zgrany zespół. Nie wystarczy rozdać ludziom karabiny i ogłosić, że zostali żołnierzami. Technika poszła do przodu. Sprzęt jest jeszcze bardziej skomplikowany. To tak oczywiste, że aż wstyd mówić, ale w tym szumie informacyjnym trzeba tłumaczyć od podstaw.

Czy to prawda, że torpedował pan wprowadzenie przez poprzedni rząd nowego systemu dowodzenia?

Nie torpedowałem, byłem krytycznie do niego nastawiony.

Przedstawiłem swoje stanowisko w piśmie do ministra obrony narodowej. Uważałem to za swój obowiązek.

Podobno pismo było ostre w tonie.

Proszę pozwolić, że jego treścią będę dzielił się tylko z adresatem. Lojalność nakazuje takie podejście. Miałem zastrzeżenia do tej reformy i niestety wiele z nich się potwierdziło.

Minister Macierewicz chce ją odwrócić, to chyba pana cieszy?

Poprzedni system dowodzenia również nie był idealny. Mój sprzeciw wobec reformy nie polegał na obronie starego systemu, tylko zastąpieniu go bardziej przejrzystym niż ten, który zaproponowano. Jeśli minister chce zmieniać system, to powinien przedstawić propozycję, która skonsumowałaby pozytywy starego systemu i tego, który wprowadziliśmy kilka lat temu. Takie proste cofnięcie się do przeszłości zawsze jest kuszące, ale będzie błędem.

A przejęcie przez ministra przemysłu zbrojeniowego było błędem?

Polski przemysł od lat żyje jak jemiola na polskiej armii. Nie przejmuje się tym, co tej armii potrzeba, jak doskonalić produkty. Robią, co potrafią, i są oburzeni, kiedy armia nie chce czegoś kupić. Po tym jak minister przejął kontrolę nad przemysłem, sytuacja jest jeszcze trudniejsza, bo jest większa presja na ministra. W takim układzie zamiast podwyższać jakość, co wymusza konkurencja, łatwiej jest wyciąć z rynku konkurencję, w tym szczególnie firmy niepaństwowe. Pieniądze z MON służą zakładom do prowadzenia własnego PR-u. I te wszystkie mechanizmy już widać. Przemysł ma być dla armii, a nie na odwrót. Dziś niestety ogon macha psem.

Minister specjalnie nie ukrywa, że w armii trwa rewolucja.

Polska armia przechodziła już kilka terapii wstrząsowych. Proszę mi wierzyć, że po żadnej nie działała lepiej. Wręcz przeciwnie. Takie duże organizmy zmieniać należy ewolucyjnie. Gdy byłem szefem Sztabu Generalnego, bardzo zabiegałem o wprowadzenie 1000 złotych nagrody dla żołnierzy, którzy zaliczą egzamin z wuefu na piątkę. Minister oponował. Uważał, że nie można nagradzać za coś, co powinno być oczywistością.

A dlaczego pan chciał płacić?

Chodziło o motywację, pozytywną i negatywną.

Pozytywną rozumiem, każdy lubi nagrody. A jaka mogła być negatywna?

Każdy chciał mieć piątkę z wuefu: ładnie wygląda w papierach, poprawia samopoczucie. Jedni podchodzili do tego uczciwie. Inni szli na skróty i sobie to załatwiali. Kiedy pojawiły się pieniądze, to jeden zaczął pilnować drugiego, czy czasem sobie nie załatwił tej piątki po znajomości.

Dziękę i rządę.

Osiągam pozytywne efekty, wzmacniając motywację. Dziękę i rządę to dzisiejsze metody. Dobrze na krótką metę, rujnujące w długiej perspektywie. Wojsko, jak całe społeczeństwo, było już wystarczająco podzielone. Nie można psuć armii bez konsekwencji.

A może już jest tak zepsuta, że nie da się jej naprawić?

(cisza) Może.

Smutek

Martwi się pan o armię?

Powiedzmy, że jest mi smutno. Nasza armia ciągle daleka była od doskonałości. Ostatnie dwadzieścia lat mocno ją poobijało. Przez lata nie było na nią pomysłu. Nie było pieniędzy. Politycy likwidowali dywizję po dywizji. W 1989 roku zostałem szefem sztabu w 20 Warszawskiej Dywizji Pancerniej w Szczecinku, chyba najlepiej wyposażonej i wyszkolonej dywizji w całym Wojsku Polskim.

Skoro była taka dobra, to dlaczego już jej nie ma?

Dywizja była dobra, ale patrona miała złego – marszałka dwóch narodów Konstantego Rokossowskiego. Przeformowano ją w 2 Pomorską Dywizję Zmechanizowaną, ale nawet to nie uratowało jej życia. W 1996 roku zostałem dowódcą 8 Bałtyckiej Dywizji Obrony Wybrzeża. Ta miała już dobrego patrona, bo Bartosza Głowackiego, ale też długo nie przetrwała. W 2001 roku została zlikwidowana. W 1989 roku mieliśmy piętnaście w pełni ukompletowanych dywizji. Do dziś przetrwały tylko trzy i to będące cieniami tych z dawnych lat. Pod koniec lat 90. wydawało mi się, że sięgnęliśmy dna i zaczęliśmy się odbijać. Wstąpiliśmy do NATO. Udało się przeprowadzić uzawodowienie armii. Osobiście bardzo temu sekundowałem, bo widziałem, jak niewydolny był system poboru. Czasem miałem wrażenie, że gdyby otworzyć bramy koszar, to w piętnaście minut nikogo by tam nie było. Wszyscy by puciekali.

Dziwi im się pan?

Jak mówi przysłowie: z niewolnika nie ma pracownika. Pamięta pan słynny apel w wykonaniu kapitana Bednarza?

Pamiętam. Mój ulubiony cytat to „najebało prądu w kite”.

Nie był to wersal. Świadomie przywołuję ten apel, bo dla mnie treść i forma przemówienia pana kapitana nie była specjalnie szokująca. Podstawowa zasada komunikacji brzmi, żeby mówić tak, aby być rozumianym. Ja tego oficera rozumiem, bo wiem, z jakim materiałem

ludzkim musiało zmierzyć się wojsko. Kto mógł, szedł na studia, kogo było stać, płacił, żeby tylko nie iść do wojska. Może to bolesna prawda, ale takie były realia. Kiedyś armia miała robić z chłopaka mężczyznę, później pójście do wojska było synonimem straty czasu. Od kilku lat regularnie pojawiają się doniesienia, że ktoś został aresztowany za przyjęcie łapówki w zamian za przyjęcie do wojska. Mnie to na swój sposób cieszyło. Dowodziło, że nadal są problemy z korupcją, ale staliśmy się pożądanym pracodawcą.

A co pana nie cieszyło?

Polityka w wojsku. Nie znam żadnego przypadku, żeby wyszło to armii na zdrowie. Kładłem to do głowy moim podwładnym. Flirt z polityką może się wydawać atrakcyjny. Od polityków można dostać jakiś awans, nawet taki niezasłużony. Tyle że za takie przysługi zawsze przychodzą wysokie rachunki. Armia zapłaciła bardzo wysoki rachunek za udział w stanie wojennym. Ta trauma ciągnęła się za nami latami. Podzieliła rodziny, pozrywała przyjaźnie. Wojskowi przez lata czuli się obywatelami drugiej kategorii, dlatego moim zdaniem z taką pokorą znosiliśmy masakrowanie tej instytucji przez polityków.

Podważa pan cywilną kontrolę nad armią?

Wręcz przeciwnie. Uważam, że jest niezbędna, bo armia, jak każda inna organizacja zamknięta, pozbawiona kontroli z zewnątrz będzie zmierzała w kierunku wynaturzenia. Kwestionuję sytuację, w której cywilny minister przestaje się ograniczać do wskazywania zadań, a zaczyna ręcznie sterować. Od dyrektora szpitala lekarze nie oczekują, że będzie robił za nich operacje. On ma im stworzyć warunki, w których będą mogli wykorzystywać swoją wiedzę najlepiej, jak potrafią.

Co pan robił w czasie obiadu drawskiego^[*]?

Byłem wtedy na poligonie, ale byłem tak zapracowany, że nawet nie

wiedziałem, że będzie jakiś obiad. Co prawda zajmowałem generalskie stanowisko szefa oddziału operacyjnego, ale na pagonach byłem jeszcze pułkownikiem. Przy tamtym stole zasiedli trzygwiazdkowi generałowie.

Czym zajmował się szef oddziału operacyjnego?

Wszystkim. Wyjątkowo niewdzięczna funkcja. Byłem odpowiedzialny za wszystkie ćwiczenia w okręgu. Nominalnie prowadzili je przełożeni, ale robotę robił szef oddziału. Czasem było tak, że prowadzący ćwiczenia krzyczał: „Pułkowniku, gdzie jest mój zamiar?!”. A mnie cisnęło się na usta: „U pana w głowie”.

Kiedy dowiedział się pan, że w ogóle był taki obiad, a w menu miał być szef MON Piotr Kołodziejczyk?

Myślę, że krótko po tym, jak wszyscy rozjechali się do domów. Sam minister Kołodziejczyk o to zadbał, bo jeszcze na poligonie poinformował media, że doszło do próby pozbawienia go stanowiska ze strony generałów zachęcanych przez prezydenta Wałęsę. Oficerowie, którzy dali się wówczas wciągnąć w polityczną grę, musieli odejść. Dlatego ciągle podkreślałem, że armia powinna być apolityczna. Nie tylko formalnie, jak ma to miejsce dziś.

Pomysł zastąpienia ministra Kołodziejczyka mógł się jednak podobać. W wojsku za nim nie przepadano.

Mnie nie podobał się pomysł, żeby wojskowi wybierali sobie ministra. Mimo że sposób zarządzania armią również mi się nie podobał. Czerwcowe wybory [do sejmu kontraktowego 4 czerwca 1989 r.] wywołały w wojsku wielką euforię. W jednostkach głosowało się w zamkniętych obwodach. Proszę sięgnąć i sprawdzić, ile głosów podostawali partyjni kandydaci. Szału nie było. Pamiętam, że jak zobaczyłem wyniki wyborów w naszej dywizji, to aż sam sobie zadałem pytanie: „No ciekawe, czy będą jakieś reperkusje? Czy będą dzwonić z Warszawy i pytać, dlaczego w jednostce

leży praca organizacyjno-polityczna, co się stało z postawą aktywu oficerskiego?”. Minął jeden dzień, drugi i nikt nie zadzwonił. System padł. Wojsko odetchnęło. Oczekiwania były ogromne. Myślę, że zostały zawiedzione.

Na misjach żołnierze głosowali w zamkniętych obwodach i widać było, jak się układały sympatie. Głosowali przeważnie na PiS.

Jak już mówiłem, wielkim oczekiwaniom często towarzyszą wielkie rozczarowania.

Czy wojskowi łamią przysięgę, nic nie robiąc, kiedy łamana jest konstytucja? Przecież przysięgali na wierność konstytucji?

A co mogliby pana zdaniem zrobić?

Zareagować?

Jeśli pyta mnie pan, czy wojsko wyjdzie na ulice, to zapewniam pana, że nie. I bardzo dobrze. Mówię to jako były wojskowy i były ambasador w Turcji. To byłaby klęska dla armii, dla wizerunku Polski. Stalibyśmy się krajem marginalnym, upadłym. Wojsko robi, co musi. Słucha rozkazów demokratycznie wybranej władzy, a jak przyjdzie czas wyborów, każdy oceni władzę po owocach i za pomocą karty do głosowania zdecyduje, jaka Polska mu się bardziej podoba.

Zawsze uważałem, że dla dobra demokracji armia powinna być wielkim niemową. Oficer, który jest w linii, nie ma prawa publicznie krytykować przełożonych, bo ma w ręku zbyt dużo „ciężkich argumentów”. Obowiązkiem żołnierza jest służba. Kto uważa, że w takich warunkach nie chce służyć, ten odchodzi i wtedy ma prawo wyrażać swoje zdanie. Sam pan mówił o najmowaniu się na psa, to chyba nie muszę tego wszystkiego tłumaczyć.

NATO

W jakim wieku zaczął się pan uczyć angielskiego?

Byłem po trzydziestce. Zacząłem chyba w 1986 roku, miałem trzydzieści pięć lat.

Poszedł pan na kurs czy miał pan nauczyciela?

Miałem podręcznik dla dzieci. Zwykłą książeczkę. Zacząłem naukę od alfabetu: A, B, C. W tamtym czasie nauka języka angielskiego nie była jeszcze mile widziana wśród wojskowych. Może nie trzeba było się z tym kryć, ale również nie należało się afiszować. Angielskiego uczyli w szkołach dla wywiadu, a ja kończyłem szkołę pancerną.

Zaczął się pan uczyć, bo już wtedy przeczuwał pan, że system padnie?

Ładnie by to brzmiało, ale byłoby zwykłą megalomanią.

Chciał pan podróżować?

Podróże w tamtą stronę nie były możliwe. Właściwie w żadną stronę nie były możliwe, zwłaszcza dla żołnierzy. Każdy wyjazd zagraniczny oficera wiązał się ze skomplikowanymi zabiegami biurokratycznymi. Nawet jak się chciało jechać do Czechosłowacji czy NRD, decyzje o wydaniu paszportu zapadały w Sztabie Generalnym. Pamiętam, że w dowód osobisty wbijano pieczętkę, że obywatel pobrał ileś tam marek wschodnioniemieckich i przez pięć lat ani pół marki mu się nie należy. Ludzie szybko zapominają, jeszcze szybciej przyzwyczajają się do dobrego. Tak jakbyśmy zawsze byli w Unii Europejskiej. Ta nauka angielskiego to była taka namiastka innego świata. Poznanie najpopularniejszego języka na świecie.

Rosjanie mówili, że najpopularniejszy był rosyjski.

Rosyjski już znałem, i to płynnie. W szkole podstawowej, średniej i w Wyższej Szkole Oficerskiej w Poznaniu uczyłem się dodatkowo języka niemieckiego. Zawsze uważałem, że znajomość języków obcych jest potrzebna. Nieważne jakich, ważne, żeby jakieś języki obce znać. Uczyłem się sam, trochę z pomocą żony, która angielski znała lepiej. Sprawiało mi satysfakcję, kiedy zaczynałem rozumieć pojedyncze słowa. Kiedy załapałem całe zdanie, to już było super. Ale to nie była intensywne nauka. Byłem wtedy na stanowisku dowódcy pułku, potem szefa Sztabu Dywizji. Czasu na naukę miałem tyle, co w czasie urlopu, jakichś dni wolnych.

Czy ślęcząc po nocach nad tą książeczką, choć raz pomyślał pan, że właśnie otwiera sobie drogę do wysokiego stanowiska w strukturach NATO?

Równie dobrze mógłbym pomyśleć, że będę tańczył walca z brytyjską królową. Przez lata edukowano nas tak, żeby NATO kojarzyło się z wrogim obozem, którego wojska będziemy atakować na plażach Danii. Nie było to wychowanie w dzikiej nienawiści, ale o przyjaznych uczuciach raczej nie było mowy.

Trzydzieści lat po swojej pierwszej lekcji angielskiego został pan przedstawicielem wojskowym przy NATO i UE.

Bardzo sobie cenię tamto doświadczenie. Polska widziana z dystansu Brukseli wyglądała zupełnie inaczej. Z przyjemnością patrzyłem, jak szybko dobijaliśmy do tych struktur. Trochę jak ojciec, który widzi dorastające dziecko i nie może się nadziwić, że tak dobrze sobie radzi.

Potrafiliśmy wygrywać swoją pozycję największego kraju w regionie.

Teraz z niedowierzaniem patrzę, że my się dziś cieszymy z poparcia Węgier. Kiedyś było na odwrót. Najwięksi rozmawiali z nami, a my

pociągaliśmy za sobą pozostałe kraje regionu. Roztrwoniliśmy kapitał gromadzony latami.

Minister twierdzi, że jest na odwrót.

Czytelnik musi sam sobie odpowiedzieć, gdzie kończy się PR, a zaczyna rzeczywistość. NATO przetrwało do dziś, bo wypracowało system radzenia sobie z kryzysami. Podstawą tego systemu jest kolektywność. Do każdego przedsięwzięcia trzeba zbudować większość i stworzyć takie warunki, które pozwolą przekonać nieprzekonanych. Jaką większość może stworzyć kraj, który Francuzów chce ponownie uczyć jeść widelcem, od Niemców chce reparacji, Litwinów obraża wzorem nowego paszportu, a Włochów od roku trzyma w szachu, nie odbierając zamówionych wcześniej samolotów. Gdzie pan nie spojrzy, tam zgliszcza. A proszę mi wierzyć, że tak dobrze się zapowiadaliśmy.

[*] W 1994 r. podczas ćwiczeń na poligonie w Drawsku żołnierzy odwiedził prezydent Lech Wałęsa. Podczas obiadu, w którym brało udział całe dowództwo polskiej armii, generałowie, zachęceni przez prezydenta i szefa Sztabu Generalnego Wojska Polskiego generała Tadeusza Wileckiego, wypowiedzieli posłuszeństwo szefowi MON Piotrowi Kołodziejczykowi. Ich zdaniem za złą sytuację w armii odpowiedzialne było cywilne kierownictwo MON. Ostatecznie minister został odwołany ze stanowiska.

Generałowie

Spis treści

Karta tytułowa

Dedykacja

POCZĄTEK

KÓŁKO. KRZYŻYK

ROZMOWA Z GENERAŁEM MIROSŁAWEM RÓŻAŃSKIM

ŚMIERĆ MA COŚ Z PILOTA

ROZMOWA Z GENERAŁEM TOMASZEM DREWNIAKIEM

WOJNA SKORPIONÓW

ROZMOWA Z GENERAŁEM ADAMEM DUDA

OSTATNIE ZADANIE

ROZMOWA Z GENERAŁEM MIECZYŚLAWEM CIENIUCHEM

Karta redakcyjna

Projekt okładki
Tomasz Majewski

Zdjęcie na okładce
Sławomir Olzacki/FORUM

Zdjęcia w środku
M. Różański – archiwum prywatne
T. Drewniak – Maga Sokalska
A. Duda – Karol Serewis /Getty Images Poland
M. Cieniuch – archiwum Kancelarii Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej, GFDL 1.2,
Wikimedia Commons

Redakcja
Agata Broma

Korekta
Krystian Gaik
Anna Sidorek

Copyright © by Juliusz Ćwieluch, 2017
Copyright © Wielka Litera Sp. z o.o., Warszawa 2017



Wielka Litera Sp. z o.o.
ul. Kosiarzy 37/53
02-953 Warszawa
www.wielkalitera.pl

Odwiedź
nas na 

ISBN 978-83-8032-203-5



Plik mobi przygotowała firma eLib.pl
al. Szucha 8, 00-582 Warszawa
e-mail: konwersja@elib.pl
www.eLib.pl